

Nowele

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

Nowele

Bolesław Prus

KATARYNKA

Na ulicy Miodowej co dzień około południa można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodził z placu Krasińskich ku ulicy Senatorskiej. Latem nosił on wykwintne, ciemnogrnatowe palto, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące jak zwierciadła - i - nieco wyszarzany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę, w pochmurny - dźwigał jedwabny parasol angielski.

Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się z wolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika jak stoi barometr i termometr, potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego, oglądał fotografie Modrzejewskiej - i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potrącony uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegał ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzeć się jej. Ale że robił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to - pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. Toż samo ulica Miodowa pomyśleć by mogła o nim.

Gdy był leszcze obrońcą, biegał tak prędko, że nie uciekłaby przed nim żadna szwaczka wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy zakręcone ostro do góry. Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał - za kobietami. Co prawda, miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyzny będąc zajęty jeżeli nie praktyką, to - schadzkami. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józją i Filką zjeść kolację.

Gdy został mecenasem, czoło, skutkiem namiętnej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinią znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie z sześciu pokojów złożone, urządził w nim na własny koszt posadzkę, sprawił obicia, piękne meble - i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale nie czekając na oświadczyzny mecenasa wyszła za doktora.

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien me brakło. Ekwipował się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam me wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerię sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u mego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemną, i sięga w tył do białego jak śnieg kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tym bardziej, że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze niż zwykle towarzystwo, jedna z młodych pan rozejrzawszy się po salonach zawołała:

- Co za obrazy! A jakie gładkie posadzki! Żona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.

- Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie posadzki - odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa. W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspomniał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

- Iii!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne były jakby wiorstowymi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się on, nie unosił, ale - smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się wprzód z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galerii całe godziny.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

- Wiecie, państwo, że to jest wcale ładne. Należał do tych niewielu, którzy najpierwej poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

- Czekaście, może się jeszcze wyrobi! - mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występkach nie rozmawiał.

Na nieszczęście, żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto - nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny - zapalał się, jak był cichy - krzyczał, a jak był łagodny - wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się.

- Muzyka - mówił wzburzony - stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcję maszyny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są po prostu rabusie!

Zresztą - dodawał - katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstępie mecenasa do grających machin, wymyślił niesmaczny zań - i... wysłał mu pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie odkrywszy sprawcę wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi o rzecz tak małą na pozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

- Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

- Kazimierz, proszę pana.

- Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz

dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

- Rozumiem, wielmożny panie.

- A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

- Nie mogę wiedzieć, jasnie panie - odpowiedział wzruszony stróż.

- Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie wpuszczał katarynek. Rozumiesz?...

- Rozumiem, jasnie wielmożny panie.

Lokal mecenasa składał się z dwu części. Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze - od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. W niej odbywały się rauty, przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasa ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia, czy wywoskowano posadzki, czy starto kurz i nie uszkodzono mebli.

Całe zaś dnie, o ile nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy albo przeglądał dokumenta znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu naprzeciw okna i zapaliwszy cygaro zatapiał się w rozmyślniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcją życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który spadłszy z etatu przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją służką.

Ale od św. Jana staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótniowego usposobienia wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodsza z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa, i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołkach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny przeznaczone do szycia i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka za pomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

"Dziwne dziecko!" - mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukietek. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała na powrót w bukietek, włożyła go w szklankę wody i usiadłszy w swoim oknie rzekła:

- Prawda, mamó, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało

naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzął na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto, co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka oparłszy głowę na rękę położyła się prawie na wznak w swoim oknie - i - szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

- Ona nie widzi! - szepnął mecenas opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył klucia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidomą od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

- Mamo, czy to jest noc?...

- Nie, moje dziecko... A dlaczego ty tak mówisz? Ale dziewczynka nie odpowiedziała: spać się jej chciało. Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

- Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

Ale chora im bardziej odzyskiwała siły, tym mocniej niepokoiła się swoim kalectwem...

- Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?...

- Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

- Kiedy przejdzie?...

- Niedługo. . - Może jutro, proszę mamy?

- Za kilka dni, moja dziecino.

- A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłym oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem; sama ubierała się i rozbierała powoli i ostrożnie. ' Ale wzrok nie wracał.

Jednego razu. mówiła:

- Prawda, mamo, że ja mam niebieską sukienkę?...

- Nie, dziecko, masz popielatą.

- Mama ją widzi?

- Widzę, moje kochanie.

- Tak jak i w dzień?

- Tak.

- Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?... Nie, może za miesiąc...

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

- Prawda, mamo, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?...

Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnymi łapami?... Prawda, mamo, że ja widziałam siebie w lustrze?... Nie ma tu lustra?...

Matka podaje jej lusterko.

- Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie - mówiła dziewczynka przykładając lustro do twarzy. - Nic nie widzę! - rzekła. - Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

- Widzę cię, moja ptaszyno.

- Jakim sposobem?... - zawołała dziewczynka żałośnie. - Przecie jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic...

A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?...

Ale matka rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszym zajęciem kaleki było dotykać rękoma drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, pieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku wysłanym wata.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kąciku swoją córkę już ubraną i bawiącą się lalką.

- Co ty robisz, dziecino? - zawołała. - Dlaczego nie śpisz?

- Bo już przecie jest dzień, proszę mamy - odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze...

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i miękką, błyszczący pieniądz był twardym i dźwięcznym krążkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś - skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że zbliżywszy się do ściany czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy - dorożka, a kiedy - kary wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. Z niepojętą bystrością pochwytywała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski.

Raz matka zawołała służącej.

- Nie ma Janowej - rzekła kaleka siedząc jak zwykle w kąciku. - Poszła po wodę.

- A skąd wiesz o tym? - zapytała zdziwiona matka.

- Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napompowała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie zza parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu i to ją nieco uspakajało.

Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej - podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne.

Przygłuszony turkot uliczny dolatywał z góry; inne odgłosy niknęły. To była noc dla ociemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działa się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej niż w pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic; tu skupiały się krzyki z całego domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień...

Nie dość na tym. Na strychu częściej niż w pokoju świeciło słońce, a gdy dziewczynka

skierowała na nie przygasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nic przypomnieć sobie nie mogła...

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwym nieszczęściem. Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. Nie słyszała ptaków ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny ani druciarze, ani śmieciarki. Nie puszczano bab śpiewających pieśni pobożne ani dziada, który grał na klarncie, ani kataryniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecie nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczęła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho...

- Biedne dziecko! - szeptał nieraz pan Tomasz przypatrując się smutnemu maleństwu.

"Gdybym mógł dla niej co zrobić?" - myślał widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i co dzień niknie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i jak zwykle oddał mu do przejrzenia papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale jako doświadczony praktyk umiał wskazać najważniejszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz im więcej wczytywał się w papiery, tym bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonach, tylko zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenta i notował.

Wieczorem stary lokaj mecenasa przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierny, Kazimierz, zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień - do kozy. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?...

Ale mecenas, pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kółka dymu, a na wierne go sługę nawet nie spojrzął.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szpakowate faworyty na szafirowym tle pokojowego obicia przypominały "studia z natury". Matka ociemniałej dziewczynki i jej współpracowniczka robiąca pończochy na maszynie podziwiała mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzemać nad biurkiem.

Tymczasem -mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a w roku 1875 - synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X był wariatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nie ulegające wątpliwości świadectwa, że X i w roku 1872, i w 1875 działał jak obłąkany, a cały swój majątek jeszcze w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie, kiedy naprawdę X był wariatem, a następnie o pogodzenie trzech poważnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samym oknem pana Tomasza odezwała się -katarynka!...

Gdyby zmarły X wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomóc mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowymi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! jakby na większą szykanę katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, od czasu do czasu odzywająca się w niej, ryczała jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacjom.

Ale nie, to nie były halucynacje. To była rzeczywista katarynka, z popsutymi piszczawkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkta. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem!

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnym uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył jak tygrys do okna i postanowił - zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: "Ty... próżniaku jakiś!..." - gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwno.

Mała niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknym zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasu mało nie przyprawiła o apopleksję.

Na dobitkę, kataryniarz widząc uciechę dziecka zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i od czasu do czasu pogwizdywać niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! jak on ślicznie gwizdał...

Do gabinetu mecenasu wpadł wierny lokaj ciągnąc za sobą stróża i wołając:

- Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj - krzyczał lokaj targając za ramię oszołomionego stróża - posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę tak fałszywie i wrzaskliwie jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady:

- Słuchaj no, kochanku... A jak ci na imię?...

- Paweł, jaśnie panie.

- Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

- Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! -wtrącił spieszenie lokaj.

- Nie - rzekł pan Tomasz. - Za to, ażebyś przez jakiś czas co dzień puszczał katarynki.

Rozumiesz?

- Co pan mówi?... - zawołał służący, którego nagle rozzuchwiał ten niepojęty rozkaz.

- Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał co dzień katarzynki na podwórze - powtórzył mecenas wsadzając ręce w kieszenie.

- Nie rozumiem pana!... - odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

- Głupiś, mój kochany! - rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

No, idźcie do roboty - dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa wyrzucił katarzynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że katarzyniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniej, co już okrutnie drażniło mecenas, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów wyszedł mruczając:

- Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się nim od dawna...

KAMIZELKA

Niektórzy ludzie mają pociąg do zbierania osobliwości kosztowniejszych lub mniej kosztownych, na jakie kogo stać. Ja także posiadam zbiorek, lecz skromny, jak zwykle w początkach.

Jest tam mój dramat, który pisałem jeszcze w gimnazjum na lekcjach języka łacińskiego... Jest kilka zasuszonych kwiatów, które trzeba będzie zastąpić nowymi, jest...

Zdaje się, że nie ma nic więcej oprócz pewnej bardzo starej i zniszczonej kamizelki.

Oto ona. Prząd spłowiała, a tył przetarty. Dużo plam, brak guzików, na brzegu dziurka, wypalona zapewne papierosem. Ale najciekawsze w niej są ściągacze. Ten, na którym znajduje się sprzączka, jest skrócony i przyszyty do kamizelki wcale nie po krawiecku, a ten drugi, prawie na całej długości, jest pokłuty zębami sprzączki.

Patrząc na to od razu domyślasz się, że właściciel odzienia j zapewne co dzień chudnął i wreszcie dosięgnął!, tego stopnia, na którym kamizelka przestaje być niezbędną, ale natomiast okazuje się bardzo potrzebnym zapięty pod szyję frak z magazynu pogrzebowego.

Wyznaję, że dziś chętnie odstąpiłbym komu ten szmat sukna, który mi robi trochę kłopotu. Szaf na zbiory jeszcze nie mam, a nie chciałbym znowu trzymać chorej kamizelczyny między własnymi rzeczami. Był jednak czas, żem ją kupił za cenę znakomicie wyższą od wartości, a dałbym nawet i drożej, gdyby umiano się targować. Człowiek miewa w życiu takie chwile, że lubi otaczać się przedmiotami, które przypominają smutek.

Smutek ten nie gnieździł się mnie, ale w mieszkaniu bliskich sąsiadów. Z okna mogłem co dzień spoglądać do wnętrza ich pokoiku.

Jeszcze w kwietniu było ich troje: pan, pani i mała służąca, która sypiała, o ile wiem, na kufierku za szafą. Szafa była ciemnowiśniowa. W lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, zostało ich tylko dwoje: pani i pan, bo służąca przeniosła się do takich państwa, którzy płacili jej trzy ruble na rok i co dzień gotowali obiady.

W październiku została już tylko - pani, sama jedna. To jest niezupełnie sama, ponieważ w pokoju znajdowało się jeszcze dużo sprzętów: dwa łóżka, stół, szafa... Ale na początku listopada sprzedano z licytacji niepotrzebne rzeczy, a przy pani ze wszystkich pamiątek po mężu została tylko kamizelka, którą obecnie posiadam.

Lecz w końcu listopada pewnego dnia pani zawołała do pustego mieszkania handlarza starzyzny i sprzedała mu swój parasol za dwa złote i kamizelkę po mężu za czterdzieści groszy. Potem zamknęła mieszkanie na klucz, powoli przeszła na dziedziniec, w bramie oddała klucz stróżowi, chwilę popatrzyła w swoje niegdyś okno, na które padały drobne płatki śniegu, i - znikła za bramą.

Na dziedzińcu został handlarz starzyzny. Podniósł do góry wielki kołnierz kapoty, pod pachę wetknął dopiero co kupiony parasol i owinąwszy w kamizelkę ręce czerwone z zimna, mruczał:

- Handel, panowie... handel!... Zawołałem go.

- Pan dobrodziej ma co do sprzedania? - zapytał wchodząc.

- Nie, chcę od ciebie coś kupić.

- Pewnie wielmożny pan chce parasol?... - odparł Żydek. Rzucił na ziemię kamizelkę, otrząsnął śnieg z kołnierza i z wielką usilnością począł otwierać parasol.

- A fajny mebel!... - mówił. - Na taki śnieg to tylko taki parasol... Ja wiem, że wielmożny pan może mieć całkiem jedwabny parasol, nawet ze dwa. Ale to dobre tylko na lato!...

- Co chcesz za kamizelkę? - spytał.

- Jake kamizelkie?... - odparł zdziwiony, myśląc zapewne o swojej własnej.

Ale wnet opamiętał się i szybko podniósł leżącą na ziemi.

- Za te kamizelki?... Pan dobrodziej pyta się o te kamizelki?...

A potem, jakby zbudziło się w nim podejrzenie, spytał:

- Co wielmożnego pana po take kamizelki?!...

- Ile chcesz za nią?

Żydowi błysnęły żółte białka, a koniec wyciągniętego nosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Da wielmożny pan... rubelka! - odparł roztaczając mi przed oczyma towar w taki sposób, ażeby okazać wszystkie jego zalety.

- Dam ci pół rubla.

- Pół rubla?... taky ubjór?... To nie może być! - mówił handlarz.

- Ani grosza więcej.

- Niech wielmożny pan żartuje zdrów!... - rzekł klepiąc mnie po ramieniu. - Pan sam wi, co taka rzecz jest warta. To przecie nie jest ubjór na małe dziecko, to jest na dorosłe osoby...

- No, jeżeli nie możesz oddać za pół rubla, to już idź. Ja więcej nie dam.

- Ino niech się pan nie gniewa! - przerwał mięknąc. - Na moje sumienie, za pół rubelka nie mogę, ale - ja zdaję się na pański rozum... Niech pan sam powie: co to jest wart, a ja się zgodzę!... 'Ja wolę dołożyć, byle to się stało, co pan chce.

- Kamizelka jest warta pięćdziesiąt groszy, a ja d daję pół rubla.

- Pół rubla?... Niech będzie już pół rubla!... - westchnął wpychając mi kamizelkę w rękę. - Niech będzie moja strata, byle ja z gęby nie robił... ten wjatr!...

I wskazał ręką na okno, za którym kłębił się tuman śniegu. Gdym sięgnął po pieniądze, handlarz, widocznie coś przypomniawszy sobie, wyrwał mi jeszcze raz kamizelkę i począł szybko rewidować jej kieszonki.

- Czegóż ty tam szukasz?

- Możem co zostawił w kieszeni, nie pamiętam! - odparł najnaturalniejszym tonem, a zwracając mi nabytek dodał:

- Niech jaśnie pan dołoży choć dziesiątkę!...

- No, bywaj zdrów! - rzekłem otwierając drzwi.

- Upadam do nóg!... Mam jeszcze w domu bardzo porządne futro...

I jeszcze zza progu, wytknąwszy głowę, zapytał:

- A może wielmożny pan każe przynieść serki owczych?...

'W parę minut znowu wołał na podwórzu: "Handel! handel!..." - a gdym stanął w oknie, ukłonił mi się z przyjacielskim uśmiechem.

Śnieg zaczął tak mocno padać, że prawie zmierzchno się. Położyłem kamizelkę na stole i począłem marzyć to o pani, która wyszła za bramę nie wiadomo dokąd, to o mieszkaniu, stojącym pustką obok mego, to znowu o właścicielu kamizelki, nad którym coraz gęstsza warstwa śniegu narasta...

Jeszcze trzy miesiące temu słyszałem, jak w pogodny dzień wrześniowy rozmawiali ze sobą. W maju pani raz nawet - nuciła jakąś piosenkę, on śmiał się czytając "Kuriera Świątecznego". A dziś...

Do naszej kamienicy sprowadzili się na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcje, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzył z takim podziwem jak podróżnik na Tatry. Za to musiał dużo pracować, po całych dniach. Widywałem nawet go i o północy, przy lampie, zgiętego nad stolikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego przerywała swoją robotę

i mówiła tonem upominającym:

- No, już dość będzie, połóż się spać.

- A ty kiedy pójdziesz spać?...

- Ja... jeszcze tylko dokończę parę ściegów...

- No... to i ja napiszę parę wierszy... Znowu oboje pochylali głowy i robili swoje. I znowu po jakimś czasie pani mówiła:

- Kładź się!... kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar wybijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi, ani ładni, ani brzydzy, w ogóle spokojni. O ile pamiętam, pani była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą. Powiedziałbym, że nawet za tęgą na tak małego urzędnika.

Co niedzielę, około południa, wychodzili na spacer trzymając się pod ręce i wracali do domu późno wieczór. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz spotkałem ich przy bramie oddzielającej Ogród Botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przy tym spokojne fizjognomię mieszczan, którzy zwykli jadać przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem.

W ogóle biednym ludziom niewiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom, o ile się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności dostał jednocześnie tak silnego krwotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Żona, utuliwszy go na łóżku, sprowadziła do pokoju stróżowę, a sama pobiegła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwie jednego, i to wypadkiem, na ulicy.

Doktor, spojrzawszy na nią przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne ją przede wszystkim uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się, zapewne ze zmęczenia, a dorożki na ulicy nie było, więc podał jej rękę i idąc tłumaczył, że krwotok jeszcze niczego nie dowodzi.

- Krwotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrow, nigdy nie kaszlał...

- O, tylko czasami! - szepnęła pani zatrzymując się dla nabrania tchu.

- Czasami? to jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

- Tak... to katar! - powtórzyła pani już głośno.

- Zapalenia płuc nie miał nigdy?...

- Owszem!... - odparła pani, znowu stając. Trochę się nogi pod nią chwiały.

- Tak, ale zapewne już dawno?... - pochwycił lekarz.

- O, bardzo... bardzo dawno!... - potwierdziła z pośpiechem. - Jeszcze tamtej zimy.

- Półtora roku temu.

- Nie... Ale jeszcze przed Nowym Rokiem... O, już dawno!

- A!... Jaka to ciemna ulica, a w dodatku niebo trochę zasłonięte... - mówił lekarz.

Weszli do domu. Pani z trwogą zapytała stróża: co słychać? -i dowiedziała się, że nic. W mieszkaniu stróżowa także powiedziała jej, że nic nie słychać, a chory drzemał.

Lekarz ostrożnie obudził go, wybałał i także powiedział, że to nic.

- Ja zaraz mówiłem, że to nic! - odezwał się chory.

- O, nic!... - powtórzyła pani ściskając jego spocznące ręce. -Wiem przecie, że krwotok może być z żołądka albo z nosa. U ciebie pewnie z nosa... Tyś taki tęgi, potrzebujesz ruchu, a ciągle siedzisz...

Prawda, panie doktorze, że on potrzebuje ruchu?...

- Tak! tak!... Ruch jest w ogóle potrzebny, ale małżonek pani musi parę dni poleżeć. Czy może wyjechać na wieś?

- Nie może... - szepnęła pani ze smutkiem.

- No - to nic! Więc zostanie w Warszawie. Ja będę go odwiedzał, a tymczasem - niech sobie poleży i odpocznie. Gdyby się zaś krwotok powtórzył... - dodał lekarz.

- To co, panie? - spytała żona blednąc jak wosk.

- No, to nic. Mąż pani wypocznie, tam się zasklepi...

- Tam... w nosie? - mówiła pani składając przed doktorem ręce.

- Tak... w nosie! Rozumie się. Niech pani uspokoi się, a resztę zdać na Boga. Dobranoc.

Słowa doktora tak uspokoiły panią, że po trwodze, jaką przechodziła od kilku godzin, zrobiło się jej prawie wesoło.

- No, i cóż to tak wielkiego! - rzekła, trochę śmiejąc się, a trochę popłakując.

Uklękła przy łóżku chorego i zaczęła całować go po rękach.

- Cóż tak wielkiego! - powtórzył pan cicho i uśmiechnął się. - Ile to krwi na wojnie z człowieka upływa, a jednak jest potem zdrów!...

- Już tylko nic nie mów - prosiła go pani.

Na dworze zaczęło świtać. W lecie, jak wiadomo, noce są bardzo krótkie.

Choroba przeciągnęła się znacznie dłużej, niż myślano. Mąż nie chodził już do biura, co mu tym mniej robiło kłopotu, że jako urzędnik najemny, nie potrzebował brać urlopu, a mógł wrócić, kiedy by mu się podobało i - o ile znalazłby miejsce. Ponieważ gdy siedział w mieszkaniu, był zdrowszy, więc pani wystarała się jeszcze o kilka lekcji j na tydzień i za ich pomocą opędzała domowe potrzeby.

Wychodziła zwykle do miasta o ósmej rano. Około pierwszej wracała na parę godzin do domu, ażeby ugotować mężowi obiad na maszynce, a potem znowu wybiegała na jakiś czas.

Za to już wieczory spędzali razem. Pani zaś, aby nie próżnować, brała trochę więcej do szycia.

Jakoś w końcu sierpnia spotkała się pani z doktorem na ulicy. Długo chodzili razem. W końcu pani schwyciła doktora za rękę i rzekła błagalnym tonem:

- Ale swoją drogą niech pan do nas przychodzi. Może też Bóg da!... On tak się uspakaja po każdej pańskiej wizycie...

Doktor obiecał, a pani wróciła do domu jakby s płakana. Pan też, skutkiem przymusowego siedzenia, zrobił się jakiś drażliwy i zwątpiały. Zaczął wymawiać żonie, że jest zanadto o niego troskliwa, że on mimo to umrze, a w końcu zapytał:

- Czy nie powiedział ci doktor, że ja nie przeżyję kilku miesięcy?

Pani zdrętwiała.

- Co ty mówisz? - rzekła. - Skąd ci takie myśli?... Chory wpadł w gniew.

- Oo, chodźże tu do mnie, o tu!... - mówił gwałtownie, chwytając ją za rękę. - Patrz mi prosto w oczy i odpowiadaj: nie mówił ci doktor?

I utopił w niej rozgorączkowane spojrzenie. Zdawało się, że pod tym wzrokiem mur wyszeptałby tajemnicę, gdyby ją posiadał.

Na twarzy kobiety ukazał się dziwny spokój. Uśmiechała się łagodnie, wytrzymując to dzikie spojrzenie. Tylko jej oczy jakby szkłem zaszyły.

- Doktor mówił - odparta - że to nic, tylko że musisz trochę wypocząć...

Mąż nagle puścił ją, zaczął drzeć i śmiać się, a potem machając ręką rzekł:

- No widzisz, jakim j a nerwowym!... Koniecznie ubrdało mi się, że doktor zwątpił o mnie... Ale...

przekonałaś mnie... Już jestem spokojny!...

I coraz weselej śmiał się ze swoich przywidzeń.

Zresztą taki atak podejrzliwości nigdy się już nie powtórzył. Łagodny spokój żony był przecie najlepszą dla chorego wskazówką, że stan jego nie jest złym.

Bo i z jakiej racji miał być zły?

Był wprawdzie kaszel, ale - to z kataru oskrzeli. Czasami, skutkiem długiego siedzenia, pokazywała się krew - z nosa. No, miewał też jakby gorączkę, ale właściwie nie była to gorączka, tylko - taki stan nerwowy.

W ogóle czuł się coraz zdrowszym. Miał nieprzepartą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz - trochę sił mu brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał leżeć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go tylko jeden szczegół.

Pewnego dnia kładąc kamizelkę uczuł, że jest jakoś bardzo luźna.

- Czybym aż tak schudł?... - szepnął.

- No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizernieć - odparła żona. - Ale przecież nie można przesadzać...

Mąż bacznie spojrział na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest tak znowu bardzo chory, więc nie ma powodu martwić się.

W początkach wrześnie nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej, prawie po całych dniach.

- To głupstwo! - mówił chory. - Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdrażnienie, każdy jest nieswój... To mnie tylko dziwi: dlaczego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć, i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!...

Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszość.

Chory co dzień wstawał z łóżka i ubierał się, pomimo że bez pomocy żony nie mógł wciągnąć na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

- Dziwić się tu - mówił nieraz, patrząc w lustro - dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ jak wyglądam!...

- No, twarz zawsze łatwo się zmienia - wtrąciła żona.

- Prawda, tylko że ja i w sobie chudnę...

- Czy ci się nie zdaje? - spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości. Zamyślił się.

- Ha! może i masz racją... Bo nawet... od kilku dni uważam, że... coś... moja kamizelka...

- Dajże pokój! - przerwała pani - przecież nie utyłeś...

- Kto wie? Bo, o ile uważam po kamizelce, to...

- W takim razie powinny by ci wracać siły.

- Oho! chciałabyś tak zaraz... Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy jeszcze nie zaraz nabiorę sił...

A co ty tam robisz za szafą?... - spytał nagle.

- Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty. •'

- Nie wysilajże się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer...

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiły się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę zaś dni wołał do siebie

żonę i mówił:

- No... patrzajże. Sama się przekonaj: wczoraj mogłem tu jeszcze włożyć palec, o - tu... A dziś już nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała!...

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcy j, powitał ją z błyszczącymi oczyma i rzekł bardzo wzruszony:

- Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret... Ja z tą kamizelką, widzisz, trochę szachrowałem. Ażeby ciebie uspokoić, co dzień sam ściągałem pasek, i dlatego - kamizelka była ciasna... tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się myśląc, że się wyda sekret, gdy wtem dziś... Wiesz, co d powiem?... Ja dziś, daję ci najświętsze słowo, zamiast ściągać pasek, musiałem go trochę rozluźnić!... Było mi formalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej...

No, teraz i ja wierzę, że będę zdrow... Ja sam!... Niech doktor myśli, co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek, który bez ściągnięcia pasków zaczyna nabierać ciała, nie położył się, ale jak w fotelu oparł się w objęciach żony.

- No, no!... - szeptał - kto by się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!...

- No... no!...

I przesiedzieli tuląc się jedno do drugiego cały wieczór.

Chory był wzruszony jak nigdy.

- Mój Boże! - szeptał całując żonę po rękach - a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwu miesięcy dziś dopiero, pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrow.

Bo to przy chorym wszyscy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka - ta już nie skłamię!...

Dziś patrząc na starą kamizelkę widzę, że nad jej ściągaczami pracowały dwie osoby. Pan - co dzień posuwał sprzączkę, ażeby uspokoić żonę, a pani co dzień - skracała pasek, aby mężowi dodać otuchy.

"Czy znowu zejdą się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?..." - myślałem patrząc na niebo.

Nieba prawie już nie było nad ziemią. Padał tylko śnieg taki gęsty i zimny, że nawet w grobach marzły ludzkie popioły.

Któż jednak powie, że za tymi chmurami nie ma słońca?...

Potem śmiech zamienił się w wesołą rozmowę, potem wielokrotnie powtórzono stówko: "dobranoc!" - i nareszcie wszystko umilkło. Zbudzony ptak mocniej objął palcami gałązkę i znowu zasnął. I śniło mu się w główce schowanej pod skrzydło, że jest, jak niegdyś, małym ptaszkiem i że śpi w gnieździe, otulony gorącą piersią matki.

GRZECHY DZIECIŃSTWA

Urodziłem się w epoce, kiedy każdy człowiek musiał mieć przydomek, choćby niekoniecznie słuszny.

Z tego powodu naszą dziedziczkę nazywali hrabiną, mego ojca jej plenipotentem, a mnie bardzo rzadko Kaziem albo Leśniewskim, ale dość często urwisem, dopóki byłem w domu, albo osłem, kiedym już poszedł do szkół.

Ponieważ na próżno szukałby kto nazwiska naszej dziedziczki w słowniku rodzin arystokratycznych, zdaje mi się więc, że blask jej hrabiowskiej korony nie sięgał dalej niż plenipotencja mego śp. ojca. Przypominam sobie nawet, że tytuł hrabiny był rodzajem pomnika, którym śp. mój ojciec uczcił radosny wypadek podwyższenia mu pensji rocznie o sto złotych. Nasza pani w milczeniu przyjęła ofiarowaną jej godność, a w kilka dni później ojciec mój awansował z rządcy na plenipotentą i otrzymał zamiast dyplomu niesłychanej wielkości wieprzka, po sprzedaniu którego kupiono mi pierwsze buty.

Ojciec, ja i moja siostra Zosia (bom już nie miał matki) mieszkaliśmy w murowanej oficynie, o kilkadziesiąt kroków od pałacu. Pałac zaś zajmowała pani hrabina z córeczką Lonią, moją rówieśnicą, z jej guwernantką, ze starą gospodynią Salusią tudzież z wielką liczbą garderobianych i panien służących. Dziewczęta te po całych dniach szyły, z czego wyprowadziłem wnioski, że wielkie panie są od tego, ażeby darły odzież, a dziewczęta - ażeby ją naprawiały. O innych przeznaczeniach wielkich dam i ubogich dziewcząt nie miałem pojęcia, co w oczach ojca stanowiło jedyną moją zaletę.

Pani hrabina była młodą wdową, którą mąż dość wcześnie pograżył w nieutulonym smutku. O ile mi wiadomo z tradycji, nieboszczyka nikt nie tytułował hrabią ani on nikogo plenipotentem. Natomiast sąsiedzi z dziwną w naszym kraju jednomyślnością nazywali go półgłówkiem. W każdym razie był to człowiek niepospolity. Zajeżdżał wierzchowe konie, tratował na polowaniach chłopskie zasiewy, a z sąsiadami pojedynkował się o psy i zające. W domu męczył żonę zazdrością, a służbie zatruwał życie długim pieprzowym cybuchem. Po śmierci oryginała jego wierzchowce poszły do wożenia gnoju, a psy rozdarowano. Świat zaś otrzymał po nim w spadku małą córeczkę i młodą wdowę. Ach! przepraszam, bo został jeszcze olejny portret nieboszczyka z herbowym sygnetem na palcu i - ów pieprzowy wybuch, który skutkiem niewłaściwego użycia wygiął się jak turecka szabla.

Pałacu prawie nie znałem. Raz dlatego, że wolałem biegać po polach niż wywracać się na śliskiej posadzce, a po wtóre, że mnie tam nie wpuszczała służba, bo przy pierwszych odwiedzinach miałem nieszczęście stłuc duży wazon saski.

Z hrabianką, przed moim wejściem do szkół, bawiliśmy się tylko jeden raz, mając oboje niespełna po dziesięć lat. Przy sposobności chciałem ją nauczyć sztuki łażenia po drzewach i usadowiłem ją na żerdziowym płocie w taki sposób, że dziewczynka poczęła wniebogłoso krzyżeć, za co jej guwernantka wybiła mnie niebieskim parasolem mówiąc, że mogłem Loni zrobić na całe życie nieszczęśliwą.

Od tej pory zbudził się we mnie wstręt do małych dziewcząt, z których żadna nie była w stanie ani łazić po drzewach, ani kąpać się ze mną w stawie, ani jeździć konno, ani strzelać z łuku albo rzucać kamieni z procy. W razie zaś bitwy, bez której - cóż znaczy zabawa! prawie każda zaczynała mazać się i biegła do kogoś na skargę.

Ponieważ z folwarcznymi chłopcami ojciec znowu nie pozwalał mi się wdawać, a siostra prawie całe dni przepędzała w pałacu, więc rosłem i hodowałem się sam jak drapieżne pisklą, które porzucili rodzice. Kąpałem się pode młynem albo w dziurawym czólnie pływałem po stawie. W

parku, ze zwinnością kota, goniłem po gałęziach wiewiórki. Raz wywróciło mi się czółno i pół dnia przesiadziałem na pływającej kępie, nie większej od balii. Raz przez dymnik wdrapałem się na dach pałacu tak nieszczęśliwie, że musiano związać dwie drabiny dla sprowadzenia mnie stamtąd. Innego dnia całą dobę błąkałem się po lesie, a jeszcze innego stary wierzchowiec nieboszczyka dziedzica, przypomniawszy sobie lepsze czasy, z godzinę ponosił mnie przez pola i w końcu - zapewne niechcący - przyprawił o złamanie nogi, która zresztą zrosła mi się dość prędko.

Nie mając z kim żyć, żyłem z naturą. Znałem w parku każde mrowisko, w polu każdą jamę chomików, w ogrodzie każdą ścieżkę kretów. Wiedziałem o ptasich gniazdach i o dziuplach, gdzie hodowały się młode wiewiórki. Odróżniałem szmer każdej lipy około domu i umiałem wyśpiewać to, co wiatr wygrywa na drzewach. Nieraz słyszałem jakieś wiekuiste chodzenie po lesie, choć nie wiedziałem, czyje ono. Wpatrywałem się w migotanie gwiazd, rozmawiałem z nocną ciszą, a nie mając kogo całować, całowałem psy podwórzowe. Matka moja dawno odpoczywała w ziemi. Już nawet pod przyciskającym ją kamieniem zrobił się otwór sięgający pewnie aż do wnętrza grobu. Raz, kiedy mnie za coś obito, poszedłem tam, wzywałem jej, nadstawiałem ucha, czy nie odpowie... Ale nie odpowiedziała nic. Widać naprawdę - umarła.

W owym czasie tworzyłem sobie pierwsze pojęcia o ludziach i o ich stosunkach. W mojej na przykład wyobraźni plenipotent musiał koniecznie być trochę otyły, mieć rumianą twarz, wąs zwieszony, duże brwi nad siwymi oczami, basowy głos i przynajmniej taką zdolność do krzyczenia - jak mój ojciec. Osoby zwanej hrabiną nie mogłem wyobrazić sobie inaczej, tylko jako wysoką damę, z piękną twarzą i smutnymi oczyma, chodzącą w milczeniu po parku w białej powłóczystej sukni.

Za to o człowieku noszącym tytuł hrabiego nie miałem pojęcia. Podobny człowiek, gdyby nawet istniał, wydawał mi się rzeczą mniej znaczącą od hrabiny, a nawet całkiem nieużyteczną i nieprzyzwoitą. Według moich poglądów tylko w obszernej sukni z drugim ogonem mógł przemieszkiwać majestat jaśnie wielmożności; wszelkie zaś odzienia krótkie, obcisłe, a tym bardziej złożone z dwu części mogły służyć tylko pisarzom prowentowym, gorzelnikom, a w najlepszym razie plenipotentom.

Takim był mój legitymizm oparty na przykazaniach ojca, który nieustannie zalecał mi - kochać i czcić panią hrabinę. Zresztą gdybym kiedy zapomniał o tych przepisach, dość mi było spojrzeć na czerwoną szafę w kancelarii ojca, gdzie obok kwitów i notatek wisiała na gwoździu pięciopalczasta dyscyplina, wcielenie zasad i społecznego porządku. Stanowiła ona dla mnie pewien rodzaj encyklopedii, na którą patrząc przypominałem sobie, że nie należy drzeć butów, ciągnąć źrebiąt za ogony, że wszelka władza pochodzi od Boga itd.

Ojciec mój był człowiek niezłomny w pracy, nieskazitelnie uczciwy, a nawet bardzo łagodny. Z chłopów i służby nikogo nie tknął palcem, tylko strasznie krzyczał. Jeżeli zaś był nieco surowy dla mnie, to zapewne nie bez słuszych powodów. Nasz organista, któremu raz wsypałem do tabaki odrobinę ciemniźcy, skutkiem czego przez całą mszę świętą kichał zamiast śpiewać i wciąż mylił się w graniu, często mawiał, że gdyby miał takiego jak ja syna, to by mu strzelił w łeb.

Dobrze pamiętam to zdanie.

Panią hrabinę nazywał ojciec aniołem dobroci. Istotnie, w jej wsi nie było ludzi ani głodnych, ani obdartych, ani krzywdzonych. Komu zrobiono źle, szedł do niej na skargę; kto był chory, brał ze dworu lekarstwo; komu urodziło się dziecko, prosił dziedziczkę w kumy. Moja siostra uczyła się razem z hrabianką, a ja sam, choć unikałem arystokratycznych stosunków, miałem jednak sposobność przekonania się o nadzwyczajnej łagodności hrabiny.

Ojciec mój posiadał kilka sztuk broni, z której każda była przeznaczona do innego celu. Ogromna dubeltówka miała służyć do zabijania wilków, które dusiły cielęta naszej dziedziczki; skałkowy

pistolet miał być użyty na obronę wszelkiej innej własności hrabiny, a wojskowy pałasz na obronę jej honoru. Swojej własności i honoru ojciec broniłby zapewne cywilnym kijem, bo cały ów bojowy rynsztunek, co kilka miesięcy pomazany tłustością, leżał gdzieś w takim kącie na strychu, że nawet ja nie mogłem go znaleźć.

Swoją drogą wiedziałem o tej broni i bardzo do niej tęskniłem. Nieraz marzyło mi się, że spełnię taki szlachetny czyn, za który ojciec pozwoli mi strzelić z ogromnego pistoletu, a tymczasem wymykałem się do gajowych i uczyłem się "wygarniać" z ich długich pojedynków, które posiadały tę własność, że przy wystrzale wyrządzały bezpośrednią szkodę tylko moim szczękom nie tykając żadnego stworzenia.

Pewnego dnia, podczas naoliwiania dubeltówki przeznaczonej na wilki, pistoletu na obronę własności i pałasza na obronę honoru hrabiny, udało mi się ukraść ojcu garść prochu, który o ile wiem, nie miał jeszcze specjalnego przeznaczenia. Gdy ojciec wyjechał w pole, schwyciłem olbrzymi klucz od spichrza, który posiadał otwór podobny do lufy tudzież dziurkę z boku, i poszedłem na polowanie.

Wielki klucz do połowy nabiłem prochem, wsypałem szczyptę połamanych guzików od nie dającej się wymienić części ubrania, przybiłem jak należy pakułami, a na wywołanie eksplozji wziąłem pudło hubczanych zapalek.

Ledwie wyszedłem za dom, ujrzałem kilka wron polujących na dworskie kaczęta. Prawie w moich oczach jedna ze szkodnic porwała kaczę, a nie mogąc go dość łatwo unieść przysiadła na obórce.

Na ten widok zagrała we mnie krew przodków spod Wiednia. Podkradłem się pod obórkę, zatliłem hubkę, wymierzyłem klucz w lewe oko wrony, dmuchnąłem, podpaliłem... Huknęło - jakby piorun uderzył. Ze szczytu obórki stoczyło się już zaduszone kaczętko na ziemię, wrona dotknięta śmiertelną obawą uciekła na najwyższą lipę, ja zaś ze zdumieniem przekonałem się, że w moich rękach z wielkiego klucza zostało tylko ucho, ale za to ze słomianego dachu obory zaczyna wydobywać się niewielki kłębek dymu, jakby kto palił fajkę.

W kilka minut później obórka, wartująca około pięćdziesięciu złotych, stanęła w ogniu.

Zbiegli się ludzie, przygalopował na koniu mój ojciec, po czym w asystencji tych wszystkich dzielnych i uczciwych osób, nieruchomość "wypaliła się - do środka ziemi" - jak powiedział pan gorzelany.

Przez ten czas ze mną działy się nieopisane rzeczy. Naprzód pobiegłem do mieszkania i powiesiłem na właściwym miejscu ucho od rozerwanego klucza. Potem uciekłem do parku z zamiarem utopienia się w sadzawce. W sekundę później zasadniczo zmieniłem projekt, postanowiłem kłamać jak prowentowy pisarz i wyprzeć się klucza, strzelania i obórki. Gdy mnie zaś schwytano - od razu przyznałem się do wszystkiego.

Zaprowadzono mnie do pałacu. Na tarasie zobaczyłem mego ojca, panią hrabinę w powłóczystej sukni, hrabiankę ubraną dość kuso i moją siostrę, obie płaczące; potem - klucznicę Salusię, kamerdynera, lokaja, chłopca z kredensu, kucharza, kuchcika i cały rój pokojówek, garderobianych i dziewcząt. Gdym odwrócił oczy w przeciwną stronę, ujrzałem za budynkami - zielone wierzchołki lip, a nieco dalej żółtawobrunatny słup dymu, który, jakby umyślnie, unosił się nad pogorzeliiskiem.

W tej chwili przypomniałem sobie słowa organisty, który mówił o konieczności strzelenia mi w łeb, i wywnioskowałem, że jeżeli kiedy, to chyba dzisiaj spotka mnie śmierć gwałtowna. Spaliłem oborę, zepsułem klucz od spichrza; siostra płacze, cała służba stoi w komplecie przed pałacem, cóż to więc znaczy?... Patrzyłem tylko, czy kucharz ma swoją fuzję - do jego bowiem obowiązków należało strzelanie zajęcy tudzież śmiertelnie chorych zwierząt domowych.

Przyrowadzono mnie do samej pani hrabiny. Ona spojrzała na mnie smutnymi oczyma, a ja,

założywszy ręce w tył (jak to zwykłem był machinalnie czynić w obecności ojca), zadarłem głowę do góry, bo pani była wysoka.

W taki sposób przez kilka chwil przyglądaliśmy się sobie. Służba milczała, a w powietrzu czuć było spaleniznę.

- Zdaje mi się, panie Leśniewski, że ten chłopczyk jest bardzo żywego usposobienia? - rzekła melodyjnym głosem pani hrabina do mego ojca.

- Łajdak!... podpalacz!... zepsuł mi klucz od spichrza! - odparł ojciec, a potem prędko dodał:

- Upadnij do nóg pani hrabiny, ty łotrze!... I lekko popchnął mnie naprzód.

- Macie mnie zabić, to zabijcie, ale ja tam nikomu nie będę padał do nóg! - odpowiedziałem nie spuszczać oka z pani, która zrobiła na mnie dziwne wrażenie.

- Chy!... Jezu... - jęknęła zgorszona Salusia składając ręce.

- Uspokój się, mój chłopczyku, bo tu nikt nie zrobi ci krzywdy - rzekła pani.

- Aha! nikt... Niby ja nie wiem, że mi strzelicie w łeb... Przecie mi to obiecał organista! - odparłem.

- Chy!... Jezu... - zawołała po raz drugi klucznica.

- Hańbi moją starość! - odezwał się ojciec. - Trzy skóry bym z tego gałgana zdarł i posolił, żeby go pod swoją obronę nie wzięła pani hrabina.

W rogu tarasu stojący kucharz zasłonił usta ręką i śmiał się, aż zsiniał. Nie mogłem wytrzymać i - pokazałem mu język.

Służba zaszemrała ze zdziwienia, a ojciec, chwytając mnie za ramię, krzyknął:

- A ty znowu co?... Wobec pani hrabiny pokazujesz język?...

- Ja pokazałem język kucharzowi, bo on myślał, że mnie tak zastrzeli jak starego bułanka ...

Pani hrabina zrobiła się jeszcze smutniejsza. Odgarnęła mi włosy z czoła, spojrzała głęboko w oczy i rzekła do ojca:

- Kto wie, panie Leśniewski, co jeszcze będzie z tego dziecka?...

- Szubienicznik! - krótko odpowiedział stroskany ojciec.

- Nie wiadomo - odparła pani gładząc mi najeżone włosy. - Trzeba by go do szkół oddać, bo tu zdziczeje.

A potem, odchodząc do salonu, rzekła półgłosem:

- Jest materiał na człowieka, panie Leśniewski. Trzeba go tylko uczyć.

- Stanie się według woli pani hrabiny! - odpowiedział ojciec dając mi pięścią w kark.

Z tarasu odeszli wszyscy, ale ja zostałem, nieruchomy jak kamień, zapatrzony we drzwi, w których znikła nasza dziewczynka. Teraz dopiero pomyślałem z żalem dlaczego nie upadł jej do nóg? - i uczułem jakieś dławienie w piersiach. Gdyby kazała, chętnie położyłbym się na zgliszczach obórki i tak dałbym się powoli upiec na niej. Nie za to, że mnie nie kazała zastrzelić kucharzowi ani zbić, ale za to, że miała taki słodki głos i takie smutne spojrzenie.

Od tego dnia byłem już mniej swobodny. Pani hrabina nie życzyła sobie tracić w ogniu reszty zabudowań, ojcu było przykro, że nie mógł uregulować ze mną rachunku za spaloną oborę, a ja sam musiałem przygotowywać się do szkół. Uczyli mnie organista i gorzelany na przemian. Mówiono nawet, że jakichś przedmiotów będzie mi wykladała guwernantka z pałacu. Ale gdy dama ta, przy zapoznaniu się ze mną, zobaczyła, że mam pełne kieszenie nożów, kamieni, śrutu i kapiszonów, zlekła się tak, że już nie chciała widzieć mnie po raz drugi.

- Ja takim bandytom nie daję lekcji - powiedziała do mojej siostry.

Ja jednak w tych czasach już bardzo spoważniałem. Tylko raz chciałem się, na próbę, powiesić. Ale później wypadło mi jakieś inne zajęcie, więc nie zrobiłem sobie nic złego.

Nareszcie w początkach sierpnia odwieziono mnie do szkół.

Egzamin zdałem wcale dobrze dzięki polecającym listom pani hrabiny, po czym ojciec umieścił mnie na stacji z korepetycją, rodzicielską opieką i wszelkimi wygodami za dwieście złotych i pięć korcy ordynarii na rok i - sprawił mi szkolny uniform.

Nowy strój tak mnie zajął, że nie mogąc nacieszyć się nim w ciągu dnia, wstałem cichutko w nocy, ubrałem się po ciemku w surdut z czerwonym kołnierzem, włożyłem na głowę czapkę z czerwonym lampasem i miałem zamiar posiedzieć tak kilka minut. Ponieważ jednak noc była dżdżysta, ode drzwi trochę ciągnęło, a ja poza obrębem munduru i czapki byłem w negliżu, więc trochę zdrzemnąłem się i przespałem w uniformie do rana.

Taki sposób nocowania bardzo rozweselił moich kolegów, ale w gospodarzu naszej stacji obudził podejrzenie, że ma w domu nadzwyczajnego urwisa. Pobiegł czym prędzej do zajazdu, gdzie stał mój ojciec, i powiedział mu, iż za żadne w świecie skarby nie chce mnie trzymać na stacji, chyba - że mu ojciec dołoży jeszcze pięć korcy kartofli na rok. Po długich targach stanęło na trzech korcach, ale swoją drogą ojciec pożegnał się ze mną w tak demonstracyjny sposób, że ani żałowałem go, kiedy wyjeżdżał, ani tęskniłem za domem, gdzie częściej mogły mnie spotykać podobne owacje.

Przebieg mojej edukacji w klasie pierwszej nie przedstawia żadnych wybitniejszych momentów. Dziś patrząc na owe czasy z historycznej odległości, koniecznej, jak wiadomo, dla sformowania obiektywnego sądu, wyznaję, że w ogólnych zarysach życie moje zmieniło się niewiele. W szkole trochę dłużej przesiadywałem w zamkniętej sali, w domu - trochę więcej biegałem po otwartej przestrzeni. Zmieniłem suknie cywilne na mundur, a osoby, pracujące nad harmonijnym rozwinięciem moich fizycznych i duchowych uzdolnień, zamiast dyscypliny - używały różgi.

I oto wszystko.

Szkoła, jak wiadomo, dzięki swemu zbiorowemu charakterowi przygotowuje chłopców do życia w społeczeństwie i daje im takie umiejętności, jakich by nie nabyli chowając się pojedynczo. O tej prawdzie przekonałem się w tydzień po przybyciu do szkoły, gdzie nauczyłem się sztuki dawania serów, która wymaga współdziałania najmniej trzech osób, a więc nie może istnieć poza obrębem społeczeństwa.

Teraz dopiero odkryłem w sobie ten rzeczywisty talent, którego natura chroniła mnie od teoretycznych zaciekań, a popychała w kierunku działalności zbiorowej. Należałem do pierwszorzędnych graczy w palanta, bywałem matką w bitwach, organizowałem pozaklasowe wycieczki, zwane wagusami, dyrygowałem w klasie ogólnym tupaniem lub beczeniem, cośmy sobie dla wytchnienia urządzali niekiedy, w sześćdziesięciu. Natomiast znalazłszy się samotnym wobec gramatycznych prawideł, wyjątków, deklinacyj i koniugacyj, tworzących, jak wiadomo, podstawę filozoficznego myślenia, wnet uczuwałem w duszy jakąś pustkę, z której głębi wynurzała się - senność.

Jeżeli przy takim talencie do nieuczenia się wypowiadałem lekcje stosunkowo dość płynnie, to tylko dzięki silnemu wzrokowi, który pozwalał mi czytać z książki odległej o dwie lub trzy ławki. Zdarzało się niekiedy, że m wydawał zupełnie co innego, niż było zadane, lecz wówczas uciekałem się do modelowego w takich wypadkach usprawiedliwienia. Mówiłem mianowicie, że m nie dosłyszał pytania albo że "się załąłem".

W ogóle byłem uczniem - przyszłości, nie tylko dlatego, że m budził niezadowolenie w starych rutynistach, a posiadałem sympatię młodych, ale i dlatego, że dobre stopnie z różnych przedmiotów, a wraz z nimi nadzieję promocji widziałem tylko w marzeniach, wybiegających daleko poza teraźniejszość.

Moje stosunki z nauczycielami były rozmaite.

Profesor łaciny pisał mi nie najgorsze stopnie za to, że pilnie uczyłem się gimnastyki, którą także on wykładał. Książdz prefekt wcale mi nie dawał stopni, ponieważ zasypywałem go kłopotliwymi pytaniami, na które jedyną odpowiedzią z jego strony było:

"Leśniewski, idź klęczeć!" Nauczyciel rysunków i kaligrafii protegował mnie jako rysownik, ale potępiał jako kaligraf; lecz ponieważ w jego umyśle sztuka pisania była najważniejszym szkolnym przedmiotem, więc przy głosowaniu z sobą samym przeważał na stronę kaligrafii i dawał mi jednostki, niekiedy dwójki.

Arytmetykę rozumiałem wcale dobrze, ten bowiem wykład oparty był na metodzie pogładowej, to jest "na biciu łap" za nieuwagę. Nauczyciel języka polskiego wróżył mi świetną karierę, ponieważ raz udało mi się napisać mu na imieniny wiersz obejmujący pochwałę jego surowości. Nareszcie, stopnie z innych przedmiotów zależały od tego, czy moi sąsiedzi dobrze mi podpowiadali albo czy leżąca na poprzedniej ławce książka była otwarta we właściwym miejscu.

Najpoufalsze jednak stosunki łączyły mnie z inspektorem. Człowiek ten tak przyzwyczał się do wypukiwania mnie z klasy w czasie lekcji i do widywania się ze mną po lekcjach, że był szczerze zaniepokojony, gdy w którym tygodniu nie przypominałem się jego pamięci.

- Leśniewski! - zawołał pewnego dnia spostrzegłszy, że już idę z klasy do domu. - Leśniewski!... a dlaczego ty nie zostajesz?...

- Przecież nic nie zrobił - odpowiadam mu.

- Jak to, więc nie jesteś zapisany do dziennika?

- Jak ojca kocham, tak nie!

- I umiałeś lekcje?...

- Kiedy mnie dziś wcale nie **wyrywali!**... Inspektor zamyślił się.

- Coś w tym jest! - szepnął. - Wiesz, Leśniewski, zostań ty tu na chwilkę.

- Mój złocisty panie inspektorze, przecież ja nic nie winien!... jak ojca kocham!... jak Bożę kocham!...

- Aha... przysięgasz się, ośle?... Chodźże mi tu zaraz!... A jeżeliś naprawdę nic nie zmalował, to - policzy ci się na drugi raz!...

W ogóle miałem u pana inspektora kredyt otwarty, co mi w szkole zrobiło pewną popularność, tym istotniejszą, że nikogo nie pobudzała do konkurencji.

Między kilkudziesięcioma pierwszoklasistami, z których jeden golił już wąsy prawdziwą brzytwą, trzech po całych dniach grał w karty pod ławką, a inni byli zdrowi jak kantoniści, znajdował się kaleka - Józio. Był to chłopczyk garbaty, karzeł na swój wiek, mizerny, z małym noskiem sinym, bladymi oczyma i gładkimi włosami. Był tak wątyły, że musiał odpoczywać idąc z domu do szkoły, a taki bojaźliwy, że gdy go wyrwano do lekcji, tracił mowę ze strachu. Nigdy nie bił się z nikim, tylko prosił innych, ażeby jego nie bili. Gdy mu raz "dano szczupaka" po suchej jak patyk ręczynie - zemdłał, ale otrzeźwiony - nie poskarżył się.

Miał on oboje rodziców, ale ojciec wygnał matkę z domu, a Józia zatrzymał przy sobie pragnąc sam kierować jego edukacją. Sam chciał odprowadzać syna do szkoły, chodzić z nim na spacer, dawać mu korepetycje, ale nie robił tego z powodu braku czasu, który mu dziwnie prędko ginął w handlu trunków i owsianego piwa u Moszka Lipy.

Tym sposobem Józio nie miał żadnej, opieki, a mnie się niekiedy wydawało, że na takiego malca nawet Bóg niechętnie patrzy z nieba.

Swoją drogą Józio miewał pieniądze, po sześć i po dziesięć groszy na dzień. Za to miał sobie kupować w czasie pauzy po dwie bułki i po serdelku. Ale że go wszyscy prześladowali, więc on, chcąc się choć jako tako zabezpieczyć, kupował po pięć bułek rozdawał je najsilniejszym kolegom,

ażeby mieli dla niego łaskawe serca.

Podatek ten nie na wiele mu się przydał, bo poza pięcioma zjednanymi stało trzy razy tylu nieprzejednanych. Dokuczali mu bez ustanku. Ten go uszczypnął, tamten pociągnął za włosy, inny ukłuł, czwarty dał byka w ucho, a najmniej odważny nazywał go przynajmniej - garbusem.

Józio tylko uśmiechał się na te koleżeńskie żarty, czasami prosił: "Dajcie już spokój!..."- a czasami i nic nie mówił, tylko opierał się na chudych rękach i szłochał.

Koledzy wołali wtedy: "Patrzcie! jak mu się garb trzęsie!..."- i dokuczali mu jeszcze zawzięciej.

Ja z początku mało zwracałem uwagi na garbuska, który wydał mi się niemrawym. Ale raz ten duży kolega, który golił wąsy brzytwą, usiadł za Józkiem i począł mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsła się od śmiechu. Wtedy coś mnie ukłuło w serce. Schwyciłem otworzony scyzoryk i drągala, który dawał garbusowi byki, pchnąłem w rękę do kości wołając, że tak zrobię każdemu, kto Józka dotknie palcem!...

Drągalowi trysnęła krew, zbladł jak ściana i zdawało się, że zemdleje. Cała klasa nagle przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć: "Dobrze mu tak, niech nie dokucza kalece!..." W tej chwili wszedł profesor, a dowiedziawszy się, że zranił nożem kolegę, chciał sprowadzić inspektora zdiadkiem i z różgą. Ale wszyscy zaczęli za mną prosić, nawet sam raniony drągala; więc pocałowaliśmy się naprzód ja z drągalem, potem on z Józkiem, potem Józio ze mną - i tak mi się upiekło.

Uważałem, że przez całą lekcję garbusek odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili. On dziękował im, ale - przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z masłem. Nie wzięłem, więc trochę zawstydził się, a potem rzekł cicho:

- Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.
- Gadaj! - odparłem - ale prędko... Garbusek stropił się, a potem zapytał:
- Czy ty już masz przyjaciela?...
- A mnie co po tym?...
- Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego z góry. On zmieszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał cieniem i stłumionym głosem:

- Dlaczego ty nie chcesz, żebym był twoim przyjacielem?
- Bo ja nie wdaję się z takimi trutniami jak ty!... - odpowiedziałem.

Garbuskowi bardziej niż zwykle pośmiał nos. Już chciał odejść, ale zwrócił się jeszcze raz do mnie mówiąc:

- To może chcesz, żebym przy tobie siedział?... Widzisz, ja uważam, co belfry zadają, robiłbym za ciebie przykłady... Umiem dobrze podpowiadać...

Ta argumentacja wydała mi się poważną. Po namyśle przyjąłem garbuska do ławki, a mój sąsiad zgodził się, za pięć bułek, odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczęśliwszy pomocnik, powiernik i chwalc. On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadawane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał!... Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce ani się umywał do Józka. W podpowiadaniu garbusek był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętymi zębami i robił przy tym tak niewinną minę, że żaden z profesorów nawet nie podejrzewał...

Ile razy osadzono mnie w kozie, garbusek przynosił ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu. A gdy mnie spotkała jaka większa nieprzyjemność, ze łzami w oczach zapewniał kolegów, że ja nie

dam sobie zrobić krzywdy.

- Ho! ho! - mówił - Kazio jest mocny. On jak złapie **diadkę** za ramiona, to nim ciśnie o ziemię jak piórkiem. Nie bójcie się!...

Istotnie koledzy moi nie bali się, tylko on, biedak, bał się za nas obu.

Jeżeli garbusek nie potrzebował na jakiej lekcji uważać, wówczas prawił mi komplimenta:

- Mój Boże!... żebym ja był taki jak ty mocny!.-Mój Boże!... żebym ja był taki zdolny... Wiesz, że gdybyś chciał, to za miesiąc zostałbyś prymusem...

Pewnego dnia, całkiem niespodzianie, nauczyciel języka niemieckiego wyrwał mnie na środek. Przerażony Józio ledwie miał czas podpowiedzieć mi, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, na przykład *die Frau* - pani.

Ostro wyszedłem i z wielką pewnością zawiadomiłem nauczyciela, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, na przykład *die Frau* - pani. Ale na tym skończyła się moja wiedza.

Profesor spojrział mi w oczy, pokiwał głową i kazał tłumaczyć. Przeczytałem po niemiecku płynnie i głośno raz, potem leszcze płynniej - drugi raz, ale gdy zacząłem czytać trzeci raz ten sam ustęp, nauczyciel kazał mi pójść na miejsce.

Wracając do ławki spostrzegłem, że Józio bardzo pilnie przypatruje się ołówkowi profesora i że ma bardzo zafrasowaną minę.

Machinalnie zapytałem garbuska:

- Nie wiesz, jaki mi dał stopień?

- Czy ja wiem - westchnął Józio.

- Ale jak ci się zdaje?

- Ja - rzekł garbusek - dałbym ci piątkę, no - zresztą czwórkę, ale on...

- A on ile mi dał? - pytałem.

- Zdałe mi się, że - pałkę. Ale to osioł, co on tam wie...- odpowiedział Józio tonem głębokiego przekonania.

Pomimo wątpliwości chłopczyzna ten był pracowity i bystry. Ja zwykle czytałem w klasie romanse, a on słuchał wykładu i później mi go powtarzał.

Raz zapytałem go o czym mówił nasz nauczyciel zoologii?

- Widzisz, o tym - odparł garbusek z tajemniczą miną - że rośliny są podobne do zwierząt.

- Głupi on jest - odpowiedziałem.

- Ale - mówił garbusek - on ma rację. Ja już go trochę rozumiem.

Zacząłem się śmiać i rzekłem:

- No, kiedyś taki mądry, to mi powiedz z czego jest podobna wierzba do krowy?

Chłopiec zamyślił się i powoli zaczął:

- Widzisz krowa rośnie, a wierzba także rośnie

- A co dalej?

- Widzisz krowa się karmi i wierzba się karmi sokami z ziemi.

- A co dalej?

- Krowa jest rodzaju żeńskiego, no - i wierzba jest rodzaju żeńskiego - objaśniał Józio.

- Ale krowa macha ogonem - rzekłem mu.

- A wierzba macha gałęźmi - odparł.

Taka suma argumentów nadwerężyła moją wiarę w istnienie różnicy między zwierzętami i roślinami. Sam pogląd podobał mi się, i od tej pory obudziło się we mnie zamiłowanie do zoologii streszczanej w książce Pisulewskiego. Dzięki wywodom garbuska zacząłem z tego przedmiotu

miewać piątki.

Pewnego dnia Józio nie przyszedł do szkoły, a nazajutrz przed południem powiedziano, że ktoś mnie **wypukuje**. Wybiegłem na korytarz trochę niespokojny, jak zwykle w podobnych razach, lecz zamiast inspektora zobaczyłem tęgiego mężczyznę, z pąsową twarzą, fioletowym nosem i czerwonymi oczyma.

Nieznajomy odezwał się głosem nieco chrapliwym:

- To ty chłopcze jesteś Leśniewski?

-Ja.

Przestąpił z nogi na nogę, jakby chwiejąc się, i dodał:

- Zajdź tam do mego syna Jozia, do tego garbatego, wiesz? On jest chory, bo onegdaj trochę go przejechali.

Znowu zachwiał się, spojrzął na mnie błędnym wzrokiem i odszedł, głośno tupiąc o podłogę. Mnie jakby kto oblał gorącą wodą. Zdawało mi się, że to ja raczej powinienem być przejechany, nie zaś biedny garbusek, on - taki dobry i wątpy...

Po południu wypadła rekreacja. Nie poszedłem już do domu na obiad, tylko pobiegłem do Józia

Obaj z ojcem mieszkali na końcu miasta w dwu pokojach parterowego domu. Gdy wszedłem, zastałem garbuska leżącego w krótkim łóżeczku. Był zupełnie sam, sam jeden. Ciężko oddychał i drżał z zimna, bo w piecu nie napalono. Źrenice jego rozszerzyły się tak, że miał prawie czarne oczy. W izdebce czuć było wilgoć, a z dachu padały krople topniejącego śniegu.

Pochyliłem się nad łóżkiem i spytałem:

- Co tobie, Józiu?

On ożywił się, otworzył usta jakby do uśmiechu, ale - tylko jęknął. Wziął mnie za rękę wyschłymi rączkami i zaczął mówić:

- Ja pewnie umrę... Ale boję się... tak sam... więc prosiłem, żebyś przyszedł. To... widzisz niedługo... a mnie będzie trochę weselej... Jeszcze nigdy Józio nie wydał mi się takim jak dziś. Zdawało mi się, że z kaleki wyrasta olbrzym.

Zaczął głucho jęczeć i kaszłać, aż na usta wystąpiła mu różowa piana. Potem zamknął oczy i ciężko oddychał, a czasami wcale nie oddychał. Gdybym nie czuł uścisku jego rozpalonych rączek, myślałbym, że umarł.

Tak siedzieliśmy godzinę, dwie, trzy - milcząc. Ja prawie straciłem władzę myślenia. Józio odzywał się rzadko i z wielkim wysiłkiem. Powiedział mi. Tegoż tym najechał jakiś wóz, że go strasznie zabolął krzyż, ale już go nie boli, że ojciec wczoraj wypędził służbę, a dziś poszedł szukać innej...

Potem, nie uwalniając mi ręki, prosił, ażebym zmówił cały pacierz. Zmówiłem, a gdy zaczął: "Kiedy ranne wstają zorze", przerwał mi:

- Mów jeszcze - rzekł - "Wszystkie nasze dzienne sprawy..." Ja już się jutro pewnie nie obudzę...

Słońce zaszło, nadszła jakaś szara noc, bo poza chmurami świecił księżyc. W domu nie było świecy, zresztą - nie myślałem nawet zapalać jej. Józio był coraz niespokojniejszy, bredził i tylko chwilami odzyskiwał przytomność.

Już było późno, kiedy od ulicy kołatnęła furtka z wielkim hałasem. Przez podwórze przeszedł ktoś i gwizdząc otworzył drzwi naszej izby.

- To tatko? - jęknął garbusek.

- Ja, mój synu! - odparł przybysz ochrypniętym głosem. - Jakże ci tam? Pewnie lepiej!... Tak być powinno!... Zawsze uszy do góry, mój synu...

- Tatku... nie ma światła... - mówił Józio.

- Głupstwo światło!... A to kto?... - zawołał potykając się o mnie.

- To ja... - odparłem.

- Aha! Łukaszowa? dobrze!... Prześpij się dziś, a jutro - sprawię ci wnyki... Ja gubernator!... Rum-jamajka!...

- Dobranoc, tatku!... dobranoc!... - szeptał Józio.

- Dobranoc, dobranoc, moje dziecko!... - odparł przybysz i schyliwszy się nad łóżkiem - mnie pocałował w głowę. Uczulem, że pod pachą miał butelkę.

- Wyśpij się - dodał - a jutro marsz do szkoły!... Krokiem maarsz!... Rum-jamajka!... - wrzasnął i poszedł do drugiego pokoju.

Tam ciężko usiadł, widocznie na kufrze, uderzył głową o ścianę, a po chwili - rozległo się miarowe bulgotanie, jakby ktoś pił.

- Kaziu!, ..szepnął garbusek-jak już będę... tam.. .przyjdź do mnie czasem. Powiesz mi, co zadano na lekcje... W drugim pokoju wrzasnął przybysz:

- Zdrowia życzymy panu gubernatorowi!... Wiwat!... Ja gubernator!... Rum-jamajka!...

Józio począł się trząść i mówić coraz niespokojniej:

- Tak mnie łamie!... Czyś ty na mnie usiadł, Kaziu? Kaziu!... O, nie bijcie mnie już!...

- Rum!... Rum-jamajka - wołano w drugim pokoju. Znowu coś zabulgotało, a potem - butelka z przeraźliwym brzękiem uderzyła o podłogę.

Józio przyciągnął moją rękę do ust, schwycił zębami za palce i - nagle puścił. Już nie oddychał.

- Panie! - zawołałem. - Panie! Józio umarł!...

- Co tam pleciesz? - mruknął głos z drugiego pokoju. Zerwałem się z łóżka i stanąłem we drzwiach patrząc w ciemność.

- Józio umarł!... - powtórzyłem cały drżący. Człowiek rzucił się na kuftrze i wykrzyknął:

- Wynosź mi się stąd, błaznie!... Ja, jego ojciec, lepiej wiem, czy on umarł!... Wiwat pan gubernator!... Rum-jamajka!...

Uczułem trwogę i uciekłem.

Przez całą noc nie mogłem spać, miałem dreszcze, męczyły mnie jakieś straszne marzenia. Z rana obejrzał mnie gospodarz naszej stancji, powiedział, że mam gorączkę, że pewnie zaraziłem się od przejechanego Józia, i - kazał mi postawić na krzyżu dwanaście baniek ciętych. Po tym lekarstwie nastąpiło, jak mówił gospodarz, takie przesilenie, że tydzień leżałem w łóżku.

Nie byłem na pogrzebie Józia, którego odprowadziła cała nasza klasa z nauczycielami i księdzem prefektem. Mówiono mi, że miał czarną trumnę aksamitną, tak małą jak pudełko od skrzypców.

Ojciec jego strasznie płakał, a na cmentarzu złapał trumnę i chciał z nią uciekać. Ale pomimo to Józia pochowali, a jego ojca komisarz z policjantem wyprowadzili z cmentarza.

Gdy pierwszy raz poszedłem do szkoły, powiedziano mi, że ktoś co dzień wypytuje się o mnie. Jakoż o jedenastej wypukano mnie.

Wyszedłem - za drzwiami stał ojciec zmarłego Józia. Miał

twarz barwy bładofioletowej, a nos popielaty. Był zupełnie trzeźwy, tylko trzęsła mu się głowa i ręce.

Człowiek ten wziął mnie pod brodę i długo wpatrywał mi się w oczy, a potem nagle rzekł:

- Ty obroniłeś Józia, kiedy mu w klasie dokuczali?... "Czy zwariował ten stary?" - pomyślałem, ałem mu nic nie odpowiedział.

On objął mnie rękoma za szyję i pocałował kilka razy w głowę szepcząc:

- Niech cię Bóg błogosławi... Niech cię błogosławi!... Puścił mi głowę i znowu spytał:

- Byłeś przy jego śmierci?... Powiedz mi prawdę, bardzo on się męczył?...

Wtem cofnął się i rzekł prędko:

- Albo nie... nic mi już nie mów!... O, nikt nie wie, jakim ja nieszczęśliwy!...

Z oczu poczęły mu płynąć łzy. Schwycił się oburącz za głowę, odwrócił się ode mnie i pobiegł ku schodom krzycząc:

- Biedny ja!... biedny... biedny...

Wołał tak głośno, że na korytarz powychodzili profesorowie. Patrzyli za nim, pokiwali głowami i kazali mi wrócić do klasy.

Nad wieczorem jakiś faktor przyniósł na stancję spory kufer dla mnie i kartkę z tym tylko napisem:

"Od biednego Józia - pamiątka."

W kuftrze było mnóstwo pięknych książek po nieboszczyku Józiu, a między nimi: *Księga świata*, *Historia Cezara Cantu*, *Don Quichot*, *Galeria Drezdeńska* i wiele innych. Książki te obudziły we mnie namiętą chęć do poważniejszego czytania.

Dobrze już na wiosnę wybrałem się pierwszy raz na grób Józia. Był taki mały i zgarbiony, jak on sam. Spostrzegłem, że ktoś obsadził go zielonymi gałązkami. O parę kroków dalej, między trawą, znalazłem kilka butelek z napisem: Rum-Jamaica. Siedziałem z godzinę, ałem nie powiedział Józiovi, co zadali na lekcje, bo i sam nie wiedziałem, i on się nie spytał.

W tydzień znowu przyszedłem na cmentarz. Znowu zobaczyłem gałązki świeżo zatknięte w grób Józia, a między trawą - znowu znalazłem kilka całych i nadtluczonych butelek.

W początkach maja rozeszła się po mieście szczególna wiadomość. Oto z rana, przy grobie Józia, znaleziono martwe zwłoki jego ojca. Obok nich leżała wypróżniona do połowy butelka z napisem: Rum-Jamaica.

Mówili doktorzy, że człowiek ten umarł na aneurizm.

Wypadki te oddziały na mnie w szczególny sposób. Od tej pory ciężyło mi towarzystwo kolegów i nudziły ich krzykliwe zabawy. Wówczas zatapiałem się w czytaniu książek, które mi zostawił Józio, albo wymykałem się za miasto, w jary zarosłe krzakami, i włócząc się tam rozmyślałem - Bóg wie o czym. Nieraz zapytywałem się, dlaczego tak nędznie zginął Józio i dlaczego ojciec był tak samotny, że aż musiał tulić się do grobu syna. Czulem, że największym nieszczęściem jest opuszczenie, i zrozumiałem, dlaczego biedny garbusek szukał przyjaciela.

Mnie także potrzebny był teraz przyjaciel. Ale między kolegami jakoś żaden nie przypadał mi do smaku. Przypomniałem sobie

siostrę. Nie!... siostra nie zastąpi przyjaciela.

Koledzy mówili o mnie, że zdziwałem, a gospodarz naszej stacji nie miał już żadnej wątpliwości, że zostanę wielkim zbrodniarzem.

Nadszedł akt uroczysty, na którym inspektor doniósł całemu światu, że otrzymałem promocję do klasy drugiej. Wypadek ten nappełnił mnie radosnym zdziwieniem. Nagle poczęło mi się zdawać, że jakkolwiek szkoła posiada wyższe klasy, żadna przecież nie jest tak doskonała jak - druga. Zapewniałem kolegów, że uczniowie pozostałych klas, od trzeciej do siódmej włącznie, powtarzają tylko to, czego nauczyli się w drugiej, w duszy zaś lękałem się, ażeby profesorowie nie spostrzegli się po wakacjach, że dostałem promocję tylko przez omyłkę, i nie cofnęli mnie do pierwszej klasy.

Następnego przecie dnia oswoiłem się poniekąd ze swoim szczęściem, a kiedy jechałem do domu na wakacje, to przez całą drogę tłumaczyłem furmanowi, że ja jeden w klasie dostałem zasłużoną promocję i że moja promocja była najlepsza. Przytaczałem mu tak niezbitą argumentację, że aż zaczął ziewać. Gdy jednak umilkł, przekonałem się ze strachem, że sam jestem pełen wątpliwości.

Drugiego dnia, dojeżdżając do domu, spotkałem w drodze siostrę Zosię, która wybiegła naprzeciw mnie. Zaraz doniosłem jej, że już jestem w drugiej klasie i że mój przyjaciel Józio umarł, bo go przejechali. Ona zaś powiedziała, że tęskniła za mną, że jej kura ma dziesięć kurcząt, że do pani hrabiny po dwa razy na tydzień przyjeżdża z wizytą jakiś pan, że mają guwernantkę, która kocha pisarza, i że nieboszczyk Józio nic ją - niby Zosię - nie obchodzi, ponieważ był garbaty. Ale swoją drogą żałuje go.

Mówiąc to udawała dużą pannę.

Ojca zobaczyłem w południe. Przywitał się ze mną bardzo serdecznie i powiedział, że na wakacje da mi konia i pozwoli strzelać z wielkiego pistoletu. A potem dodał:

- Pójdźże zaraz do pałacu i przywitaj się z panią hrabiną, chociaż...

W tym miejscu machnął ręką.

- Cóż się stało, proszę ojca?... - spytałem jak dorosły człowiek i ażem się zląkł swojej odwagi.

Nadspodziewanie ojciec odpowiedział bez gniewu, z odcieniem goryczy:

- Ona już teraz nie potrzebuje starego plenipotenty. Niedługo będzie tu nowy pan, a ten i sam potrafi...

Przerwał i odwróciwszy się mruknął przez zęby:

- Przegrać w karty majątek...

Zacząłem domyślać się, że przez czas mojej nieobecności zaszły tu wielkie zmiany. Swoją drogą poszedłem na przywitanie do dziedziczki. Przyjęła mnie łaskawie, a ja dostrzegłem, że jej smutne oczy mają dziś całkiem inny wyraz.

Wracając spotkałem na dziedzińcu ojca i powiedziałem, że pani hrabina jest taka wesoła jak nigdy. Kręci się, klaszcze w ręce, zupełnie jak jej pokojówki.

- Bah! każda baba przed weselem ma dobry humor... - odparł ojciec jakby sam do siebie.

W tej chwili przed pałac zajechał lekki powozik, a z niego wyskoczył wysoki mężczyzna z czarną brodą i oczyma jak płomienie. Zdaje się, że pani hrabina wybiegła na ganek, bo zobaczył, jak przez drzwi wyciągnęła do niego obie ręce.

Ojciec szedł przede mną, śmiał się cicho i mruczał:

- Ha! ha!... Wszystkie baby powariowały!... Pani wzdycha za elegantem, a guwernantka za pisarzem... Dla Salusi zostałem ja albo proboszcz... Ha! ha!...

Miałem dwunasty rok i jużem wiele słyszał o miłości. Ten kolega, który golił wąsy i siedział trzy lata w pierwszej klasie, nieraz mówił nam o swoich uczuciach dla pewnej pani, którą po parę razy na dzień widywał na ulicy albo w lufciku. Zresztą sam czytałem kilka bardzo pięknych romansów i dobrze pamiętam, ile umartwienia kosztowali mnie ich bohaterowie.

Z tego powodu półsłówka ojca wywarły na mnie przykre wrażenie. Uczułem sympatię dla naszej dziedziczki, a nawet dla guwernantki, obok niechęci do brodatego pana i do pisarza. Nigdy bym tego głośno nie powiedział (nie śmiałbym nawet wyraźnie pomyśleć), lecz zdawało mi się, że i nasza pani, i guwernantka zrobiłyby daleko stosowniej, gdyby wzdychały za mną.

W ciągu kilku następnych dni obiegłem wieś, park, stajnie, jeździłem konno, pływałem czółnem, lecz - wnet spostrzegłem, że mi zaczyna być nudno. Wprawdzie ojciec coraz częściej rozmawiał ze mną jak z dorosłym człowiekiem, pan gorzelany zapraszał mnie na starą, a pisarz prowontowy narzucał mi się z przyjaźnią i nawet obiecywał opowiedzieć cierpienia, jakich doświadcza z powodu guwernantki, ale - mnie to nie bawiło. I starą pana gorzelanego, i zwierzenia pisarza oddałbym za jednego dobrego kolegę. Lecz gdy w myśli wybierałem między tymi, którzy razem ze mną ukończyli pierwszą klasę, przekonywałem się, że żaden nie przystałby do moich dzisiejszych usposobień.

Niekiedy z głębi mojej duszy wynurzał się smutny cień zmarłego Józia i opowiadał mi rzeczy nieznanne, głosem cichszym aniżeli powiew letniego wiatru. Wtedy ogarniała mnie jakaś rzewność i tęskniłem, ale sam nie wiem do czego... Gdy raz, pod wpływem takich przywidzeń, wałęsałem się po zarastających trawą ścieżkach parku, zabiegła mi niespodzianie drogą siostra Zosia i zapytała:

- Dlaczego ty się z nami nie bawisz? Zrobiło mi się gorąco.

- Z kim?...

- A ze mną i z Lonią.

Pozostanie wieczną zagadką, dlaczego w tej chwili imię Loni pomieszało mi się z widziadłem Józia i dlaczego się zacerwienił tak, że mnie twarz piekła i pot wystąpił na czoło.

- Cóż to?... nie chcesz się z nami bawić? - pytała zdziwiona siostra. - Na Wielkanoc był tu jeden uczeń z trzeciej klasy i wcale się tak nie pysznił jak ty. Po całych dniach chodził z nami.

I znowu bez powodu uczułem nienawiść do owego trzecioklasisty, którego nigdy nie widział. Wreszcie odpowiedziałem Zosi tonem opryskliwym, choć w sercu nie miałem do niej urazy:

- Ja nie znam tej Loni.

- Jakże nie znasz? Czy nie pamiętasz, jak za nią wybiła cię tamta guwernantka? A czyś zapomniał, jak Lonia płakała za tobą i prosiła, żeby ci nic złego nie robili, kiedy spaliła się ta... obórka?...

Naturalnie, żem wszystko pamiętał, a najlepiej samą Lonię; muszę jednak wyznać, że mnemoniczne zdolności siostry rozgniewały mnie. Wydało mi się rzeczą nieodpowiednią godności mego munduru, że ludzie na wsi, a osobliwie podrastające dziewczynki, mają tak dobrą pamięć.

Pod wpływem tych uczuć odparłem jak brutal:

- Eh, daj mi spokój... i z sobą, i z twoją Lonią... I poszedłem w głąb parku, zarówno niekontent z niewczesnych wspomnień siostry, jak i z tego, że nie bawię się z dziewczynkami. Sam zresztą nie wiem, czegom chciałem, ale byłem taki zły, że kiedyśmy się zeszli z Zosią w domu, nie chciałem z nią rozmawiać.

Zasmucona siostra starała się schodzić mi z oczu, ale wtedy ja jej szukałem czując, że mi czegoś brak, że kwestią wspólnej zabawy postawiłem zupełnie fałszywie. Więc dla poprawienia sytuacji, gdy strapiona Zosia wzięła się do cerowania, ja schwyciłem pierwszą z brzegu książkę i po kilkuminutowym przewracaniu kartek rzuciłem ją na stół mówiąc niby sam do siebie:

- Wszystkie dziewczęta są głupie!...

Zdawało mi się, że aforyzm ten będzie bardzo mądry. Ledwie go jednak skończyłem, uczułem, że jest w nim coś niesmacznego. Zrobiło mi się żal siostry, wstyd... Nie mówiąc już nic, pocałowałem Zosię w oba policzki i poszedłem do lasu.

Boże! jakim był tego dnia nieszczęśliwy... Był to przecie dopiero początek moich cierpień.

Nie chcę nic ukrywać. Przez całą noc śniła mi się Lonia, i odtąd zamiast biednego garbuska jej cień widywałem w przywidzeniach. Zdawało mi się, że ona jedna mogłaby być tym przyjacielem, którego mi od tak dawna potrzeba. W marzeniach przemawiałem do niej tak długo i tak pięknie, jak piszą w romansach, a byłem taki grzeczny jak pewien margrabia. W rzeczywistości zaś nie umiałem zdobyć się nawet na to, ażeby pójść do parku, gdy w nim bawiły się dziewczynki, których wesołym śmiechom przeplatany upomnieniami guwernantki przysłuchiwałem się zza parkanu.

Dobrze pamiętam to miejsce, gdzie wyrzucano śmiecie z pałacu, a rosły wysokie pokrzywy i łopian. Wystawałem tam całe kwadransy po to, żeby uchwycić kilka niewyraźnych frazesów, łoskot bucików na ścieżce i zobaczyć migającą sukienkę Loni, gdy skakała przez sznur.

Za chwilę wszystko milkło w parku i wtedy czułem piekący żar słońca, i słyszałem nieskończony brzęk much unoszących się nad śmietnikiem. Potem znowu dolatywały mnie odgłosy śmiechów i gonitwy, przed szczeliną w parkanie migały sukienki, a potem znowu górował szmer drzew, świergot ptaków, gorąco, i natrętne muchy włożyły mi prawie w usta.

Nagle rozległ się głos od pałacu:

- Lonia!... Zosia!... proszę do pokoju...

To guwernantka. Znienawidziłem ją, gdyby mi nie było wiadomo, że jej także smutno.

Podczas jednej z wycieczek pod parkan przekonałem się, że nie jestem sam. Z pagórka zobaczyłem między zielonym gąszczem łopianu szary ze starości kapelusz słomiany, przez wierzch którego widać było jasnopłową czuprynę, bo kapelusz nie miał dna.

Gdym postąpił kilka kroków w tamtą stronę, czupryna i kapelusz podniosły się nad łopian i ukazał się siedmio- a może ośmioletni chłopiec w długiej, ale brudnej koszuli, zaścięgniętej pod szyję na sznurek. Przemówiłem do niego, ale chłopiec zerwał się i uciekł, szybko jak zając, w stronę pola. Czerwony kołnierz mego munduru i posrebrzane guziki robiły w ogóle silne wrażenie na wiejskich dzieciach.

Z wolna odszedłem w stronę folwarku, a w miarę tego chłopiec zbliżał się do parkanu. Gdym się ukrył za budynkiem, on włożył na śmietnik i przyłożył oko do tej samej szczeliny, przez którą ja zaglądałem w ogród. Wątpię bardzo, ażeby co widział, ale wciąż patrzył.

Gdy na drugi dzień przyszedłem na stanowisko, ażeby śledzić zabawę panienek, znowum spostrzegłem między łopianem szary kapelusz, nad nim jasnopłową czuprynę, a pod oberwanym skrzydłem parę wlepionych we mnie oczu. Słońce bardzo piekło, więc chłopak po cichu urwał duży liść i zasłonił się nim jak parasolką. Wtedy już nie widział ani jego kapelusza, ani czupryny, tylko szarą koszulę nieco rozchyloną na piersiach.

Gdym odszedł, chłopiec znowu wbiegł na śmietnik i znowu, jak wczoraj, przyłożył oko do szczeliny myśląc zapewne, że choć tym razem nie wypatrzyłem z parku wszystkich ciekawości, jakie tam były.

W tej chwili zrozumiałem śmieszność swoich postępów. Dopieroż bym miał, gdyby tak ojciec albo pan gorzelany, albo nawet - sama Lonia zobaczyła, że ja, uczeń drugiej klasy, w mundurze, wystaję pod parkanem na śmieciach luzując się z jakimś kandydatem na

pastucha, który nie wiem, czy nosił kiedy wypraną koszulę.

Wstyd mnie ogarnął. Alboż ja nie mam prawa wchodzić jawnie do ogrodu, nie fryjąc się po kątach jak ten w oberwanym kapeluszu?...

Śmietnik i szczelina w parkanie obmierzyły mi, ale zarazem obudziła się ciekawość: co za jeden jest ten chłopiec? Dzieci w jego wieku już pasą gęsi, a on najpiękniejszą młodość marnuje wałęsając się za folwarkiem, podgląda cudze interesa, a spytany, zamiast przyzwoicie odpowiadać, ucieka jak królik przed obcym.

"Czekaj - pomyślałem - już mnie tu nie zobaczysz, ale za to ja wysledzę, coś ty za jeden!"

Pamiętałem, że w romansach, obok bohaterów i bohaterek, bywają tacy zagadkowi nieznajomi, przed którymi trzeba się mieć na baczności i w porę ubezwładniać ich intrygi.

W parę dni, nie zapytując nikogo, dowiedziałem się wszystkiego o tajemniczym nieznajomym. To nie był intrygant. To był Walek, syn dworskiej pomywaczki, którego wszyscy znali, lecz nikt się nim nie zajmował. Dlatego chłopiec miał dużo swobodnego czasu i jakem sam doświadczył, używał go w sposób niekoniecznie przyjemny dla innych.

Walek nigdy nie miał ojca, za co wszyscy dokuczali jego matce, kobiecie nieco popędliwej. Na przycinki służby pomywaczka odpowiadała krzykiem i wymysłami, a że jej to widać nie wystarczało, więc resztę - odbijała na Walku.

Jeszcze chłopiec pełzał na czworakach i miał koszulę zebraną w węzeł na karku (co robiło taki efekt, jakby jej wcale nie posiadał, a jaz nazywano go znajdą.

- Tyś go znalazł?... - zapytywała wtedy matka i krzyczała dalej:

- Ażeby was Bóg skarzał za moją krzywdę!... Ażeby wam ręce i nogi!... Ażebyś ty szczeł, psiawiaro!...

Ostatnie życzenie odnosiło się do Walka, który bezpośrednio potem otrzymywał kopnięcie nogą poniżej owego węzła z koszuli. Dzieciak, dopóki był głupi, odpowiadał na taki poczęstunek rzewnym płaczem. Ale gdy nabrał rozumu, co nastąpiło dość prędko, wówczas milczał jak trusia i włożył pod tapczan, za wielki szaflik, w którym świniom jeść dawano. Widocznie nie chciał być oblany ukropem, jak mu się to raz zdarzyło.

Bywało i tak, że Walek przesiadywał pod tapczanem całe godziny, dopóki nie zesli się ludzie na obiad albo na wieczerzę. Czasem, widząc głowę dziecka wytkniętą spod tapczanu i jego oczy, w których błyszczwały łzy niedawnego bólu i - ciekawość do klusków, pytali parobcy matki:

- A temu nie dacie, coście go zdybali w kartoflach?

- Bodaj on z tobą gryzł ziemię - odpowiadała rozdrażniona kobieta i choć poprzednio miała zamiar nakarmić Walka, teraz nie dała mu jeść.

- Przecież tak nie można, żeby chłopak, choć znajda, zdychał z głodu - reflektowały ją inne baby.

- Właśnie, że zdechnie na przekór wam, kiedy tak wydziwiacie!...

A ponieważ siedziała trochę tyłem do tapczanu, na konewce, więc Walek dostał piętą w zęby.

Wtedy parobcy na złość matce wydobywali go z ukrycia i karmili.

- No, Walek - mówił jeden - pocałuj Burka w ogon, to dostaniesz klusków.

Chłopiec punktualnie spełniał rozkaz, a za to łykał wielkie kluski nawet ich nie gryząc.

- No, a teraz daj matce w łeb, to dostaniesz mleka...

- O, bodajże wam ręce pokrzywiło! - wołała pomywaczka, a chłopiec - umykał za swój szaflik.

Czasem zziąjany, strwożony, biegł pędem na dziedziniec i krył się w gęstych krzakach naprzeciw pałacu. A gdy mu łzy obeschły, widział na ganku piękny stoliczek, przy nim dwa krzeselka, a na nich Lonię i moją siostrę, którym pokojówka wiązała serwetki pod brodą. Salusia nalewała zupę, a pani hrabina mówiła:

- Dmuchaście, dzieci, nie poparzcicie się, nie powalając... A może niesłodkie?...

Skoro parobcy odeszli do roboty i w kuchni nie było nikogo, pomywaczka wychodziła na podwórze i wołała:

- Walek!... Walek... Chodź ino tu...

Ze sposobu wołania chłopiec poznawał, że może wyjść, i biegł w stronę kuchni. Tam dostawał od matki kawał chleba, drewnianą łyżkę i trochę barszczu w ogromnej donicy, z której jadło sześć osób. Siadał na ziemi, matka stawiała mu donicę między nogi i poprawiwszy koszulę na plecach, rzekła:

- A jak kiedy pocałujesz psa w ogon, to ci wszystkie gnaty porachuję. Pamiętaj se!

Potem odchodziła zmywać statki.

Wnet jak spod ziemi wyłaził skądsiś pies podwórzowy i siadał naprzeciw chłopca. Z początku kłapał zębami na muchy, ziewał, oblizywał się. Potem powąchał barszczu raz i drugi i - ostrożnie zanurzył w nim język. Walek go pęc! łyżka w łeb. Pies cofnął się, znowu ziewnął i - znowu chlapanął parę łyków trochę śmielej. Potem już mógł go chłopiec opukiwać po łbie łyżką, jak chciał, bo pies nabrawszy apetytu za żadne skarby nie wyjąłby pyska z donicy. Lecz i Walek zmiarkował, że ten będzie lepszy, kto pierwej zje, i jadł, aż się zadyszał, z jednego brzegu, a pies chlapał sobie z drugiego.

Jeżeli matka miała dobry humor, a Walek był pod ręką, wówczas dostawały mu się przysmaki z dworskiego stołu.

- Naści, pobaw się - mówiła pomywaczka dając mu okruchy ciastek, talerz powalany sosem, rybi łeb, nie ogryzione skrzydełko albo szklankę, na dnie której znajdowała się odrobina kawy i reszta nie rozpuszczonego cukru. Gdy wszystko wyssał ze szklanki albo do czysta wylizał talerz, zapytywała go matka:

- A co - dobre?...

Walek brał się pod boki, jak to robili parobcy po obiedzie, głęboko oddychał i przesunawszy na bakier swój stary kapelusz odpowiadał:

- Podjadł se człowiek. Bogu dziękować!... Trza iść do roboty...

Opuszczał kuchnię i szedł gdzieś na całe pół dnia. Swoje zabawy stosował do tego, co robili starsi. W czasie orki wydobywał z koryta batożek, ujmował w rękę pierwszy lepszy kolek w płocie albo korzeń wywróconego drzewa i - orał całymi godzinami, naturalnie kiwając się w miejscu i wołając:

- Byś,ksy!ksy!...

Jeśli łapano ryby, wyszukiwał między śmieciami dziurawego sitka i z niezmordowaną cierpliwością zanurzał je w wodę. To znów siadał na kiju i jechał poić konie do studni. Raz znalazłszy koło owczarni stare łapcie z lipowego łyka, rzucał je na, wodę i niby to pływał czółnem - naturalnie w myśli.

Słowem - bawił się doskonale, tylko nigdy się nie śmiał. Do jego dziecinnej twarzy przypił się wyraz niewzruszonej powagi, którą czasami tylko strach luzował. W dużych oczach siedziało wieczne zdumienie jak u ludzi, którzy przez długie lata patrzyli na niesłychane rzeczy.

Walek umiał zręcznie wymykać się z domu na całe dnie. I nie dziwiło to parobków, jeżeli jakiego ranka znajdowali go w stogu albo w lesie pod drzewem. Umiał też na środku pola wystawać długie chwile bez ruchu jak szary słupek i z otwartymi ustami patrzeć nie wiadomo na co. Wyśledziłem go raz w takiej pozycji, a będąc dość blisko słyszałem, jak westchnął. Nie wiem dlaczego, westchnienie tak małej figurki przeraziło mnie. Uczułem jakiś żal, nie wiadomo do kogo, i w tej chwili polubiłem Walka. Ale gdym postąpił ku niemu parę kroków nieco śmieiej, chłopiec ocknął się i uciekł w krzaki z niepojętą zwinnością.

Wtedy zrodziła mi się w głowie myśl szczególna, że Bóg, który wciąż patrzy na takie dziecko, musi mieć duszę smutną. Zrozumiałem też, dlaczego na świętych obrazach jest zawsze poważny i dlaczego w kościele trzeba cicho rozmawiać i chodzić na palcach.

Taki to niepozorny człowieczek sprawił, że zamiast kryć się za parkanami postanowiłem wybrać się do parku oświadczywszy pierwszej Zosi, że odtąd będę się bawił - z nią i z Lonią.

Naturalnie siostrę zachwycił ten projekt.

- Bądźże w parku wtedy - mówiła - kiedy obie wyjdziemy na spacer. Przywitaj się także z guwernantką, która zawsze czyta książki w altanie; ale nie rozmawiaj z nią długo, bo ona nie lubi, ażeby jej przeszkadzać. A potem zobaczysz, jak nam będzie wesoło!

Tego samego dnia, przy obiedzie, rzekła do mnie z mną tajemniczą:

- Przyjdź o trzeciej; powiedziałam już Loni, że będziesz. Jak wyjdziemy z pałacu, zakaszlę...

Siostra wzięła się do jakiejś roboty, a ja, naturalnie, wyszedłem, bo co prawda, nigdy nie lubiłem zabierać miejsca w pokoju. Już byłem na dziedzińcu, kiedy wybiegła za mną Zosia.

- Kaziu! Kaziu!...

- Cóż tam?...

- Kiedy zakaszlę, będziesz wiedział, co to znaczy?... - rzekła uroczyście.

- Rozumie się.

Wróciła do pokoju, lecz jeszcze zawołała do mnie przez okno:

- Ja zakaszlę... Pamiętaj!

I gdzieżem miał pójść, jeżeli nie do parku, choć do umówionej chwili brakowało tęgie półtorej godziny? Byłem tak zamyślony, że nie wiem, czy tego dnia śpiewał jaki ptak w ogrodzie, zazwyczaj bardzo ożywionym. Obiegnę go parę razy wkoło, a następnie siadłem w czółno, przywiązane do

brzegu, i nie mogąc pływać, przynajmniej kołysałem się w nim z nudów.

Układałem sobie plan odświeżenia znajomości z Lonią. Miało się to odbyć w następujący sposób. Gdy Zosia zakaszle, ja z bocznej ścieżki wyjdę ze spuszczoną głową w główną aleję. Wtedy Zosia powie:

"Patrz, Loniu, to mój brat, pan Kazimierz Leśniewski, uczeń klasy drugiej, przyjaciel tego nieszczęśliwego Józia, o którym ci tyle mówiłam."

Lonia wtedy zrobi dyg, a ja, zdjawszy czapkę, powiem:

„Dawno już miałem zamiar...” Nie, tak źle!... "Dawno już pragnąłem odnowić z panią..." O, nie!...

Lepiej będzie tak:

"Dawno już pragnąłem złożyć pani moje uszanowanie."

Wtedy Lonia spyta się:

"Pan dawno bawi w naszych stronach?..." Nie, ona nie powie tak, ale tak: "Przyjemnie mi poznać pana, o którym tyle słyszałam od Zosi." A potem co?... Potem - to: "Czy nie przykrzy się panu w naszej okolicy?... pan przywykł do wielkiego miasta." A ja odpowiem: "Przykrzyło mi się, dopókim nie miał towarzystwa pani..."

W tej chwili pod powierzchnią wody mignął szczupak mający z pół łokcia... Wobec podobnej rzeczywistości pierzchnęły marzenia. Tu, w sadzawce, są takie ryby, a ja - nie mam wędki!...

Zerwałem się z czołna chcąc zobaczyć, czy w domu są haczyki, i - o mały włos - nie potrafiłem Loni, która właśnie zabierała się do skakania przez czerwony sznurek.

Ryby, haczyki, plan zawarcia uroczystej znajomości - wszystko od razu pomieszało mi się w głowie. Oto - szczupak!... Nawet zapomniałem ukłonić się Loni, gorzej jeszcze - bom zapomniał mówić. Ale co za szczupak!...

Lonia, śliczna szatyneczka, z wyraźnie zarysowanymi ustami, które co chwilę układały się w inny sposób, spojrzała na mnie z góry i odrzuciwszy w tył bujne loki zapytała bez wstępu:

- Czy to prawda, że kawaler przedziurawił nam czołno?

- Ja?...

- Tak mi powiedział ogrodnik, a teraz mama nie pozwala nam pływać i kazała czołno przywiązać do brzegu, a wiosła pochować.

- Ależ jak ojca kocham, tak nie przedziurawiłem czołna! - domaczyłem się jak przed inspektorem.

- Czy tylko z pewnością? - pytała Lonia, bystro patrząc mi. w oczy. - Bo to do kawalera bardzo podobne...

Ton panienki nie podobał mi się. Do licha! najmocniejszy kolega nie przemówiłby do mnie w taki sposób.

- Kiedy ja mówię, że nie, to już jest z pewnością!... - odpowiedziałem, silnie akcentując odpowiednie wyrazy.

- W takim razie ogrodnik powiedział nieprawdę - rzekła Lonia marszcząc brwi.

- Dobrze zrobił - odparłem - bo młode panny flie umieją pływać czołnem.

- A kawaler umie pływać?

- Ja umiem i czołnem, i rękami, a także na wznak i stojący.

- A kawaler będzie nas woził?

- Jeżeli mama pani pozwoli, to będę.

- Więc niech kawaler zobaczy, czy czołno nie jest dziurawe.

- Nie jest.

- A skądże się tam wzięła woda?

- Z deszczu.

- Z deszczu?

Rozmowa urwała się. Tyłem jednak zyskał, że śmiało patrzył na Łonie, a ona, o ile dziś mi się ta rzecz przedstawia, nic sobie ze mnie nie robiła. Owszem, nie ruszając się z miejsca, zaczęła podskakiwać przez sznur, w odstępach rozmawiając ze mną.

- Dlaczego kawaler nie bawił się z nami?

- Bom był zajęty.

- Cóż kawaler robi?

- Uczę się.

- Przecież na wakacjach nikt się nie uczy.

- W naszej klasie trzeba się uczyć nawet przez wakacje. Lonia przeskoczyła sznur dwa razy i rzekła:

- Adaś jest w czwartej klasie, a jednak przez święta nie uczył się. Ach, prawda!... kawaler nie zna Adasia.

- Któż to pani powiedział, że nie znam? - zapytałem z dumą.

- Bo kawaler był w pierwszej klasie, a on w trzeciej... Znowu dwa skoki przez sznur... Myślałem, że mi się stanie coś dziwnego.

- Ze mną wdawała się nawet czwarta klasa - odparłem podrażniony.

- Wszystko jedno, bo Adaś chodzi do szkół w Warszawie, a kawaler... Gdzie to kawaler chodzi do szkół?... Gdzie?...

- W Siedlcach - ledwie odrzekł zdławionym głosem.

- A ja pojedę także do Warszawy - wyjaśniła Lonia i dodała:

- Może kawaler powie Zosi, że już tu jestem...

I nie czekając na moją zgodę lub odmowę, pobiegła ku altance wciąż skacząc.

Byłem odurzony; nie mogło mi się w głowie pomieścić, jak mnie ta dziewczyna traktuje.

"A dajcie mi spokój z waszą zabawą - pomyślałem naprawdę rozgniewany. - Lonia to niegrzeczna, niedelikatna, to - smarkacz!..."

Powyższe jednak uwagi nie przeszkodziły mi spełnić natychmiast jej rozkazu. Poszedłem do domu bardzo prędko, może nawet za prędko, zapewne skutkiem wewnętrznego wzburzenia.

Zosia brała już parasolkę, aby iść do ogrodu.

- No, wiesz - rzekłem rzucając czapkę w kąt - poznałem się z Lonia.

- I cóż?... - spytała siostra ciekawie.

- Nic... tak sobie!... - odparłem nie patrząc jej w oczy.

- Prawda, jaka ona dobra, jaka ładna? - .

- Ach, nic mnie to nie obchodzi. Właśnie prosi cię, żebyś tam przyszła.

- A ty nie pójdziesz?

- Nie.

- Dlaczego? - spytała Zosia zaglądając mi w oczy.

- Dajże mi spokój!... - odburknąłem. - Nie pójde, bo mi się nie podoba...

Musiło być coś bardzo stanowczego w moim głosie, skoro siostra, już nie zadając mi dalszych pytań, wyszła. Widząc, że prawie biegnie, zawołałem ją przez okno:

- Zosiu, tylko proszę cię, nic tam nie mów... Powiedz, że trochę boli mnie głowa.

- No, no, nie bój się. Ja ci nie zaszkodzę.

- Pamiętaj, Zosiu, jeżeli mnie choć trochę kochasz. Naturalnie, żeśmy się bardzo serdecznie ucałowali. Trudno dziś odgrzebać w pamięci uczucia, jakie mnie szarpały po odejściu Zosi. Jak ta Lonia śmiała rozmawiać ze mną w podobny sposób?... Wprawdzie nauczyciele, a szczególnie

inspektor, traktowali mnie dość familiarnie, no - ale to starzy ludzie. Lecz między kolegami w pierwszej (obecnie już w drugiej klasie) cieszyłem się poważaniem. A tu na wsi - proszę posłuchać, jak rozmawiał ze mną ojciec, jak mi się kłaniali parobcy, ile razy mówił pisarz: "Panie Kazimierzu, może pozwoli pan do mnie na fajeczkę?" Ja mu na to: "Dziękuję panu, nie chcę się przyzwyczajać." A on: "Jaki pan szczęśliwy, że pan ma taką moc nad sobą... Pan nie dałby się i guwernantce..."

Odpowiednio do postępowania starszych, ja także byłem poważny. Przecie sam ksiądz proboszcz mówił do ojca: "Patrzaj, mości dobrodzieju, panie Leśniewski, co to szkoła robi z chłopaka. Ten Kazio rok temu był wisus i pędziwiatr, a dziś, mości dobrodzieju, to statysta, to Metternich..."

Tak mnie sądzili ludzie... I trzeba wypadku, żeby jakaś koza, która ani jednej klasy nie widziała, ażeby ona śmiała mi powiedzieć, że - "to do kawalera bardzo podobne!..." Kawaler?... co mi za dorosła panna! Ze zna jakiegoś Adasia, to już zadziera głowę. Cóż ten Adaś? Skończył trzecią klasę, a ja idę do drugiej. Wielka różnica! Jak będzie osioł, to go dogonię, a nawet przegonię. Jeszcze, w dodatku do wszystkiego, każe mi iść po Zosię, jakbym ja był jej lokajczukiem. Zobaczmy, czy cię drugi raz usłucham!... Słowo daję, że jeżeli kiedy odezwie się z czymś podobnym, to po prostu - włożę ręce w kieszenie i odpowiem:

"Tylko proszę sobie tak nie pozwalać!" A nawet lepiej: "Moja Loniu, widzę, że nie nauczyłaś się grzeczności..." Albo nawet tak: "Moja Loniu, jeżeli chcesz, ażebym się z tobą wdawał..."

Czułem, że mi nie przychodzi dobra odpowiedź, i to mnie coraz więcej drażniło. Musiałem się nawet zmienić na twarzy, bo nasza gospodyni, stara Wojciechowa, dwa razy wchodziła do pokoju patrząc na mnie spod oka, aż nareszcie odezwała się:

- O, dlaboga, a czego to Kazio taki markotny?... Czy co Kazio zwojował, czy może z panem co?...

- Nic mi nie jest.

- Już ja widzę, że nie, nic przede mną się nie zatai. Jakaś co zmalował, to od razu idź do ojca i przyznaj się.

- Ale nic nie zrobiłem. Trochem się zmęczył, i tyle.

- Jakaś się zmęczył, to se odpocznij i podjedz. Zaraz dam ci chleba z miodem.

Wyszła i za chwilę powróciła z ogromnym kawałem chleba, z którego miód aż kapał.

- Ale ja nie będę jadł, dajcie mi spokój!...

- Co nie masz jeść? Bierz, ino prędko, bo mi miód po palcach ucieka. Podjesz se, to się zaraz rozweselisz. Człowieka zawsze trapi, kiedy głodny, ale jak se podje, zaraz mu się w głowie przetrze... No, ino weź do garści!

Musiałem wziąć bojąc się, ażeby mi nie okapała miodem włosów albo munduru. Machinalnie zjadłem, i naprawdę zrobiło mi się trochę lżej w sercu. Pomyślałem, że jakoś dam sobie radę z Lonią i że warto by także biednego Walka poczęstować, bo on pewnie miód rzadko jadał, a zresztą - już go lubiłem.

Na moje żądanie Wojciechowa, widząc tak błogi skutek lekarstwa, ukroiła mi jeszcze większy kawałek chleba, nie żałując miodu. Ostrożnie zabrałem prowiant i wyszedłem szukać chłopca.

Znalazłem go nie opodal od kuchni. Rozmawiali z nim śmiejąc się dwaj parobcy, którzy przywieźli drzewo z lasu.

- Jak cię jeszcze raz matka zbije - mówił jeden - to zabierz się i idź w świat. Co, pójdiesz?...

- Kiej nie wiem jak - odparł Walek.

- Weź buty na kij i aby za las. Tam światu dosyć.

- Kiej butów nie mam.

- To weź sam kij. Z kijem i bez butów zajdziesz... Zobaczywszy mnie chłopiec uciekł w stronę łąpianu.

- Co wy mu tak mówicie? - zapytałem parobków.

- Nic, kpinkujemy se z niego. Zwyczajnie jak z głupiego. Czując, że miód zaczyna mi walać palce, nie wdawałem się z nimi w dalszą rozmowę, lecz poszedłem za Wałkiem. Stał między zielskiem i patrzył na mnie.

- Walku! - zawołałem - masz tu chleb z miodem. Nie ruszył się.

- No, chodźże... - i postąpiłem parę kroków. Chłopiec zaczął uciekać.

- Och! jakiś ty głupi... No, masz chleb, kładę ci go ot tu... Położyłem na kamieniu i odszedłem. Ale dopiero gdym się skrył za węglem kuchni, chłopiec zbliżył się do kamienia, począł ostrożnie chleb oglądać i nareszcie - zjadł go, o ile mi się zdaje, z apetytem. W godzinę później idąc w stronę lasu spostrzegłem, że chłopiec drepcze za mną w pewnej odległości. Zatrzymałem się i on stanął. Gdym zawrócił do domu, odskoczył na bok i skrył się w krzakach. Ale po malej chwili znowu biegł za mną.

Tego dnia dałem mu drugi raz chleba. Wziął go z ręki, lecz jeszcze z obawą, i zaraz uciekł. Wszelako od tej pory począł chodzić za mną, zawsze w pewnej odległości.

Od rana krążył pod naszymi oknami jak ptak, któremu przyjacielska ręka sypie ziarno. Wieczorem siadał pod kuchnią i patrzył na naszą oficynę. Dopiero gdy światło zgasło, szedł spać na płachtę za piec, gdzie mu świerkały nad głową świerszcze.

W kilka dni po pierwszym spotkaniu z Lonią, ulegając namowom Zosi, poszedłem z nią do parku.

- Wiesz - zapewniała mnie siostra - że Lonią bardzo tobą zajęta. Ciągłe mówi o tobie, gniewa się, żeś wtedy nie wrócił, i wypytuje, kiedy przyjdiesz.

Cóż dziwnego, że uległem, tym bardziej że mnie samego coś ciągnęło do Loni. Zdawało mi się, iż wtedy dopiero skończą się moje tęsknoty wywołane śmiercią Józia, gdy zacznę chodzić z Lonią pod rękę i prowadzić z nią poważne rozmowy. O czym mianowicie? - nie wiem do dziś dnia. Czuję tylko, że chcę pięknie mówić, dużo mówić i - mieć jedyne słuchacza w Loni.

Na myśl o przechadzkach we dwoje coś grało mi w piersiach jak arfy, migotało jak słońce w kroplach rosy. Ale rzeczywistość nie zawsze odpowiada marzeniom. Toteż gdy prowadzony przez siostrę, spotkałem znowu Łonie, odezwałem się do niej z zamiarem rozpoczęcia owych idealnych rozmów:

- Czy pani lubi łapać ryby?

W tej chwili dziewczęta wzięły się pod ręce, zaczęły szeptać, biegać po alei i śmiać się jak szalone. Osłupiałem obracając w palcach wędkę, dla zrobienia której malom nie dostał kopytem od siwego konia za to, że mu wyrwał z ogona włosień.

Już zabierałem się do odejścia obrażony, gdy wróciły dziewczęta, a Zosia rzekła:

- Lonia prosi cię, żebyście mówili sobie po imieniu. Ukłoniłem się milcząc z zakłopotania, a one znowu w śmiech i pobiegły w stronę sadzawki.

- Wie kawaler... - zaczęła Lonia, lecz wnet poprawiła się:

- Wiesz, Zosiu, że mama stanowczo nie pozwala nam pływać czołnem. Powiedziałam, że nas będzie woził twój brat, ale mama...

Wyszeptała Zosi jakiś długi frazes do ucha; ja jednak od razu zgadłem, o co chodzi. Pewnie mama boi się, ażebym nie potopił dziewcząt, ja, taki pływak i uczeń drugiej klasy!...

Byłem zawstydzony. Spostrzegła to Lorda i nagle rzekła:

- Niech kawaler... Znowu poprawiła się:

- Poproś, Zosiu, brata, ażeby nam urwał lilii wodnych. One takie ładne, a ja ich nigdy nie miałam w ręku.

Duch we mnie wstąpił. Przynajmniej teraz pokażę, co umiem.

Dużo lilii rośło na sadzawce, ale nie przy brzegu, tylko trochę dalej. Ułamałem pręt i wszedłem na huśtające się czółno.

Lilie mają jakby sprężyste łodygi. Zaczepione prętem zbliżały się, lecz wnet odpływały. Ułamałem kij dłuższy, zakończony rodzajem haczyka. Tym razem udało mi się lepiej. Mocno pochwycona lilia przypląnęła tuż, tuż... Wyciągam lewą rękę, jeszcze za daleko. Klękam na dziobie łódki, wychylam się i już mam zerwać kwiat, gdy nagle - padam na wodę jak długi, pręt wymyka mi się z ręki, a lilia nowu odpływa.

Panny w krzyk... Ja wołam: "To nic! to nic! tu płytko!..." Wylewam wodę z czapki, kładę ją na głowę i brodząc po pas w sadzawce, a po kolana w błocie, zrywam jedną lilią, drugą, trzecią, czwartą...

- Kaziu! na miłość boską, wracaj!... - woła z płaczem siostra.

- Dostyc, już dostyc!... - wtóruje jej Lonia.

Ja nie słucham. Rwę piątą, szóstą i dziesiątą lilią, a potem liście.

Wyszedłem z sadzawki zmoczony od stóp do głów, zabłocony powyżej kolan i na rękawach. Na brzegu Zosia płacze, Lonia nie chce brać kwiatów, a za nimi kryje się żółty ze strachu - Walek...

Widzę, że Lonia ma także łzy w oczach, lecz nagle zaczyna się śmiać:

- Patrz, Zosiu, jak on wygląda!...

- Boże! co powie tatko?... - woła Zosia. - Mój Kaziu, umyż się przynajmniej twarz, boś cały zamazany.

Machinalnie dotykam nosa zabłoconą ręką. Lonia ze śmiechu aż siada na murawie. Zosia także śmieje się ocierając oczy, a nawet Walek otwiera usta i wydaje głos podobny do beczenia.

Teraz jego spostrzegają dziewczynki.

- Co to jest? - pyta Zosia - skąd on się tu wziął?

- On tu przyszedł za twoim bratem - odpowiada Lonia. - Widziałam go, jak się skradał między krzakami.

- Boże! jaki on ma kapelusz!... Czego on chce od ciebie, Kaziu?... - mówi siostra.

- Chodzi za mną od kilku dni.

- Aha! to pewnie Kazio z nim się bawił, kiedy od nas uciekał... - odzywa się ironicznie Lonia. - Patrz, Zosiu, jak oni obaj wyglądają - jeden zalany wodą, a drugi nie umyty... Oj, zaśmieję się!...

To zestawienie z Wałkiem wcale mi się nie podobało.

- No, mój Kaziu, umyż się i idź do domu przebrać się, a my pójdziemy tymczasem do altanki - rzekła Zosia podnosząc Łonie, która z nadmiaru uciechy była bliską spazmów.

Odeszły. Zostałem ja, Walek i - pęk lilii na trawie, których nikt nie podniósł.

"Takaż to nagroda za moje poświęcenie?" - pomyślałem z goryczą, czując błoto w ustach. Zdjąłem czapkę. Strach, co się z niej zrobiło!... Podobna do ścierki, a daszek w jednym miejscu odłazi. Z mundur, z kamizelki, z koszuli strugami płynie woda. Pełno jej w butach, aż skwierczy, gdy się ruszę. Czuję, że z płótna robi się na mnie sukno, z sukna skóra, a ze skóry drewno. A tam, w stronie altanki, słyszę leszcze śmiech Loni, która moją przygodę opowiada guwernantce.

Za chwilę przyjdą tu. Chcę się umyć, lecz, nie dokończywszy, uciekam, bo już idą!... Już w alei widzę ich suknie, słyszę wydziwiania guwernantki. Przecięły mi drogę do domu, zawracam w inną stronę ku płotowi.

- Gdzież on jest? - zapytuje krzykliwie guwernantka.

- O tam, tam!... uciekają obaj - odpowiada Lonia. Teraz widzę, że Walek krok w krok biegnie za mną. Dopadam płotu, on za mną. Włazę na żerdzie, on także. I kiedy obaj, zwróceni twarzami do siebie, siedzimy na płocie jak na koniu, w krzakach ukazuje się Lonia, Zosia i guwernantka.

- Ach! i ten przyjaciel!... - krzyczy Lonia ze śmiechem. Zeskoczyłem z płotu i pędzę przez pole w stronę naszej oficyny, a Walek wciąż dotrzymuje mi towarzysztwa. Widocznie bawi go ta obława, bo otwiera usta i wydaje głos beczący, który ma oznaczać zadowolenie.

Stałem - wściekły z gniewu.

- Mój kochany, czego ty chcesz ode mnie?... Czego się za mną włóczysz?... - rzekłem do chłopca. Walek zdumiał się.

- Idź sobie ode mnie, idź sobie precz!... - mówiłem zaciskając pięści. - Narobiłeś mi wstydu, wszyscy śmieją się ze mnie... Jeżeli mi jeszcze kiedy wleziesz w drogę, zbiję cię...

Powiedziawszy to odszedłem, a chłopiec został. Gdym oddalił się o kilkanaście kroków i odwróciłem głowę, zobaczyłem go w tym samym miejscu. Patrzył na mnie i głośno płakał.

Wpadłem do naszej kuchni jak upiór, a gdziekolwiek stąpiłem, zostawała struga wody. Na mój widok spłoszone kury z gdakaniem i rozpuszczonymi skrzydłami rzuciły się do okien, dziewczuchy zaczęły się śmiać, a Wojciechowa uderzyła w ręce.

- Słowo stało się ciałem!... A tobie co?... - krzyknęła babina.

- Nie widzicie?... Wpadłem w sadzawkę, i basta!... Niech mi Wojciechowa da płócienne ubranie, buty, koszulę... Tylko prędzej.

- Zgryzota moja z tym Kaziem! - odpowiedziała Wejciecho-wa. - Do kitla pewno guziki nie przyszyte... Kaśka, rusz ino się, poszukaj butów!

Zacęła mi rozpinąć i zdejmować mundur przy pomocy drugiej dziewczuchy. Poszło jako tako, ale z butami był ambaras. Ani w prawo, ani w lewo. Wreszcie zawołały do pomocy fornała. Musiałem położyć się na tapczanie, Wojciechowa z dziewczuchami trzymały mnie pod ramiona, a fornał ścigał buty. Myślałem, że mi nogi powykręca. Za to w pół godziny byłem już jak lalka - wytarty, przebrany i uczesany. Nadbiegła Zosia i przyszyła mi guziki do płóciennego uniformu. Wojciechowa zmoczoną odzież wykrciła, wyniosła na strych, i - cicho.

Ojciec jednak, wróciwszy do domu, wiedział już o wszystkim. Popatrzył na mnie drwiąco, pokiwał głową i rzekł:

- Oj, ty ośle, ośle!... Pójdź teraz do Loni, żeby ci sprawiła nowe majtki.

Wnet ukazał się pan gorzelany. I ten mnie obejrzał, naśmiał się, ale podsłuchiwał, jak mówił do ojca w kancelarii:

- Żwawy chłopak! za dziewczuchami wlezie w ogień... Tak jak my za młodych lat, panie Leśniewski.

Domyślałem się, że cały folwark wiedział o mojej uprzejmości dla Loni, i byłem bardzo zawstydzony.

Nad wieczorem przyszła dziedziczka, Lonia i guwernantka, a każda z nich, o dziwo! miała przy sukni - lilią wodną... Chciałem schować się pod ziemię, uciec, ale - zawołano mnie i stanąłem przed obliczem pań.

Uważałem, że guwernantka przypatruje mi się bardzo życzliwie. Zaś pani hrabina pogłaskała mnie po czerwonej twarzy i dała mi kilka cukierków.

- Mój chłopczyku - rzekła - bardzo pięknie, żeś taki grzeczny, ale proszę cię - nie woź nigdy panienek czólnem. Dobrze?... Pocałowałem ją w rękę i coś mruknąłem.

- Ale i sam także nie pływaj. Przyrzekasz-mi?

- Nie będę pływał.

Potem zwróciła się do guwernantki i coś pogadała po francusku. Usłyszałem kilka razy powtórzony wyraz: **hero**. Na nieszczęście, usłyszał go i ojciec i odezwał się:

- Oj, ma pani hrabina racją. Herod, prawdziwy Herod!... Panie uśmiechnęły się, a po ich odejściu

Zosia usiłowała wytłumaczyć ojcu, że hero pisze się héros, a po francusku nie znaczy Heroda, tylko bohatera.

- Bohater? - powtórzył ojciec. - On taki bohater, że zamoczył mundur i podarł majtki, a ja beknę Szulimowi ze dwadzieścia złotych. Niech diabli wezmą bohaterstwo, za które inni muszą płacić!

Prozaiczne poglądy ojca dużo mi sprawiły przykrości. Dziękowałem jednak Bogu, że się tylko na nich skończyło.

Odtąd widywałem się z Lonią nie tylko w parku, ale i w pałacu. Jadłem tam parę razy obiad, co napędziło mi dużo kłopotu, i prawie co dzień podwieczerek, na który dawano kawę albo poziomki, albo maliny z cukrem i ze śmietanką.

Często rozmawiałem ze starszymi paniami. Hrabina dziwiła się memu odcytaniu, które zawdzięczałem bibliotece garbuska, a guwernantka, panna Klementyna, po prostu zachwycała się mną. Tę ostatnią sympatią zawdzięczałem nie tyle mojej erudycji, ile rozmowom o pisarzu, o którym wiedziałem, gdzie pilnuje roboty i co myśli o panie Klementynie. W końcu światła ta osoba zwierzyła mi się, iż wcale nie myśli wyjść za mąż za pisarza, lecz pragnęłaby tylko podnieść go - moralnie. Oświadczyła mi, że według jej pojęć rola kobiet w świecie polega na podnoszeniu mężczyzn i że ja sam, gdy urosnę, muszę spotkać w życiu taką kobietę, która mnie podniesie.

Wykłady te bardzo mi się podobały. Coraz też gorliwiej znosiłem panie Klementynie wiadomości o pisarzu, a jemu o panie Klementynie, za co pozyskałem życzliwość obojga.

O ile dziś sobie przypominam, w pałacu życie było osobliwe.

Do hrabiny co kilka dni przyjeżdżał jej narzeczony, a panna Klementyna po parę razy na dzień odwiedzała te zakątki parku, z których mogła zobaczyć pisarza, a przynajmniej - jak mówiła - usłyszeć dźwięk jego głosu, zapewne wówczas, kiedy wymyślał parobkom. Ze swej strony panna służąca płakiwała kolejno w rozmaitych oknach za tymże pisarzem, a reszta fraucymeru, naśladując zwierzchność, dzieliła swe uczucia między lokaja, chłopca kredensowego, kucharza, kuchcika i stangreta. Nawet serce starej Salusi nie było wolne. Panowały w nim indyki, gąsiory, kaczory, koguty i kapłony tudzież ich różnopióre i różno-kształtne towarzysзки, w gronie których gospodyni całe dni przepędzała.

Rzecz prosta, że w tak zajęтым otoczeniu nam, dzieciom, schodził czas swobodnie. Bawiliśmy się od rana do wieczora i tylko wówczas widywaliśmy osoby starsze, gdy wołano nas na obiad, na podwieczerek albo na spoczynek.

Dzięki tej wolności moje stosunki z Lontą ułożyły się w sposób dość oryginalny. Ona mi mówiła przez parę dni "Kaziu", później "ty", posługiwała się mną, nawet krzyczała na mnie, a ja - wciąż nazywałem ją "panią", coraz rzadziej mówiłem, ale coraz częściej słuchałem. Niekiedy budziła się we mnie duma człowieka, który za rok może pójść do trzeciej klasy. Wtedy przeklinałem ową chwilę, kiedym to Lonię po raz pierwszy usłuchał idąc na jej rozkaz po siostrę. Mówiłem sobie:

"Cóż to ona myśli, że ja u niej jestem w służbie, jak mój ojciec u jej matki?..."

Tym sposobem buntowałem samego siebie, postanawiałem, że się to musi zmienić. Lecz na widok Loni całkiem opuszczała mnie odwaga, a jeżeli nawet i zdołał zatrzymać jakąś resztkę, 10 znowu Lonia wypowiadała swoje rozkazy z taką niecierpliwą prośbą, tak tupiała nóżką, że musiał wszystko zrobić. A kiedy raz, złapawszy wróbla, nie oddałem jej go natychmiast, zawołała:

- Nie chcesz, to nie!... Obejdę się bez twego wróbla... Była tak obrażona i taka ciekawa, że zacząłem zaklinać, ażeby wzięła wróbla. Ona nie i nie!... Ledwie ją przebłagałem, naturalnie przy pomocy Zosi, i jeszcze mimo to przez kilka dni musiałem słuchać żalów:

- Ja bym ci takiej przykrości nigdy w życiu nie zrobiła. Wiem teraz, jakiś ty stały! Pierwszego dnia skoczyłeś w wodę, ażeby mi lilii narwać, a już wczoraj nie chciałeś mi nawet pozwolić, żebym

trochę pobawiła się z ptaszkiem. Wiem już wszystko... O! żaden inny chłopiec nie postąpiłby ze mną w taki sposób.

A kiedy po wszelkich możliwych wyjaśnieniach prosiłem ją w końcu, ażeby się choć nie gniewała, odparła:

- Czy ja się gniewam?... Ty najlepiej wiesz, że się na dębie nie gniewam. Mnie tylko było przykro. Ale jak mi było przykro, tego sobie nikt nie wyobrazi... Niech ci powie Zosia, jak mi było przykro.

Wtedy Zosia, z uroczystą miną, wytłomaczyła mi, że Loni było bardzo, ale to bardzo przykro.

- Zresztą niech ci powie sama Lonia, jak jej było przykro -zakończyła moja kochana siostrzyczka.

Odsyłany od Annasza do Kaifasza po bliższe określenie stopnia owej przykrości, zupełnie straciłem głowę.

Stałem się maszyną, z którą panienki robiły, co im się tylko podobało, bo lada cień samodzielności z mojej strony wyrządzał przykrość albo Loni, albo Zosi, którą obie te panie odczuwały do spółki.

Gdyby biedny Józio wstał z grobu, nie poznałby mnie w tym cichym, posłusznym, zahukanym kawalerze, który wiecznie po coś chodził, coś nosił, czegoś szukał, o czymś nie wiedział, na czymś nie znał się i co kilka minut był strofowany. A gdyby to widzieli moi koledzy!...

Pewnego dnia panna Klementyna była bardziej zajęta niż zwykle. Pisarz bowiem miał jakiś dozór przy stajniach, o kilkanaście kroków od jej ulubionej altanki. Korzystając z tego wymknęliśmy się we troje za park, do tych krzaków, gdzie rosły jeżyny.

Strach, ile ich tam było! Co krok kępa, a na każdej gąszcz jeżyn czarnych i wielkich jak śliwki. Z początku zbieraliśmy je razem, zamieniając między sobą wykrzykniki podziwu i zadowolenia. Wkrótce jednak zamilkliśmy i rozeszliśmy się każde w swoją stronę. Nie wiem, jak tam dziewczęta, ale ja, utonawszy wśród najgęstszych kęp, zapomniałem o świecie. Co to były za jeżyny!... Dziś nie ma nawet takich ananasów.

Zmęczony staniem - usiadłem, zmęczony siedzeniem - położyłem się na krzakach jak na sprężynowym fotelu. Było tu tak ciepło, tak miękko i obficie, że nie wiem, skąd pomyślałem, iż właśnie tak musiało być Adamowi w raj. Boże! Boże! dlaczego ja nie byłem Adamem? Do dziś dnia na przeklętym drzewie rostyby jabłka, bo dla zerwania ich nie chciałoby mi się nawet ręki podnieść nad głowę...

Rozciągając się jak wąż pod ciepłym słońcem na giętkich krzakach, czułem nieopisane szczęście głównie z tego powodu, że nie mogłem zupełnie nie myśleć. Czasem przewracałem się na wznak, głową niżej niż reszta ciała. Poruszone wiatrem liście głaszały mnie po twarzy, a ja patrzyłem w ogromne niebo i z niezgłębionym zadowoleniem wyobrażałem sobie, że mnie -wcale nie ma. Lonia, Zosia, park, obiad, wreszcie szkoła i pan inspektor wydawały mi się snem, który niegdyś był, ale już przeszedł, może sto lat temu, a może i tysiąc. Biedny Józio w niebie wciąż zapewne doświadcza tych uczuć. Jaki on szczęśliwy!...

W końcu już mi się i jeżyn odechciało. Czułem, jak łagodnie unoszą mnie krzaki, widziałem każdą chmurkę, z wolna sunącą się po błękitnie, słyszałem szelest każdego liścia, ale sam nic nie myślał.

Nagle coś szarpnęło mnie. Zerwałem się na równe nogi nie pojmując, co się dzieje. Przez mgnienie było cicho jak i pierwej, lecz w tejże chwili usłyszałem płacz i krzyk Loni:

- Zosiu!... Panno Klementyno!... na pomoc!...

Jest coś strasznego w krzyku dziecka: "Na pomoc!..." Przemknęły mi przez głowę wyrazy: zmija! Tarnina chwyciła mnie za odzież, opłatywała nogi, szarpała, odpychała, nie!... ona mocowała się ze mną, biła się ze mną jak żywy potwór, a tymczasem Lonia wołała: "Na pomoc!... Boże, mój Boże!..." - a ja rozumiałem tylko jedną rzecz, jasną jak słońce, że tu muszę dać pomoc albo sam zginąć.

Zmęczony, podrapany, a najbardziej - przerażony, przedarłem się w końcu do tego miejsca, gdzie słyszałem płacz Loni.

Siedziała na krzaku drząc i załamując ręce.

- Loni!... co tobie?... - zawołałem do niej pierwszy raz po imieniu.

- Osa!... osa!...

- Osa?... - powtórzyłem rzucając się ku niej. - Ukąsiła cię?...

- Jeszcze nie, ale...

- Więc cóż...

- Chodzi po mnie...

- Gdzie?...

Z oczu jej płynęły łzy. Była bardzo zawstydzona, ale strach przemógł.

- Wlazła mi w pończoszkę... O, Boże... Boże, Zosiu!... Ukłękłem przed nią, ale jeszcze nie śmiała szukać osy.

- Więc wyjmij ją - rzekłem.

- Kiedy się boję. O, Boże!...

Drżała jak w febrze. Zdobyłem się na szczyt odwagi.

- Gdzie ona jest?

- Teraz chodzi mi po kolanie...

- Nie ma jej ani tu, ani tu.

- Już jest wyżej... Ach! Zosiu, Zosiu!...

- Ależ i tu jej nie ma... Lonia zasłoniła twarz rękoma.

- Musiała schować się w sukienkę... - rzekła płacząc jeszcze rzewniej.

- Jest!... - zawołałem. - To mucha...

- Gdzie?... Mucha?... - spytała Lonia. - Prawda, że mucha! Ach, jaka duża... Byłam pewna, że to osa. Myślałam, że umrę... Boże!

jaka ja głupia.

Obtarła oczy i od razu zaczęła się śmiać.

- Zabić ją czy puścić? - spytałem Loni pokazując jej nieszczęsnego owada.

- Jak ci się podoba - odpowiedziała już zupełnie spokojnie. Chciałem muchę zabić, ale - nie miałem serca. A ponieważ i skrzydła, i ona sama była bardzo zmięta, więc - ostrożnie położyłem ją na liściu.

Tymczasem Lonia przypatrywała mi się nader pilnie.

- Co tobie?... - nagle spytała.

- Nic - odpowiedziałem usiłując się roześmiać. Uczulem, że siły gwałtownie mnie opadają. Serce uderzało mi jak dzwon, zaczęło mi się ćmić w oczach, zimny pot wystąpił na całe ciało i klęcząc - zachwiałem się.

- Co tobie, Kaziu?...

- Nic... tylko myślałem, że ci się trafiło jakie nieszczęście... Gdyby mnie Lonia nie pochwyciła i nie oparła mi głowy na swych kolanach, byłbym rozbił nos o ziemię.

Jakaś ciepła fala uderzyła mi do głowy, usłyszałem szum w uszach i znowu głos Loni:

- Kaziu!... kochany Kaziu... co tobie?... Zosiu!... o Boże, on zemdleł... Cóż ja tu pocznę, nieszczęśliwa?...

Objęła mnie rękoma za głowę i zaczęła całować. Na całej twarzy czułem jej łzy. Było mi jej tak żal, że zebrałem resztę sił i z trudem dźwignąłem się.

- Nic mi nie jest!... nie bój się!... - zawołałem z głębi piersi.

Istotnie chwilowe osłabienie minęło tak prędko, jak przyszło. W uszach przestało szumieć, wzrok mi się wyjaśnił, podniosłem głowę z kolan Loni i patrząc jej w oczy śmiałem się.

Teraz i ona zaczęła się śmiać.

- Ach, ty niepocziwy, ach, ty niedobry!... - mówiła - żeby mi narobić takiego strachu. Jakże ty mogłeś zemdleć przez takie głupstwo?... Gdyby to nawet była osa, to by mnie przecież nie zjadła... I co ja bym robiła tu z tobą?... Ani wody, ani ludzi, Zosia gdzieś poszła, a ja sama musiałabym ratować takiego dużego chłopca. Wstydź się!

Naturalnie, że się wstydzę. Czy można ją było tak przestraszać?

- Cóż, jakże ci jest? - pytała Lonia. - Eh! już pewnie dobrze, boś nie taki błądy. Pierwej byłeś błądy jak płótno.

No - dodała po chwili - będę ja się mieć z pyszną, jak się mama o tym dowie!... Ach, Boże! boję się nawet wracać do domu...

- O czym mama się dowie? - spytałem.

- O wszystkim, a najgorzej o tej osie...

- Więc nie mów nikomu.

- Cóż z tego, że ja nie powiem... - rzekła odwracając głowę.

- Może myślisz, że ja powiem?... - odparłem. - Jak ojca kocham, tak nikomu ani słówka.

- A Zosi?... Ona jest dobra do sekretu.

- Ani Zosi. Nikomu.

- Choć i bez tego wszyscy się dowiedzą. Ty jesteś taki podrapany, potargany... Ale, czekaj no!... - dodała po chwili i obtarła mi twarz chustką. - Boże! czy ty wiesz, że ja ciebie nawet pocałowałam ze strachu, bo już nie wiedziałam, co robić. Żeby się kto o tym dowiedział, spaliłabym się ze wstydu, choć naprawdę - z osą byłby także kłopot. Ach! co ja mam zmartwienia przez ciebie...

- Ale nie masz się czego obawiać - pocieszałem ją.

- Tak, nie mam! Wszystko się wyda, bo masz pełno liści w głowie. Zresztą zaczekaj, ja cię uczeszę. Byle tylko z jakiego krzaka nie podglądała nas Zosia. Ona jest dobra do sekretu, ale zawsze...

Lonia wzięła ze swych włosów półkolisty grzebień i zaczęła mnie czesać.

- Ty zawsze jesteś potargany - mówiła. - Powinieneś czesać się tak jak wszyscy panowie. O tak!... Mieć przedział z prawego boku, nie z lewego. Gdybyś miał włosy czarne, byłbyś taki piękny jak narzeczony mojej mamy. Ale żeś blondyn, więc uczeszę cię inaczej. Będziesz teraz wyglądał jak aniołek, co jest pod Madonną. Wiesz, który... Szkoda, że nie mam lusterka.

- Kaziu! Loni!... - zawołała w tej chwili Zosia, gdzieś od strony parku.

Zerwaliśmy się oboje, a Lonia była naprawdę przełęczniona.

- Wszystko się wyda! - rzekła. - Och! ta osa!... A najgorsze to, żeś zemdłał..

- Nic się nie wyda! - odparłem energicznie. - Ja przede nic nie powiem.

- Ani ja. Nie powiesz nawet, żeś zemdłał?...

- Naturalnie.

- No, no!... - dziwiła się Lonia. - Bo ja, żebym zemdłała, to bym nie mogła wytrzymać...

- Kaziu! Loni!... - wołała moja siostra już o kilkanaście kroków od nas.

- Kaziu! - szepnęła Lonia kładąc palec na ustach.

- Już nie bój się!

Zaszeleściły krzaki i ukazała się Zosia ubrana w fartuszek.

- Gdzieś ty była, Zosiu? - zapytaliśmy ją oboje.

- Chodziłam po fartuszek dla siebie i dla ciebie, Loni. Masz oto, bo jeżyny walają.

- Czy zaraz wracamy do domu?

- Nie ma po co - odparła Zosia. - U mamy jest ten pan, a panna Klementyna ani myśli wyjść z altanki. Możemy tu siedzieć choćby do wieczora. Ale już zaczynam rwać jeżyny, boście wy więcej zjedli ich niż ja.

Zaczęły rwać obie, a ja także jakoś nabrałem na nowo ochoty do jedzenia.

Widząc, że oddalam się, Lonia zawołała za mną:

- Kaziu, wiesz, o czym myślę!...

I pogroziła mi palcem.

W tej chwili po raz nie wiem który przysięgłem sobie, że nikomu nie wspomnę ani o moim zemdleńiu, ani o tej musze. Ledwie jednak odszedł kilka kroków, usłyszałem głos Loni:

- Żebyś ty wiedziała, Zosiu, co się tu dzieje!... Ale nie mogę ci powiedzieć ani słówka. Chociaż gdybyś mi przyrzekła, że dotrzymasz sekretu...

Uciekłem jak najdalej w gąszcz czując, że się wstydzę. No, chociaż Zosia...

Na owych nieszczęsnych jeżynach byliśmy jeszcze z godzinę. Gdyśmy stamtąd wracali do domu, dostrzegłem wielką zmianę sytuacji. Zosia patrzyła na mnie ze Zgrozą i ciekawością, Lonia wcale nie patrzyła, a ja byłem tak zmieszany, jakbym popełnił morderstwo.

Żegnając się z nami Lonia serdecznie ucałowała Zosię, a mnie-kiwnęła głową. Zdjąłem przed nią czapkę myśląc, że jestem wielki gałgan.

Po odejściu Loni Zosia wzięła mnie w obroty.

- Dowiedziałam się pięknych rzeczy! - rzekła z powagą.

- Cóżem ja zrobił? - zapytałem na dobre przestraszony. - Jak to co? Naprzód - zemdłałeś (ach! Boże, i mnie przy tym nie było...), no - a potem ta osa czy mucha... Okropność... Biedna Lonia! Ja umarłabym ze wstydu.

- Ale cóżem ja temu winien? - ośmieliłem się spytać.

- Mój Kaziu - odparła - przede mną nie potrzebujesz się tłumaczyć, bo przecież ja ci nic nie zarzucam. Ale zawsze...

"Ale zawsze..." - to mi odpowiedź!... Z tego "ale zawsze" wypadło, że w całej sprawie ja jeden jestem winien. Mucha nic, Lonia, która wniebogłose krzyczała, także nic, tylko ja za to, żeś biegł na ratunek.

Prawda, ale po co zemdlałem?...

Byłem niepokojony. Na drugi dzień wcale nie poszedłem do parku, byle tylko nie pokazywać się Loni, a na trzeci - ona kazała mi przyjść. Gdym przyszedł, kiwnęła mi głową z daleka i rozmawiała tylko z Zosią, rzucając na mnie od czasu do czasu spojrzenia dumne i smutne jak na zbrodniarza.

Chwilami myślałem, że jednak dzieje mi się tu jakaś niesprawiedliwość. Wnet przecie tłumiliłem podobne podejrzenia mówiąc sobie, że naprawdę zrobił coś strasznego. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że taka metoda stanowi charakterystyczną cechę kobiecej logiki.

Tymczasem dziewczynki chodziły po ogrodzie poważnym krokiem ani myśląc o skakaniu przez sznur, tylko szepcząc coś między sobą. Nagle Lonia zatrzymała się i rzekła głosem bolejącym:

- Wiesz, Zosiu, taki mam apetyt na czarne jagody... Aż mi pachną...

- To ja zaraz przyniosę - odezwałem się z pośpiechem. - Znam w lesie jedno miejsce, gdzie jest ich bardzo dużo.

- Będziesz się fatygował?... - odpowiedziała Lonia obrzucając mnie melancholijnym wejrzeniem.

- Cóż to szkodzi? Niech idzie, kiedy chce - wtrąciła Zosia. Poszedłem tym spieszniej, że mi już w ogrodzie zaczynało być duszno wobec tylu grymasów. Mijając kuchnię usłyszałem, że panienki śmieją się, a gdy od niechcienia zajrzałem przez parkan, spostrzegłem, że w najlepsze skaczą przez sznur. Widać, że tylko wobec mnie zachowywały tak uroczyście miny.

W kuchni był piekielny hałas. Matka Walka płakała i kłęła, a stara Salusia wymyślała jej za to, że Walek stłukł talerz.

- Dałam mu - jęczała pomywaczka - temu hycelowi, talerz, żeby se wylizał, a on, podlec, buch! go na ziemię i jeszcze uciekł. Oj, jeżeli ja cię dziś nie zabiję, to mi chyba ręce i nogi odejmie...

A potem wołała:

- Walek!... Chodź mi tu zaraz, psiawiario, bo z ciebie będę pasy darła, jak wnet nie przyjdiesz.

Zrobiło mi się żal chłopca i chciałem załagodzić sprawę. Pomyślałem jednak, że mogę zrobić to samo wróciwszy z lasu, bo Walek chyba dopiero w nocy pokaże się w kuchni, i - poszedłem w swoją stronę.

Las był odległy od folwarku na jakie pół godziny drogi, może i dalej. Rosły w nim dęby, sosny, leszczyna, a poziomek i czarnych jagód było tyle, ile kto mógł zebrać. Z brzegu trochę pastusi przerzedzili jagody, głębiej było ich więcej, zajmowały takie płaty ziemi jak dziedziniec.

Dostawszy się w te okolice narwałem jagód całą czapkę i całą chustkę sam mało jedząc, bom się śpieszył. Pomimo to upłynęła godzina albo i dłużej, nim obladowany zdobyczą zabrałem się do powrotu. Nie szedłem prosto, alem trochę nakładał drogi, gdyż w ogóle pociągała mnie przechadzka po lesie.

Gdy idziesz ku gąszczowi, drzewa wyraźnie ustępują ci, niby robią miejsce. Ale spróbuj, posuwając się naprzód, odwracać głowę. Podają sobie gałęzie jakby ręce, pień zbliża się do pnia, potem nawet zaczynają się stykać i ani się spostrzeżesz, kiedy wyrośnie za tobą pstra ściana, głęboka, nieprzebyta...

Nic łatwiejszego jak wtedy zbłądzić. Gdziekolwiek ruszysz się, wszędzie jest jednakowo, wszędzie drzewa rozsuwają się przed tobą, a zbiegają za tobą. Zaczynasz pędzić, one także pędzą wciąż za ciebie, byle ci odciąć odwrót. Stajesz - one stają i zmęczone chłodzą się gałęzmi jak wachlarzami. Poruszasz głową na prawo i na lewo, szukając drogi, i widzisz, że niektóre z drzew kryją się za innymi, jakby chcąc cię przekonać, że jest ich mniej, niż sądzisz.

O! las to rzecz niebezpieczna. Tam każdy ptak szpieguje, gdzie idziesz, każde ziółko chce ci oplatać nogi, a nie mogąc, przynajmniej szelestem donosi o tobie innym. Tak on widać tęskni za ludzką twarzą, że raz ją zobaczywszy używa wszelkich podstępów, by ją zatrzymać na zawsze.

Już słońce miało się ku zachodowi, kiedym wyszedł na pole. O paręset kroków spotkałem Walka. Szedł prędko w stronę lasu podpierając się wysokim kijem.

- Gdzie ty idziesz? - zapytałem go. Nie uciekał przede mną. Stał i wskazując żółtą rączyną na las odparł cicho:

- Het! het!...

- Niedługo będzie noc, wracaj do domu.

- Kiej mnie matula strasznie chcą zbić...

- Chodź ze mną, to cię nie zbije.

- O, zbije!...

- No, chodź, zobaczysz, że d nic nie robi - rzekłem zbliżając się do niego.

Chłopak cofnął się, ale nie uciekał, zdawało mi się, że się waha.

- No, chodźże...

- Kiedy boję się...

Znowum się zbliżył, a on znowu się cofnął. To wahanie się i cofanie obdartego chłopca zniecierpliwilo mnie. Tam Lorda czeka na jagody, a on targuje się ze mną o powrót?... Nie mam na to czasu.

Prędko poszedłem ku folwarkowi. Byłem chyba w połowie drogi do domu, gdy odwróciłem głowę i zobaczyłem Walka na wzgórku pod lasem. Stał ze swym kijem w ręku i patrzył na mnie. Wiatr powiewał szarą koszuliną, a podarty kapelusz w promieniach zachodzącego słońca błyszczał mu na głowie jak ognisty wieniec.

Coś mnie tknęło. Przypomniałem sobie, jak go namawiali parobcy, ażeby wziął kij i poszedł w świat. Czyżby?... Nie, on przecie taki głupi nie jest. Zresztą nie mam czasu wracać do niego, bo pogniotą mi się jagody, a tam Lonia czeka...

Pędem przybiegłem do domu chcąc przesytać jagody do koszyka. Na progu Zosia powitała mnie - rzewnym płaczem...

- Co to jest?...

- Niestety - szepnęła siostra. - Wszystko się wydało... Tatko stracił miejsce u pani...

Jagody wysypały mi się z czapki i z chustki. Schwyciłem siostrę za rękę.

- Zosiu, co ty mówisz?... co się tobie dzieje?...

- Tak jest. Tatko już nie ma miejsca. Lonia po sekrecie powiedziała guwernantce o tej osie, a guwernantka pani... Kiedy tatko

przyszedł do pałacu, pani kazała, żeby ciebie natychmiast wywiózł do Siedlec. Ale tatko odpowiedział, że - wszyscy wyjedziemy razem...

Zaczęła strasznie płakać.

W tej chwili zobaczyłem ojca na dziedzińcu. Pobiegłem naprzeciw i bez tchu upadłem mu do nóg.

- Mój serdeczny tatku, com ja narobił!... - szeptałem obejmując go za kolana.

Ojciec podniósł mnie, pokiwał głową i odparł krótko:

- Głupiś, idź do domu.

A potem rzekł jakby do siebie:

- Jest tu inny majster, który nas stąd wypędza, bo myśli, że stary plenipotent nie pozwoliłby mu przegrać majątku sieroty. I ma rację!

Odgadłem, że mówi o narzeczonym naszej pani. Zrobiło mi się lżej na sercu. Pocałowałem szorstką rękę ojca i odezwałem się trochę śmielej:

- Bo, widzi tatko, byliśmy na jeżynach... Lonię ugryzła osa...

- Głupiś jak osa. Nie brataj się z paniętami, to nie będziesz polował na osy i nie zniszczysz majtek w sadzawce. Idź do domu i nie wylaż mi za próg, dopóki stąd wszyscy nie wyjadą.

- Oni jadą?... - ledwiem wyszeptał.

- Jadą do Warszawy za kilka dni, a wrócą, kiedy nas już tu nie będzie.

Smutno zeszedł wieczór. Na kolację były doskonale kluseczki z mlekiem, ale żadne z nas nie jadło. Zosia obcierała czerwone oczy, a ja układałem desperackie projekta.

Przed położeniem się spać cicho wszedłem do pokoiku siostry.

- Zosiu - rzekłem do niej stanowczo - ja... muszę się ożenić z Lorda!... Spojrzała na mnie przestraszona.

- Kiedy?...- spytała.

- Wszystko jedno.

- Ależ teraz ksiądz proboszcz nie da wam ślubu, a później ona będzie w Warszawie, a ty w Siedlcach... Zresztą, co by powiedział tatko, pani?...

- Widzę, że nie chcesz mi pomóc - odpowiedziałem siostrze i nie pocałowawszy jej na dobranoc wyszedłem.

Od tej chwili nie pamiętam już nic. Mijały dni i noce, a ja wciąż leżałem w łóżku, przy którym siedziała albo moja siostra, albo Wojciechowa, a czasami felczer. Nie wiem, czy mówiono przy mnie, czy mi się tylko marzyło, że Lonia już wyjechała i że Walek gdzieś przepadł. Raz nawet zdawało mi się, że widzę nad sobą zapłakaną twarz pomywaczki, która łkając pytała:

- Paniczu, gdzieście widzieli Walka?...

Ja?... Walka?... Nic nie rozumiałem. Ale później przyszło mi do głowy, że zbieram jagody w lesie i że z za każdego drzewa patrzy na mnie Walek. Wołam go, on ucieka - gonię za nim, lecz nie mogę dopędzić. Tarnina chwyta mnie i odpycha, jeżyny oplątują nogi, drzewa tańczą, między pniami porośniętymi mchem miga szara koszulina chłopca.

Niekiedy marzyłem, że ja sam jestem Walek, to znowu, że Walek, Lonia i ja jesteśmy jedną osobą. Przy tym zawsze widywałem las albo gęste krzaki, zawsze ktoś wołał mnie na pomoc, a ja - nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Strach, com wycierpiał.

Gdym podniósł się z łóżka, był już koniec wakacji i należało jechać do szkół. Parę dni jeszcze przesiadziałem w mieszkaniu i dopiero w wigilią wyjazdu, przed wieczorem, wywlokłem się na dziedziniec.

W pałacu okna były zasłonięte roletami. Więc oni naprawdę wyjechali?... Zaszedłem pod kuchnię upatrując Walka. Walka nie było. Spytałem o niego jakiejś dziewczuchy.

- Oho! paniczu - odparła - nie ma już Walka... Bałem się pytać o więcej. Poszedłem do parku. Boże, jak tu smutno... Bez myśli włóczyłem się po wilgotnych ścieżkach, bo niedawno deszcz padał. Trawa pożółkła, sadzawka jeszcze bardziej zarosła, w czólnie pełno wody. W alei głównej stały wielkie kałuże, w których przeglądał się mrok. Ziemia czarna, pnie czarne, gałęzie obwisły, liście więdną. Smutek szarpał mi duszę i z głębi raz po raz wydobywał jakiś cień. To Józia, to Loni, to Walka...

Wtem wionął wiatr, zaszumiały wierzchołki drzew i z chwiejących się gałęzi zaczęły padać duże krople jak łzy. Bóg widzi, że płakały drzewa. Nie wiem, czy nade mną, czy za moimi przyjaciółmi, ale to pewna, że - razem ze mną...

Ciemno było, kiedym wyszedł z parku. W kuchni parobcy jedli wieczerzę. Za kuchnią w polu zobaczyłem figurę kobiecą. Przy niepewnym świetle, które spływało na ziemię z jasnego paska obłoków, poznałem pomywaczkę. Patrzyła na las i mruzczała:

- Walek... Walek!... a wracajże do dom... O, coś ty mi zgryzoty narobił, ty niecnoto, niecnoto...

Uciekłem pędem do domu, bom myślał, że mi serce pęknie.

NA WAKACJACH

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi o kilka wiorst od siebie i widywaliśmy się prawie co dzień. Był to przystojny blondyn, którego łagodne, oczy mogły rozmarzyć niejedną kobietę. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

- Wiesz - odezwał się - miałem dziś głupi wypadek. Zdziwiłem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby, "głupi wypadek" mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

- Mieliśmy - mówi dalej - z rana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

- A tyś może skoczył w ogień?... - przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może mu padł na twarz blask zachodzącego słońca.

- Zapaliły się - ciągnął po przerwie - konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział Saya, ale na widok kłębow czarnego dymu i płomyków wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mnie filisterska ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem św. Floriana zażegnywała pożar, i chłopa, który medytował trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobieta wyszli w pole.

"Oto nasz system budowania!... - pomyślałem. - Dom płonie, jakby go prochem nabito..."

Istotnie, w ciągu paru minut cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o żakietę musiałem cofnąć się o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z osękami, siekierami i wodą: jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni leli wodę z konewek w taki sposób, że nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wyrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag wiedząc, że nic nie grozi dalszym budynkom; chata zaś była nie do uratowania.

Nagle ktoś krzyknął: "Tam jest dziecko, ten mały Stasiak!..."

- "Gdzie?..." - spytano. - "W chałupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego..."

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się jak rozpalone druty.

Wyznaję, że gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykły sposób.

"Jeżeli nikt nie idzie - pomyślałem - więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale -jakież piekielne gorąco!..."

"No, rusz się który! - wołały baby. - O wy, psie dusze, nie warciśta nazywać się chłopami!..." -

"To leż sama w ogień, kiedyś taka mądra! - ofuknął ktoś z tłumu. - Tam pewna śmierć, a dziecko, słabe jak kurczę, i tak już nie żyje..."

"Ładnie! - pomyślałem - nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham! Chociaż - szepnęła mi rozwaga - jakie licho ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecek?..."

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

"Ale trzeba w końcu wdrzeć się tam - myślałem - każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się jak robak.

- Lecz jeżeli już nie żyje?... - odpowiedziało zastanowienie -w takim razie szkoda nawet surduta..."

Z daleka odezwał się straszny krzyk kobiety: "Ratujcie dziecko!..." - "Trzymajcie ją!... - zawołano w odpowiedzi. - Skoczy w ogień i zginie..."

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk: "Puszczajcie !... to moje dziecko!..."-, „Cięgnij ją wół!...”- odpowie-dziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarło, z komina posypały się cegły. Poczulem, że mi się tłą włosy, i - cofnąłem się rozgniewany. "Co za głupi sentymentalizm - pomyślałem - dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszdyło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!..."

Wtem potrafiła mnie jakaś młoda dziewczyna biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nie umyte nogi.

"Co ty robisz, wariatko?! - krzyknąłem - tam już jest trup, nie '» dziecko..." - , Jagna! chodzi tu!..." - zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

"Ja-gna!..." - powtórzył lamentujący głos.

"Zara!... zara!..." - odpowiedziała dziewczyna przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w rękach chłopca, który obudziwszy się wrzeszczał wniebogłosy.

- Więc dziecko żyje? - spytałem.

- Jak najzdrowsze.

- A dziewczyna... czy to jego siostra?

- Gdzież tam! - odparł - zupełnie obca; nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

- I nic się jej nie stało?

- Opaliła sobie chustkę i trochę włosów. Idąc tu widziałem ją;

skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nucila fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl: jej dziki zapach i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu.

My już tacy!... - dodał i począł szpicróżgą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy i chłodny wiatr przyniósł od stawu rehotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekta na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepczą krzaki:

- Wy już tacy!...

MILKNAĆE GŁOSY

Wróciwszy cało z piątej kampanii w życiu, pułkownik w końcu roku 1871 wziął dymisję i osiadł w Lyonie. Liczył sobie dopiero sześćdziesiąt pięć lat i wyglądał tak czerstwo, że przyjaciele namawiali go, aby się ożenił. Ale pułkownik nie chciał się żenić. Mówił, że wprawdzie ma jeszcze mocne nogi, lecz że go już znudziła adwokacka Francja, więc myśli wrócić do swoich. Z babą zaś miałby w drodze dużo kłopotu.

Chciał jechać natychmiast; zaczął nawet szukać kupca na swój domek z ogródkiem. Tymczasem przybyło do Lyonu trzech rodaków i kolegów pułkownika z najpierwszej kampanii. Starzy odnaleźli się łatwo, jeszcze łatwiej odnowili znajomość i odtąd chodzili sobie we cztery. Chcąc pić razem czarną kawę w polskiej kawiarence, musieli razem jadać obiad w jednej restauracji. Potem każdy mógł iść, gdzie go oczy poniosą, byle wieczorem stanął na czas do wista. Ponieważ jednak trafiały się spóźnienia, więc dla porządku pilnowali się wzajemnie i - cały dzień chodzili razem, czasami po dwóch, czasem gęsiego, a zwykle rzędem.

Głównym zajęciem ich była rozmowa o dawnych kampaniach i o polityce bieżącej. W ciągu roku starzy odkryli wszystkie błędy Kossutha, Mac-Mahona, Bazaine'a i dawniejszych wodzów. W roku zaś następnym poukładali tak szczęśliwie plany wojen, że gdyby je wykonano, świat wyglądałby całkiem inaczej niż obecnie.

W trzecim roku jeden z nich umarł. Opłakali go jak brata, lecz w miesiąc po pogrzebie zdecydowali, że w polityce nieboszczyka

tkwił wielki błąd: bo Bismarck, choć Niemiec, jest jednak genialnym człowiekiem, i nie wiadomo, na co się jeszcze może przydać.

W czwartym roku umarł im drugi kamrat całkiem niespodzianie. Pułkownik aż położył się do łóżka ze zmartwienia i od tej pory z pozostałym kolegą nie grywał w wista, tylko w mariasza. Starzy mniej teraz rozmawiali ze sobą, ale za to czytawali więcej gazet. Rozejrzawszy się zaś i skombinowawszy to, co pisały dzienniki angielskie, z tym, co niekiedy bywało w niemieckich, doszli do wniosku, że Bismarck wcale nie jest taki zły, jak się wydaje, lecz musi być ostrożny...

- W polityce, kochany kapitanie - mówił pułkownik - najpierwszą cnotą jest ostrożność. To rzecz daremna!...

- Zawsze byłem tego zdania, kochany pułkowniku - odparł kapitan. - I nawet, jeżeli sobie przypominasz, często broniłem Bismarcka...

- No, częściej mówiłeś, że to gałgan.

- Ja, pułkowniku?... To nieboszczyk Kudelski, a głównie Domejko, Panie, świeć ich duszy...
Potem dodał:

- Prawda, że dobrzy z nich oficerowie, ale - do polityki żaden nie miał głowy... choć obaj są już na boskim sądzie.

Nareszcie - pewnej zimy umarł i kapitan.

Pułkownik na razie nie okazał żalu; zajął się pogrzebem i sprawił taki, jaki należał się oficerowi dwóch armij. Nie uronił ani jednej łzy, ale gdy nad grobem rozległy się salwy piechoty żegnającej kolegę, starzec nagle zachwiał się i padł, jak gdyby wszystkie strzały skierowano w jego piersi.

Ledwie go otrzęźwili. Przez kilka minut odpoczywał, potem bez niczyjej pomocy wsiadł do fiakra i kazał się odwieźć do domu.

Na drugi dzień w miejscowych dziennikach ukazało się ogłoszenie o sprzedaży domu pułkownika. Kupiec znalazł się prędko, a w tydzień później starzec gotował się do pożegnania gościnnej Francji na zawsze.

- Nie żal ci też, pułkowniku, opuszczać nas? - spytał go rejent, u którego robiono akt sprzedaży.

- Żal i nie żal - odparł starzec. - Żal, boście szlachetny naród i warto za was krew przelewać. A nie żal - bo się u was dużo zmieniło... Gadacie tylko o handlu, pieniądzach, kuchni, zabawach... Wrócę ja lepiej do moich śniegów... Tam są inni ludzie, moi ludzie. Oni rozumieją mnie, ja ich. A tu, u was, jest mi już strasznie pusto...

Rejent pokiwał głową, ale widząc gorączkę starca nie wdawał się w perswazje. Zrozumiał on, że człowieka czasami porywa burza tęsknoty i niesie go jak liść, który gdyby umiał myśleć, może by i myślał, że wraca na swoje dawne drzewo i że znowu do niego przy rośnie.

Pułkownik udał się do Paryża, ułożył się o wypłacanie mu emerytury, przedstawił w ambasadzie swoje dokumenta i uzyskał paszport. Spotkał wielu przyjaciół, którzy namawiali go, ażeby odpoczął choć do lata. Ale na próżno. Starca, od chwili gdy powiedział sobie, iż wraca do kraju, ogarnął taki niepokój, że po prostu - nie mógł sobie znaleźć miejsca.

W rozmowie był nieuważny, w towarzystwie cierpki. Gdy dla rozerwania się wziął jakiś dziennik, zdawało mu się, że jest drukowany po polsku. Wszędzie na coś czekał, jakby lada chwilę miał ukazać się ktoś jeszcze nie znany, ale - od dawna wyglądany. Na bulwarach, ponad tysiącem świateł i gwarnym mrowiskiem ludzi, widywał ciche równiny śniegiem pokryte, na horyzoncie czarne lasy, gdzieś tam małe domy ze słomianymi dachami albo stare krzyże przy drogach.

Miał jakby dwie dusze. Jedną wywiózł z kraju, druga wyrosła w nim na obczyźnie i samowładnie rządziła przez lat czterdzieści kilka. Lecz nagle obudził się ów młody duch z całym zasobem wspomnień i pragnień. Było mu źle w Lyonie, źle w Paryżu, źle w teatrze, źle w pociągu. W dzień przeszkadzał myśleć, a w nocy zdawało się pułkownikowi, że ktoś rzuca nim po łóżku, wygania go z pokoju, że w nim szłocha i krzyczy rozzwierającym głosem:

- Odwieź mnie tam, do moich!...

Starzec opuścił Paryż, z wieloma osobami nie pożegnawszy się nawet, i dniem i nocą jechał do kraju. Wyprostowana figura i charakterystyczne ruchy zwróciły uwagę Niemców, którzy przypatrując się śniadej, suchej twarzy, jego podciętym białym wąsom i białej muszce na brodzie odgadywali, że to musi być jakiś generał, a bodaj czy nie marszałek francuski.

- Pewnie jedzie z misją do Petersburga!... - szeptali Niemcy. A że starzec wciąż wyglądał oknem, domyślali się, że bada niemieckie koleje, i - wróżyli wojnę na obu frontach.

Do granicy pociąg przyjechał nad ranem. Formalności paszportowe zabrały kilka godzin czasu. Jedni pasażerowie jedli, inni drzemali. Pułkownik nie mógł ani jeść, ani spać; wyszedł na spacer za stacją.

Szedł wzdłuż toru drogi żelaznej, może wiorstę, a może i dalej. Zaczęło świtać. Na wschodzie ukazał się jasny pasek, który stopniowo wzrastał, aż całe niebo przybrało barwę zielonego szkła, poplamionego szarymi, białymi i bladoróżowymi obłokami.

Po dusznej atmosferze bufetu chłodny wiatr orzeźwił starca, ale - nie uspokoił go. Pułkownikowi zdawało się, że gdy raz stanie na otwartym polu, na swoim polu, w jego piersi nie wytrzyma tęsknota, wyrwie się i gdzieś odleci, jak gołąb wypuszczony z klatki. Lecz stało się inaczej: zamiast ukojenia uczył zdziwienie. Horyzont, niegdyś taki szeroki, wydał mu się ciasnym. Lasów nie widać, tylko tu i owdzie sterczą dymiące kominy fabryk. Nie widać ani chat, ani ogrodów przy nich, tylko posępne, ceglane domy na śnieżnych wydmach. Nawet wiatr, zamiast szumieć między gałązkami wierzby, tłukł się o nieskończenie długi szereg słupów albo w telegraficznych dzwoneczkach płakał jak zabłąkana sierota.

To już nie ta ziemia, którą przed pół wiekiem opuścił!...

Na dworcu zadzwoniono. Pułkownik ledwie zdążył zająć miejsce w wagonie - i pociąg ruszył.

Przez całą drogę starzec rozglądał się chcąc choć nie jakąś nitkę nawiązać między rzeczywistością i wspomnieniami. Daremna praca! Inny kraj leży na dnie duszy, inny przed oczyma. Chłopi bez sukman. Żydzi bez lisich czapek, domy bez drzew, ziemia bez lasów. Nie był nawet pewny, czy ptaki nie straciły głosu.

Do Warszawy przyjechał już późno wieczór i umieścił się w drugorzędnym hotelu, który z pozoru przypominał dawne "zajazdy". Lecz i tu spotkało go rozczarowanie. Zamiast prostych sprzętów, obitych włosieniem albo skórą, jakie bywały za jego czasów, zastał modne meble, obrazy kobiet z półświatka, popsute elektryczne dzwonki i służbę w poplamionych frakach. Nie był to już stary "zajazd", ale zagraniczny hotelik w złym gatunku.

Przespawszy noc jako tako, pułkownik od rana wyszedł na miasto. Wziął dorożkę i kazał obwozić się po wszystkich znanych niegdyś ulicach. Niepojęte zmiany... Znikły wysokie, w białe i czerwone pasy malowane słupy latarniowe, znikły dworki i rozległe ogrody, a miejsce ich zajęły szeregi ogromnych kamienic, zbudowanych po większej części bez ładu i smaku. Nawet tam, gdzie za jego czasów polowano na dzikie kaczkę, stało dziś miasto duże, ruchliwe, ale - jakieś inne...

Ludzi zupełnie nie poznawał, ani z ubiorów, ani z fizjognomij. Co dziwniejsza, chwilami raziło go to, że nie słyszy gwaru francuskich rozmów, do których przez pół wieku nawykło ucho!

Po tej przejażdżce uczył pustkę jeszcze większą niż we Francji i postanowił wejść w towarzystwo ludzi.

Miał tu znajomych między różnymi osobami, które spotykał w Paryżu albo u wód.

Zanotował kilka nazwisk i poprosił hotelowego szwajcara o wyszukanie adresów. Na drugi dzień przyniesiono mu tylko jeden adres człowieka dość majątnego, z którym przed dziesięcioma laty poznał się w Vichy.

Pułkownik natychmiast udał się do niego i szczęściem zastał w domu.

Gospodarz na razie nie poznał go, a poznawszy zmieszał się. Gorączkowo ściskając gościa, troskliwie począł go wypytywać, czy nie miał kłopotów z paszportem? - a gdy uspokoił się co do tej kwestii, zapytał, jak też długo myśli bawić w Warszawie?

- Chciałbym tu osiedlić się, o ile, naturalnie, uda mi się zawiązać stosunki - odparł pułkownik.

- O!... stosunki u nas zawiązują się łatwo. Znajdzie tu pan może nawet i swego kolegę...

- Któż to?... - przerwał mu prędko starzec.

- Jest to także były oficer francuski. Biedaczysko!... przyjechał bez grosza i ledwo znalazł jakąś lichą posadę... Dziś nie może odżałować, że opuścił Francję. Och!... u nas bardzo trudno o zajęcie... tysiące młodzieży szuka go na próżno...

- No, ja tego nie potrzebuję - odparł gość śmiejąc się pierwszy raz od paru miesięcy. - Mam trochę gotówki i emeryturę pułkownika.

Uśmiech tak widać ozdobił marsową twarz starca, że gospodarz, poprzednio dość chłodny, nagle wpadł w entuzjazm. Porwał gościa w objęcia, kilkanaście razy nazwał go pułkownikiem, przypomniał mu mnóstwo przyjemnych chwil spędzonych razem w Vichy, przedstawił mu całą swoją rodzinę i zaklinał na wszystkie świętości, ażeby raczył uważać ten dom jak własny i ażeby jutro wieczorem zaszczycił go swoją wizytą.

- Będzie u nas parę osób - mówił zachwycony gospodarz - które z przyjemnością złożą hołd bohaterowi...

- Emerytowi!... - poprawił go pułkownik.

Pomimo tak szczególnego przyjęcia pułkownik przyszedł na wieczór. W przedpokoju przyjął go sam gospodarz, ledwie nie zdjął mu kaloszy i z wielkim szumem wprowadził do salonu.

Był to wieczór tańczący, więc starzec znalazł od razu kilkadziesiąt osób. Porobił prędko

znajomości z damami, z których jedna zapewniała go, że pamięta kampanią włoską, choć mogła znać na palcach węgierską - druga dziwiła się, że opuścił "ten piękny Paryż", a najmłodsza zapytała nieśmiało: czy pan pułkownik nie tańczy już nawet kadryla?...

Ponieważ przeszło siedemdziesięcioletni weteran już nie tańczył, więc gdy odezwała się muzyka, pomimo całego szacunku -zapomniała o nim. Żołnierz spod Solferino i Gravelotte musiał ustąpić bohaterom walca i kontredansa, tak samo jak we Francji.

Wyszedł do dalszych salonów; tam grano w karty. Gościnny gospodarz ofiarował się w tej chwili zebrać mu towarzystwo do wista z dwu radców i jednego prezesa; ale starzec podziękował, może przez pamięć dla swoich ostatnich kolegów od wista.

Więc i tu przestano się nim zajmować, z czego pułkownik był kontem mogąc przypatrzeć się ludziom.

Przysłuchiwał się rozmowom. W jednym kącie mówiono o karnawale, w drugim o giełdowych kursach, w trzecim o płci pięknej, w czwartym o polityce, a mianowicie o tym, że nas Niemcy nieodwołalnie zjedzą.

Do tej grupy przyłączył się pułkownik, ale rozmawiał niedługo. Przechodząc od kwestii do kwestii, usłyszał w końcu, że realna polityka powinna traktować wojnę jak interes przemysłowy i że tylko taki szarlatan jak Napoleon III mógł wojować za cudze sprawy, dla idei.

Toż samo niejednokrotnie słyszał we Francji - po cóż więc ją opuścił?...

Starzec cichaczem wymknął się z balu i wrócił do swego zajazdu. Położywszy się do łóżka począł marzyć, trochę we śnie, trochę na jawie. Gdy znużony tracił chwilami świadomość, zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz że jest krzyżem na zapadającym się grobie, w którym spoczęli jego dawni kamraci. Gdy zaś ocknął się, szeptał:

- Po com ja tu wróciłem?...

I uczył tęsknotę za Francją.

Na drugi dzień przypadła niedziela. Starzec wstał późno i ubierał się powoli, namyślając się, kiedy wracać do Francji: dziś czy jutro?... Tu był już obcym dla wszystkich i wszyscy dla niego.

Miał numer na dole. Gdy około dziesiątej podniósł roletę, spostrzegł, że przed jego oknem chodzi tam i na powrót jakiś ubogi odziany człowiek z małym chłopcem.

Był silny mróz, więc ubogi człowiek dla rozgrzania się tupał nogami w chodnik, uderzał się w ramiona albo rozcierał zsiniałe z zimna ręce dziecka, które miało nieco przydługi surdut, słomiany kapelusz, nie obtarty nos i uszy podwiązane brudną chustką.

Ponieważ chodzący po podwórzu często spoglądał w okno pułkownika, starzec zwrócił na niego uwagę i spytał kelnera: co za jeden jest ten człowiek?

Kelner uśmiechnął się i odparł:

- To szewc!... Mieszka tu u nas pod strychem i chce swojemu chłopcu pokazać pana pułkownika...

- Mnie pokazać?... A skądże on wie, kto ja jestem?...

- Dowiedział się od służby...

Starzec zamyślił się, a tymczasem ubogi człowiek wciąż dreptał za jego oknem albo rozcierał zmarznięte rączyny dziecku.

Pułkownik miał iść na śniadanie do miasta. Ubrał się więc spieszniej i zaciekawiony wyszedł na podwórze.

Na jego widok człowiek z dzieckiem stanął jak wryty. Wykręcił czapkę na bakier, zmarszczył brwi, wyprężył się i zacisnął pięści, co wyglądało tak, jak gdyby chciał rzucić się na pułkownika, ale według jego pojęć znaczyło oddanie honorów.

Ponieważ jego syn chuchał sobie przez ten czas w ręce, więc dla rozbudzenia uwagi uderzył

chłopca pięścią w kark, a sam wciąż patrzył na starca jak na wilka, myśląc, że postępuje według najściślejszych reguł wojskowej etykiety.

Starzec - zatrzymał się. Chciał coś przemówić do ubogo ubranego człowieka, ale brakło mu wyrazów, a przy tym - było na podwórzu trochę ludzi. Więc tylko spojrzeli sobie w oczy i pułkownik z wolna poszedł w stronę ulicy.

Wtedy szewc odezwał się do dziecka:

- Wojtuś!...

- Abo co?

- Będziesz, hyclu, taki?...

- Co nie mam być, oj! jej!... - odparło dziecko z zawałanym nosem.

- Pamiętaj, żebyś bywał, bobym ci zęby powybił, choć urośniesz!...

Tymczasem pułkownik poszedł na śniadanie, ale jadł niewiele, bo śpieszył się. Potem wybiegł do miasta i wkrótce - wynajął sobie prywatne mieszkanie.

Brzydkie kamienice i nowi ludzie już go -nie razili. A gdy wypadkiem mijał ulicę Karową i z niej spojrzał na Wisłę, zobaczył znowu taki rozległy horyzont jak niegdyś, takie same lasy i uczuł ten orzeźwiający powiew, którego mu brakowało przez pół wieku.

"Zostanę tu!" - pomyślał.

ŻYWE TELEGRAF

Pani hrabina podczas wizyty w zakładzie sierot spostrzegła na korytarzu niezwykłą scenę: czterech chłopców wydzierało sobie podartą książkę, dość żwawo okładając się kułakami.

- Zdaje mi się, dzieci, że się bijecie?... - zawołała przestraszona dama. - Za to żaden nie dostanie pierniczka i jeszcze pójdzie klęczyć.

- Bo, proszę pani, on mi zabrał Robinsona! - tłumaczył się jeden chłopiec.

- Nieprawda, bo to on!... - zaprzeczył drugi.

- Widzisz, jak kłamiesz! - zawołał trzeci. - To ty odebrałaś mi Robinsona.

Zakonnica wyjaśniła damę, że mimo pilnego dozoru podobne wypadki trafiają się dosyć często, dzieci bowiem łakną czytania, a książek zakład nie posiada.

W sercu pani hrabiny zatriła się jakaś iskra. Ponieważ jednak nużyło ją myślenie, więc starała się zapomnieć o tym. Dopiero w salonie radcy, gdzie wypadło mówić o rzeczach pobożnych i dobroczynnych, opisała wypadek w zakładzie wraz z objaśnieniem zakonnicy.

Radca słuchając doznał też niezwykłego uczucia i jako biegłej-szy w sztuce myślenia, zawnioskował, że należałoby wysłać książki dla sierot. Przypomniał sobie nawet, że w szafie czy w kufrze posiada cały stos butwiejących druków, które niegdyś kupował dla swych dzieci; lecz... za ciężki już był do grzebania w rupieciach.

Wieczorem radca znalazł się u pana Z., któremu całe żyde upływało na oddawaniu drobnych usług ludzkości, zawartej między siódmą a trzecią klasą urzędowej hierarchii. Chcąc mu zrobić przyjemność radca opowiedział panu Z. to, co hrabina widziała w zakładzie i słyszała od zakonnicy, dodając ze swej strony, że - wypada postarać się o książki dla sierot.

- Nic prostszego! - wykrzyknął pan Z. - Wstąpię jutro do redakcji "Kuriera" i wpłynę na nich, ażeby zrobili ogłoszenie.

Na drugi dzień pan Z. wbiegł zadyszany do "Kuriera", na wszystkie świętości błagając redakcję, ażeby wezwwała ogół do składania książek dla sierot.

Trafił szczęśliwie, ponieważ brakowało do numeru kilkuwierszowej wiadomości sensacyjnej. Jakoż referent wydziału uczuciowego siadł i napisał:

"Gromadka dzieci, zostających pod opieką publiczną, cierpi na brak książek.

Małeństwo tęskni.

Pamiętajcie o duszach głodnych!"

Potem gwizdząc wyszedł na obiad.

W parę dni później, w niedzielę, przed zamkniętymi drzwiami redakcji spotkałem ubogo odzianego człowieka z rękoma czarnymi jak u kominiarza, a wraz z nim szczupłą dziewczynkę niosącą pakę starych książek.

- Czego pan sobie życzy?

Ufarbowany człowiek uchylił czapki i odparł nieśmiało:

- Przynieśliśmy, proszę pana, kilka książek dla tych "głodnych", co panowie pisali...

A szczupła dziewczynka dygnęła rumieniąc się, o ile jej na to pozwalały początki blednicy.

Wziąłem od niej książki i oddałem redakcyjnemu chłopcu.

- Jakże się pan nazywa? - spytałem.

- Proszę pana, a na co to? - odparł zmieszany.

- Musimy przecież wydrukować, kto dal książki.

- O! to nie potrzeba, proszę pana; ja przede jestem ubogi człowiek z fabryki kapeluszy... To nie potrzeba...

I odszedł wraz z mizerną córeczką.

Obok mnie stał uczony profesor fizyki i zapewne skutkiem tego przyszedł mi na myśl - telegraf nowej konstrukcji.

Główną stacją był zakład sierot, boczną - robotnik z fabryki kapeluszy; gdy jeden zasygnalizował "baczość", drugi natychmiast odpowiedział. Gdy jeden zażądał, drugi przyniósł.

My inni spełniliśmy funkcję słupów telegraficznych.

CIE NIE

Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch - wielka armia nocy o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armia, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczora, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załamkach murów. Rozproszona i na pozór nieobecna wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wdrzeć się na nie zajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armia zmroków gęstymi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapełnia korytarze domów, sienie i źle oświetlone schody; spod szaf i stołów wypelzuje na środek pokoju i obsiada firanki; przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchym milczeniu szturmując ściany i dachy i zaczajona na szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać. Barwy i kształty rozplyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

W takiej chwili na pustoszejących ulicach Warszawy ukazują się dziwne postacie ludzkie, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ściagały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie i roznieciwszy wesołe światło, znika jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży się lipcowa burza, czy rozrukane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu, czy w powietrzu kłębią się zimowe śniegi - on zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki, roznieca światło, a potem znika jak cień.

Skąd się ty bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które, pozostawiając w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty w ogóle posiadasz jakiś dom, w którym by cię znaleźć można? imię, którym można by ciebie zawołać? potrzeby i uczucia, które by cię robiły takim jak my człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujętą, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika jak cień?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża:

- Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?
- U nas.
- A gdzie?
- W tamtej komórce.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okno, ale tylko zobaczyłem tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było

- Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda?

- Kto go tam wie - odparł stróż wzruszając ramionami. - Sam go nawet dobrze nie znam - dodał - bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W. pół roku przyszedłem drugi raz.

- A dziś nie ma w domu latarnika?

- Oho! - rzekł stróż - nie ma i nie będzie. Wczoraj go pochowali. Umarł. Stróż zamyślił się.

Zapytawszy o kilka szczegółów pojechałem na cmentarz.

- Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

- Latarnika?... - powtórzył. - Kto go tam wie! Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

- Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

- Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

- Ale on leżał w niemalowanej trumnie.

- Takich zważyło się szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego grobu. I został tym po śmierci, czym był za życia: istotą widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytą jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna, gdzie na skrępowanego przesadami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść - po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trzusi się nieoceniony, a potem znika jak cień...

OMYŁKA

Dom mojej matki stał na brzegu miasteczka, przy ulicy obwodowej, wzdłuż której mieściły się budynki gospodarskie, sad i ogród warzywny. Za domem ciągnęły się nasze grunta, zawarte między drogą boczną i pocztowym gościńcem. Ze strychu, gdzie znajdował się pokój brata, w zwykłym czasie napełniony rupieciami, można było widzieć z jednej strony kościół, rynek, żydowskie sklepiki i starą kapliczkę Św. Jana, z drugiej - nasze pola, potem olszynę, dalej głębokie wąwozy zarośnięte krzakami, wreszcie - samotną chatę, o której ludzie wspominali z niechęcią, a niekiedy z przekleństwem.

Miałem wówczas lat siedem i chowałem się przy matce. Była to kobieta wysoka i silna. Pamiętam jej twarz rumianą i energiczną, kaftan podpasany rzemieniem i pukające buty. Mówiła głośno i stanowczo, a pracowała od rana do nocy. O świcie była już na dziedzińcu i oglądała krowy, konie, kury - czy nie dzieje się im jaka krzywda i czy dostały jeść. Po śniadaniu szła w pole zbaczając do chorych, których w miasteczku nigdy nie brakło. Gdy wracała do domu, czekali na nią różni interesanci: jeden chciał kupić bydłako, drugi pożyczyć zboża lub pieniędzy; ta radziła się o kaszlące dziecko, a tamta przyniosła na sprzedaż garstkę lnu. Prawie nie mogę wyobrazić sobie matki samotnej; zawsze kręcili się przy niej ludzie jak gołębie przy gołębniku, prosząc o coś lub za coś dziękując. Ona w całej okolicy wszystkich знаła, wszystkim pomagała i radziła. Rzecz, zdaje się, niegodna wiary, a przecie tak było, że nawet ksiądz proboszcz i pan burmistrz przychodzili zasięgać jej zdania. Ona rozmawiała z nimi robiąc pończochę, a następnie, jak gdyby nic, biegła doić krowy. Umiała też w razie potrzeby zaprząć konie do wozu i wyjechać po snopy, a nawet drzewa narąbać. Wieczorami szła bieliznę albo łątała moje odzienie, w nocy, gdy psy mocniej ujadają, zrywała się z łóżka i ledwie odziana w gruby szlafrok obchodziła budynki. Raz wystraszyła złodzieja.

Chłopi, panowie, dzieci, chorzy, zwierzęta, drzewa, nawet kamień przy wrotach - wszystko ją obchodziło. Tylko o chacie stojącej za naszymi polami nie wspominała nigdy. Jej mieszkańcy musieli być bardzo zdrowi i szczęśliwi, gdyż mama wcale nie zaglądała do nich.

Ojciec mój od kilku lat nie żył; pamiętam go o tyle, że co dzień ofiarował Bogu pacierz za jego duszę. Raz, kiedy byłem bardzo senny i poszedłem spać bez pacierza, pokazała mi się w nocy dusza ojca na ścianie. Była jasnobiała, niewielka, z formy podobna do duszy w żelazku. Złakłem się nadzwyczajnie i do rana przeleżałem z głową schowaną pod kołdrę. Nazajutrz powiedzieli mi, że to blask księżyca padał na ścianę przez serce wycięte w okiennicy. Od tej jednakże pory nigdy nie zapomniałem modlić się za Ojca.

Miałem też brata o kilkanaście lat starszego ode mnie. Przypominam go sobie jak przez mgłę, ponieważ widziałem go zaledwie parę razy w życiu. Wiem, że nosił czarny mundur ze złotymi guzikami i szafirowym kołnierzem i że sposobił się na doktora.

Nieraz, zdjęty ciekawością, wychodziłem na strych, ażeby przez najwyższy dymnik zobaczyć stolicę, gdzie uczył się brat, a przynajmniej miasto, gdzie mama jeździła po kilka razy na rok. Nieraz śledziłem pocztową bryczkę szybko jadącą w tamtą stronę. Bryczka i wiszący nad nią obłok kurzu ginęły w lesie, który wypełniał szczelinę między niebem i ziemią, a przede mną w dali stała tylko chata samotników, skulona i czająca się. Niekiedy słoneczne światło padało w jej okienka, wówczas nie mogłem oprzeć się złudzeniu, że widzę głowę dużego kota, który patrzy na mnie, jakby chcąc się rzucić. Ogarniał mnie strach i kryłem się za ramę dymnika ciesząc się, że teraz nie zobaczy mnie potwór. Wnet jednak ciekawość przemagała obawę, znowu wyglądałem i zapytywałem się w duchu - kto w chacie mieszka?... Czy to nie jest chałupka na kurzej nóżce, o której tyle słyszałem od przadek, i czy w niej nie siedzi czarownica zamieniająca ludzi w zwierzęta?...

Dzień za dniem upływał bardzo szybko. Ledwie wstał, już trzeba się było kłaść, ledwie się położył, już trzeba wstawać. Każdego prawie dnia chciałem coś zrobić, a gdy nadszedł wieczór, przypominałem sobie, że nic nie zrobiłem. Czas uciekał jak podróżni, na których niekiedy patrzyłem przez okno mignęły koma, furman i nim poznałem, kto jedzie, już było widać tył bryczki. Mogę powiedzieć, że całe dzieciństwo spłynęło mi w jeden dzień.

Było jeszcze ciemno w pokoju, kiedy stara moja mamka weszła z brzemieniem drewna i cicho położywszy je na podłodze, zaczęła układać polana w kominku. Matka siedziała już na łóżku szepecząc pacierz:

- "Zdrowaś, Panno Mario, łaski pełna " A jak tam na dworze, Łukaszowa?

- Niczego - odpowiedziała mamka.

- "Pan z Tobą, błogosławionaś Ty.. " A Walek już wyjechał?

- Już musi być za wrotami.

W okamgnieniu matka była ubrana i zdjawszy ze ściany pęk kluczków z jelenim rożkiem, wyszła z alkierza. Z komina padły na pokój czerwone blaski, drzewo zatrzeszczało, ode drzwi pociągał rzeźwy chłód, a za oknami świergotały roje ptaków. Spocząłem na klęczącą przed kominem Łukaszową. Stara kobieta, w czepku z falbanami, podobną była do sowy, zwróciła ku mnie twarz koloru drzewa i okrągłe oczy i śmiejąc się rzekła:

- Już ci się chce zbytków!...

Udawałem, że śpię, lecz nagle ogarnęła mnie taka radość, nie wiem nawet z jakiego powodu, że zerwałem się z łóżka i jednym skokiem usiadłem na karku niańce. - A cóż to za zgryzota z tym chłopczyskiem - irytowała się baba spychając mnie na podłogę. - Idź zaraz do łóżka, ty sowizdrzale, bo się zaziębisz... Antoś mówię ci, idź, pókim dobra, bo pani zawołałam.

Byłem znowu w łóżku. Wtedy mamka wzięła przed komin moją koszulę dzienną, aby ją wygrzać, a ja tymczasem zdjąłem nocną.

- Uuu!... ty bezwstydniku paskudny - gniewała się - żeby też taki duży chłopiec goło chodził... Nie ma to w oczach ambicji za grosz... No - czegoż się znowu ubierasz w nocną koszulę, kiej ci chcę włożyć dzienną? Antoś, ustatkuj ty się!...

Potem brała moje majtki, były one zeszyte razem z kaftanikiem. A żeby ubrać się w nie, należało przez tylne wejście włożyć jedną nogę, potem drugą, a następnie wsuwać ręce w ciasne rękawy...

- Antoś! stójże spokojnie... - upominała mamka zapinając mi na plecach cztery guziki. - Teraz se siedź, trza cię obuć. Antoś! trzymaj nogę prosto, bo ci pończochy nie włożę... O, widzisz, znowu pęknięty trzewik i zerwany sznurek. Moje nieszczęście z tym chłopczyskiem. Antoś! nie kręć się, bo pani zawołałam. Stójże, wiozę ci sukienkę A gdzie pasik? Patrzajcie go, pasik w łóżku... Jak będziesz taki dokucznik, to cię złapię kiedy i zaniosę do starego za olszynę. On ci da!...

- Oj! oj! a co on mi robi? - odpowiedziałem zuchwale.

- Nie bój się, nie takim on robił, co ich pogubił do śmierci Niech Bóg broni każdego grzesznego.

- Ten stary?

- Jużci, on.

- Ten, co mieszka w chałupce?'

- Jużci, tak.

- Za naszymi polami?

- A ino.

- On sam mieszka? - pytałem zaciekawiony.

- Któż by z mm mieszkał? Od takiego to i złodziei ucieka.

- Cóż on za jeden?

- A licha go wie, chorobę! Zdrajca, i tyle. Tfu! w imię Ojca i Syna - mruzczała baba spluwając. - Ma kogo spotkać nieszczęście, lepiej niech jego spotka. Mów pacierz, dziecko, już śniadanie gotowe.

Ukląknęłam i mówiąc pacierz spluwałam za siebie jak Łukaszowa, bo mi wciąż na myśl przychodził niedobry człowiek, z którym nawet złodzieje nie chcą mieszkać.

Poszedłem do spiżarni ucałować ręce matki, a tymczasem Łukaszowa zaniósła mi do jadalnego pokoju sitny chleb i talerz żurku zatartego czosnkiem i zasypanego kaszą hreczaną. Zjadłem go z pośpiechem i zaraz wybiegłem na dziedziniec wystrugać pałasz z gonta. Nimem wyszukał deseczkę, rumem wyostrzył nóż i zatamował krew ze skaleczonego palca, patrząc - a tu wlecze się pan Dobrzański.

"To nieprawda, ażeby już była jedynasta" - pomyślałem rozgniewany i uciekłem schować się za stajnię. Lecz nim ochłonąłem z prędkiego biegu, już słyszę niankę, jak woła wniebogłosy:

- Antoś! Antoś! pan nauczyciel przyszedł.

- Nie pójdę! - krzyknąłem pokazując w tamtym kierunku język.

Wtem odezwała się mama:

- Antoś! do nauki..

Boże, jaki byłem zły w tej chwili. No, ale co robić? Wszedłem spoza stajni i wlokłem się do domu pragnąc, ażeby mi się droga wyciągnęła, jak stąd do stolicy. I dziwna rzecz, droga istotnie trochę się wydłużyła.

Zacząłem przez okno do pokoju jadalnego myśleć, iż może stało się coś takiego, że pan Dobrzański zniknął. Gdzie tam. Siedzi przy stole jak straszdyło, w swoim surducie, z wysoką czupryną, z kołnierzykami do skroni, z szyją długą jak biczysko okręcone w czarną chustkę. Już wydobywa mosiężne okulary i zaciska je na nosie. Z prawej strony na stole czerwona chustka, z lewej - brzozowa tabakierka z rzemykiem.. Boże, że też nie ma sposobu na takiego człowieka!... Przychodzi rano i po południu jak zmora, a ja nic zrobić nie mogę przez niego.

Wszedłem do pokoju i niedbale pocałowaawszy w rękę pana Dobrzańskiego, zacząłem wyciągać z szuflady książki i kajety. Szło to bardzo powoli, lecz nareszcie - skończyło się. Usiadłem do lekcji.

Dziś już nie wyobrażam sobie, jakim sposobem wytrzymałem dwie godziny strasznej męki nazywającej się lekcją. Byłem jak ptak przywiązany nitką za nogę. Ilem ja razy chciał zerwać się, wyskoczyć za okno i uciekać, gdzie oczy poniosą. Kręciłem się, jakbym siedział na szczotce do czesania lnu, a niekiedy z rozpaczony tak machałem nogami, że uderzałem w dno stołu. Wtedy siwy surdut pana Dobrzańskiego, a później jego głowa, osadzona na wysokiej szyi, zwracały się w moją stronę. Czerwieniłem się i cichłem czując nad sobą okrągłe okulary i niebieskie oczy patrzące przez wierzch szkielec - i już byłem od świętej pamięci spokojny, kiedy pan Dobrzański zaczynał:

- A to co za hałasy? Nie wiesz, że jesteś na lekcji i powinieneś zachowywać się jak w kościele? Mówiłem ci to już nieraz...

Potem brał tabakierkę z brzozowej kory, strzelał w nią palcami, ciągnął za rzemyk, zdejmował wieko, zażywał tabakę i znowu strzeliwszy z palców kończył:

- Ośle jakiś!...

Zdaje mi się, że największą dla mnie mękę stanowiły długie przerwy w upomnieniach pana Dobrzańskiego. Z góry wiedziałem, co powie, dziesięć razy powtórzyłem sobie to samo w myśli, a on - dopiero zaczynał, przerywał i znowu mówił dalej. Ciągnęło się to też końca.

Nareszcie pan Dobrzański brał długi kajet, liniował go kantówką i w pierwszym wierszu z góry wypisywał mi jako wzór do kaligrafii:

"Ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie..."

Temperował pióro, układał mi ręce i kajet na stole i przysuwał kałamarz.

Po czym obowiązany byłem ten sam wiersz przepisać sześć razy, głośno go powtarzając. Pan Dobrzański drzemał sobie teraz w fotelu, a ja śpiewającym głosem mówiłem:

"... Ojczyzno moja, ty jesteś..."

- "Jak zdrowie!" - wrzasnąłem głośno. Pan Dobrzański ocknął się.

- Dziękuję! - odparł poważnie. Zdawało mu się, że kichnął, więc utarł nos w czerwoną chustkę i znowu zażył tabaki.

Powtarzało się to prawie co dzień i stanowiło dla mnie jedyną rozrywkę przy lekcjach, tym bardziej iż kaligrafia wypadła zawsze na końcu.

Zaraz po nauce jedliśmy razem obiad. Niekiedy gospodyni spóźniała się, więc po kaligrafii następowało jeszcze powtarzanie na wrywki.

- Kto cię stworzył? - pytał pan Dobrzański.

- Bóg Ojciec.

- Do...brze. A ile jest części świata?

- Siedem: poniedziałek, wtorek...

- Źle, ośle!... Pytam o części świata.

- Pięć! pięć! Europa, Azja, Afryka, Ameryka, Oceania...

- Do...brze. A sześć razy dziewięć?

- Sześć razy siedem... sześć razy osiem, sześć razy dziewięć - pięćdziesiąt cztery.

- Do...brze. A kogo najbardziej powinieneś kochać na tym świecie?

- Boga, ojczyznę, mamę i brata, pana nauczyciela, a potem wszystkich ludzi.

- Do...brze - odparł pan Dobrzański. Chcąc uwolnić się od dalszych badań na wrywki, raz zapytałem go:

- A Łukaszowę trzeba kochać?

- Mo...żna - odparł pan Dobrzański po namyśle.

- A Walka? ,

Nauczyciel spojrział przez wierzch okularów.

- Sam przecie mówiłeś, ośle jakiś, że - trzeba kochać wszystkich ludzi... Wszystkich.

Zwiesił głowę na piersi i po chwili rzekł głucho:

- Wszystkich - wyjąwszy tych, co nas zdradzili.

- A kto nas zdradził?

Pan Dobrzański jakby zaczerwienił się, wziął do ręki tabakierkę, lecz nagle postawił ją i odparł:

- Poznasz ich, gdy podrośniesz.

Z piersi jego wymknęło się westchnienie.

Musiała to być rzecz straszna, której mi nie wyjaśnił; zresztą, choć nic nie wiedziałem, czułem głęboki smutek na samą myśl o człowieku, którego nikt nie powinien kochać. Biedak ten mieszkał niedaleko nas, jego domek widywałem co dzień, lecz mimo to, gdybym go kiedy spotkał na drodze, nie mógłbym zdjąć przed nim czapki i powiedzieć: "Dzień dobry panu, a dlaczego pan tak dawno nie był u nas?..."

Jego u nas nikt nie wyglądał.

Gdy zegar wykukał pierwszą, wchodziła niańka do naszego pokoju ze stosem talerzy. Książki i kajety w okamgnieniu znikwały ze stołu, a ich miejsce zajmował czerwony obrus w białe kwiaty i trzy nakrycia. Po chwili ukazała się mama, a za nią waza barszczu z uszkami i salaterka grochu.

Pan Dobrzański przywitał się z matką, a gdy zupa już była rozlaną, powstał i odmówił modlitwę: "Pobłogosław, Boże, nas i te dary, które z Twojej świętej szczodroblewości pożywać mamy. Amen."

Potem siadaliśmy i jedli milcząc. Nim wnieśli drugą potrawę, mama zapytała:

- Cóż, panie Dobrzański, jak się dziś Antoś sprawował? Nauczyciel pokiwał głową, popatrzył na mnie apatycznym wzrokiem i odparł:

- Tak - jak to on.

- A co słyhać na świecie?

Pan Dobrzański poprawił stojącego czuba włosów i rzekł nieco ożywiony:

- Mówią na pocztce, że Francuz zaczyna się ruszać.

- Czegóż on chce?

- Jak to czego, mościa dobrodziejko?!... - zawołał stary głosem pełnym energii. - Cóż to, pani nie wie? Wojny chce...

- A nam co z tego?

Pan Dobrzański rzucił się na fotelu.

- Och, nie gadałabyś pani takich rzeczy przy dziecku! Co nam z tego? Nam wszystko z tego, i basta...

- Zobaczymy, zobaczymy - odpowiedziała mama.

- Rozumie się, zobaczymy!...- powtórzył stary z uniesieniem. - Tu niedługo ludzie przestaną w Boga wierzyć! - dodał.

Oczy mu błyszczały, a na zwiędłą twarz wystąpił silny rumieniec. Wziął w rękę nóż i począł dzwonić w talerz.

- Dałby Bóg - rzekła znowu matka - żeby się wróciły dobre czasy.

- Niech no by nie dał! - mruknął starzec zaciskając nóż w pięści.

Matka spojrzała mu ostro w oczy.

- Co pan mówi, panie Dobrzański?... Nauczyciel z gniewem ujął się ręką pod boki.

- A pani co mówi?...

Może byliby się pokłócili. Szczęściem niańka wniosła duży półmisek pachnącej kiełbasy z sosem i drugi - tartych kartofli ze słoniną.

Nastała cisza i przetrwała do końca obiadu, na zaokrąglenie którego mama i pan Dobrzański wypili po szklance piwa.

Niańka sprzątnęła półmiski. Powstaliśmy z krzesel, a nauczyciel mówił:

"Dziękujemy Ci, Boże, za posiłek nam udzielony; bądź błogosławion w darach i we wszystkich dziełach Twoich. Amen!"

Szybko pocałowałem w rękę mamę i pana Dobrzańskiego i wybiegłem na podwórko. W chwilę potem, ukryty za płotem, widziałem, jak nauczyciel w wysokiej rogatej czapce dreptał ku swemu domowi opierając się na zakrzywionym kijku.

W dnię świąteczne, osobliwie podczas długich wieczorów, było u nas bardzo wesoło. Przychodził ksiądz proboszcz z siostrą, niziutki i okrągły pan burmistrz z żoną i trzema córkami, staruszka pani majorowa z dwoma wnuczkami, pan pocztmajster, kasjer, sekretarz magistratu i sekretarz z poczty. Starsi siadali do kart, młodzi grali w loteryjkę, w cenzurowanego, w ślepą babkę, a wszystko z ogromnym krzykiem. Znudzi się tym jednak bardzo prędko, więc najładniejsza panna burmistrzówna poprosiła pana kasjera, ażeby im zagrał do tańca.

- Dajcież mi, państwo, spokój - bronił się kasjer - nie wziąłem nawet gitary z domu.

- To poszlemy po nią! - wołały panny.

- Gitara jest już w kuchni! - odezwał się nieproszoney. Wszyscy w śmiech, pan kasjer chciał mnie pociągnąć za ucho, ale dwie panny schwyciły go za ręce, a tymczasem pan sekretarz wybiegł z pokoju i za chwilę przyniósł gitarę - w zielonej koszulce. Kasjer wciąż się bronił.

- Moi państwo - mówił - na gitarze nie gra się do tańca, to za poważny instrument...

Ale swoją drogą już próbował dźwięku strun i kręcił kołeczki. Było pięć panien, a nas, kawalerów, tylko trzech; więc choć sprowadziliśmy do pomocy jeszcze pana pocztmajstra, niemało każdy miał roboty. Czasem moja matka znalazłszy chwilę wolną od zajęcia przy kolacji wyręczała pana kasjera w graniu, a on tańczył. Trwało to jednak niedługo, ponieważ panny mówiły, że mama grywa same stare polki i walce.

Na kolację podawano herbatę, zrazy z kaszą, czasami gęś pieczoną. Ogólne jednak zadowolenie dosięgało szczytu wówczas, gdy wnieśli krupnik. Była to gorąca wódka z miodem, zaprawiona goździkami i cynamonem. Dostawałem i ja tego specjału pół kieliszka, a gdym wypił, robił się ze mnie inny człowiek. Raz zdawało mi się, że już jestem zupełnie dorosły. Zacząłem mówić ty panu sekretarzowi magistratu, później oświadczyłem się po cichu starszej wnuczce pani majorowej, a nareszcie - zaczął po em chodzić na rękach tak ładnie, że zarumieniony pan burmistrz powiedział, iż jestem chłopiec nadzwyczajnych zdolności.

- To będzie wielki człowiek!... - wołał uderzając ręką w stół. Alem reszty już nie dosłyszał, bo mama w tej chwili kazała mi iść spać.

Była to dla mnie wielka zgryzota, gdyż po kolacji, na zakończenie wieczoru, pan kasjer śpiewał przy gitarze.

Pamiętam go jak dziś. Był to człowiek dość młody. Miał trochę niższe kołnierzyki aniżeli pan Dobrzański, ale za to wyższą czuprynę. Chodził w ciemnozielonym surducie z krótkim stanem, w niebieskich spodniach ze strzemiączkami i z fartuszkami i w aksamitnej kamizelce w pąsowe kwiaty. Na szyi nie nosił chustki, tylko halsztuch.

Stawiano mu krzesło na środku pokoju. Siadłszy na nim zakładał nogę na nogę, dostrajał gitarę, odchrząknął i zaczynał:

Idę na szczyty Kaukazu,
Tak wyrok boski zażądał;
Może tam zginę od razu,
Już cię nie będę oglądał.

- Za pozwoleniem! - przerwał pan burmistrz. - Wyjrzyj no, panie sekretarzu, czy kto nie podsłuchuje pod oknem.

Pan sekretarz zapewnił, że nikt nie podsłuchuje, a pan kasjer po przegrywce śpiewał dalej:

Może pójdę do niewoli,
Między dzikie ludożercę -
Któż mnie pocieszy w niedoli,
Jeśli nie ty, lube serce?...

W tej chwili średnia panna burmistrzówna trąciła starszą.

- To do ciebie, Jadziu - szepnęła.

- Moja Meciui! - zgromiła ją siostra rumieniąc się. Gdy pan kasjer skończył jedną pieśń - proszono go o drugą. Następowwała całkiem nowa przygrywka i wiersz:

Wiatrem i śniegiem pędzony,
Gdzie lecisz, ptaszyno mały?
Może zabłądzisz w te strony,
Które mnie dziecięciem znały?

Ach, powiedz mojej rodzinie,
Czy ich to nieszczęście smuci?
Uważaj, czy łza popłynie,
Gdy szepniesz - syn już nie wróci!...

- "Gdy szepniesz - syn już nie wróci..." - powtórzyła pani majorowa drżącym głosem. - Ślicznie! ślicznie! - wołała staruszka.

Po tej pieśni panny zgiełkliwie domagały się, ażeby śpiewał:

Lecą liście z drzewa...

Pan kasjer uderzył kilka nowych tonów na gitarze, znowu odchrząknął i śpiewał nieco zniżonym głosem:

Lecą liście z drzewa (*ciszej*), co tam rosły wolne.

Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne:

Nie było, nie było (*ciszej*), Matko, szczęścia w tobie,

Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie.

W pokoju było cicho jak w kościele, tylko pani majorowa szlochała. Nagle pan burmistrz schwycił się za głowę.

- Za pozwoleniem! wyjrzyj no, panie sekretarzu, na dziedziniec, czy czasem ten... nie podsłuchuje pod oknem...

Sekretarz wybiegł, a obecni coś szeptali między sobą. Na dziedzińcu nie było nikogo.

- No - rzekł skończywszy pan kasjer - teraz zaśpiewam państwu coś bardzo zakazanego.

- Bój się Boga, człowieku - przerwał mu pan burmistrz - nie gub zacnej kobiety, która nas tak gościnnie przyjmuje... -I wskazał na moją matkę.

Matka niedbale skinęła ręką.

- Ach! - odparła - niech robią, co chcą. Tyle naszego, że czasem piosenki wysłuchamy.

- Dobrze, że pani nic nie zrobią - mówił burmistrz - ale tu jest ksiądz proboszcz, urzędnik stanu cywilnego...

- Ja się tylko Boga boję - mruknął ksiądz.

- No, więc - ja jestem burmistrz... a jeżeli mi się stanie co złego, kto będzie opiekować się moimi dziećmi?

- Nie ma strachu - rzekł proboszcz. - Nigdy zresztą nie widziałem, ażeby ten tam... podsłuchiwał pod oknami.

- Nie potrzebuje chodzić pod oknami, bo jego dom stąd o trzy kroki - upierał się zmartwiony burmistrz.

- O wiorstę i dwieście sążni od poczty - wtrącił pocztmajster.

- Więc przynajmniej - nie drzyj się pan, śpiewaj cicho -zwrócił się burmistrz do kasjera.

- C/> Nż znowu tatko mówi! - oburzyła się najstarsza córka. - Jak można taki piękny śpiew nazywać darcieciem się?...

- Już to pan prezydent kroi na naczelnika powiatu - wtrącił ironicznie pan kasjer. - Nie ma strachu, nie ma! Jeżeli kto, to ja powinien bym na j pierwszej paść ofiarą...

- I padniesz, padniesz!... - odparł burmistrz. - To największy w mieście rewolucjonista - szepnął do księdza.

Pan kasjer zadowolony publicznym uznaniem jego rewolucyjności wyprężył nogi tak, że wydawały się jeszcze cieńsze niż zwykle. Utopił wzrok w starszej panie burmistrzównie i śpiewał półgłosem:

Już w gruzach leżą Maurów posady,

Naród ich dźwiga żelaza;

Bronią się jeszcze twierdze Grenady,

Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary

Almanzor z garstką rycerzy...

- Prześliczne! - zawołały panny chórem, patrząc na wywrócone oczy pana kasjera.

- Co to jest? - spytał niespokojnie pan burmistrz.

- Mickiewicz! - odpowiedział pan kasjer.

- Mic-kie-wicz?... Przepraszam państwa, ale - wychodzę! Ja - mówił pan burmistrz bijąc się w piersi - ja zbyt wiele chcę zrobić dla kraju, ażeby miał ginąć za wiersze.

- Cóż pan widzisz złego w tej piosence? - zapytał niecierpliwie proboszcz.

- Co?... jegomość tak dobrze wie o tym jak ja! - odparł pan burmistrz. - A nuta?... Nuta, panie, jest taka, że gdyby mi ją zagrała kiedy kapela wojskowa, pierwszy, panie, wyszedłbym na rynek w czerwonej konfederatce. Tak! Niechby mnie zastrzelili, porąbali, roztratowali...

- Czyś zwariował, Franiu! - krzyknęła pani burmistrzowa.

- Taki jestem! - wołał zaperzony prezydent. - W razie, czego Boże nie dopuść, wojny wszystkie tutejsze zuchy wleżą w ką, ale ja pokażę, co umiem.

- Franiu! tobie się w głowie przewraca - mitygowała go żona.

- Jestem zupełnie przytomny - rzucił się pan burmistrz - ale chcę, żeby tu wszyscy wiedzieli, do czego dojdzie, jeżeli mnie podrażnicie! Jestem jak bomba, co dopóki leży spokojnie, można ją nogą kopać, ale rzuć iskrę... Chryste, ratuj!...

Mówiąc tak podniesionym głosem, pan burmistrz kręcił się jak bąk między krzesłami. O ile sobie jednak przypominam, jego niebezpieczne męstwo nie robiło wrażenia. Ksiądz proboszcz machał koło ucha ręką, a pan kasjer niedbale brząkał na gitarze w takt wykrzykników pana burmistrza. Tylko moja matka życzliwie kiwała głową, a splakana pani majorowa wśród powodzi jego słów zdawała się zasypiać.

- No, moi państwo - odezwał się pan pocztmajster - czas do domu. Już dziesiąta.

- Czy być może? - zdziwił się pan kasjer, któremu, ile razy śpiewał, czas wydawał się za krótki.

Jakby w odpowiedzi, zegar wykukał dziesiątą. Panie były przestraszone tak późną godziną i wszyscy zabrali się do wyjścia.

Gdy niańka włożywszy mnie do łóżka zagasiła świecę, zobaczyłem po raz drugi, jakby na jawie, całe wieczorne zebranie: ruchliwą figurkę pana burmistrza i żółte wstążki u czepka pani majorowej, i pana pocztmajstra, i pana sekretarza, i wszystkie panny. Goście kręcili się gorączkowo, rozprawiali, śpiewali, pan burmistrz straszył ich swoją odwagą, pan kasjer grał na gitarze, zupełnie jak w rzeczywistości. Ta tylko była różnica, iż między zgromadzonymi widziałem jakiś cień, niby owego człowieka, którego na próżno pan sekretarz szukał za oknem. Chciałem go wskazać matce, ale nie mogłem podnieść ręki. Cień tymczasem snuł się po pokoju, cichy, nieujęty i dla nikogo oprócz mnie niewidzialny.

Potem wszystko znikło, a gdym otworzył oczy, zobaczyłem przed kominem Łukaszowę, która śmiejąc się do mnie bezzębnymi ustami, mówiła: .

- Oho! już ci się chce zbyt...
To był ranek. Anim się spostrzegł, żem już przespał noc po zabawie.

* * *

W połowie marca przypadały moje urodziny, od których zacząłem ósmy rok. Na kilka dni przedtem pan Stachurski, szewc, brał mi miarę na pierwsze buty. I właśnie kiedym zdjął trzewik dla poddania się tej operacji, zajechała przed nasz dom pocztowa bryczka i wysiadł z niej jakiś młody człowiek z listem do mamy od brata.

Nazwiska jego nie wiem do dziś dnia, ale na imię mu było Leon. Był to chłopiec może

dwudziestoletni, śliczny jak obraz, wesoły i nadzwyczaj Ignący do ludzi. Mamę od razu pocałował w obie ręce i tyle nagadał jej wiadomości o bracie, że go prosiła, ażeby u nas zamieszkał na kilka dni. Jednocześnie, nim pan Stachurski zdążył mi wziąć miarę na buty, młody człowiek zaprzyjaźnił się z nim tak serdecznie, że nawet obiecał go odwiedzić w warsztacie. Potem sprowadził się do pokoiku na górę i w ciągu kilku minut chyba oczarował Łukaszowę, która za nim wniosła walizkę, bo niańka całe popołudnie mówiła tylko o nim. Panu Dobrzańskiemu, który przyszedł na lekcję, dał jakieś niesłychane cygaro, mnie na poczekaniu wystrugał wiatrak, a mamie powiedział sekret gotowania w domu piwa.

Po obiedzie wyszedł na miasteczko i wrócił późno wieczór. Toż samo robił przez cały czas swego pobytu. Widywaliśmy go rzadko i krótko, lecz mimo to tyle wszystkim robił usług, żeśmy przepadali za nim. Tylko mama miała mu trochę za złe, że wdaje się za pan-brat z panem Stachurskim, szewcem, panem Grochowskim, stolarzem, i panem Władzińskim, wędliniarzem. Ale pan Dobrzański wytłomaczył jej, że jeżeli ów młody człowiek przyjechał tu na zwiady - czy nie da się założyć w mieście sklep z korzeniami?... - to musi sobie skarbić przyjaźń nawet ludzi prostych.

Zdziwienie mamy jednak bardziej wzrosło, gdy zeszli się do nas na wieczór goście w dzień moich urodzin; okazało się bowiem, że pan Leon zna wszystkich. Już pan burmistrz obiecał go protegować, gdyby sklep założył, a pan pocztmajster miał mu nawet wynająć parę pokojków w swoim domu. Z sekretarzem magistratu i sekretarzem poczty pan Leon tykał się, obie wnuczki pani majorowej rumieniły się, gdy do nich mówił, a tylko z panem kasjerem jakoś krzywo patrzyli na siebie.

Tańców u nas tego dnia nie było, ale pan kasjer miał gitarę i jak zwykle śpiewał przy niej. Któraś z pań zapytała pana Leona, czy on śpiewać umie. Grzeczny młody człowiek natychmiast wziął do rąk instrument, ale zaśpiewał na tak smutną nutę, że pan burmistrz uciekł przy pierwszych słowach i już się nie pokazał, wszystkie panie popłakały się, a pan kasjer pobladł ze złości.

Na drugi dzień rano pan Leon wyjechał mówiąc mamie, że musi być jeszcze w innych miasteczkach w celu wyszukania najlepszego punktu na swój sklep.

W końcu kwietnia, jakoś w sobotę, zajechał do nas pan Leon po raz drugi. Mamie przywiózł list od brata i książkę kucharską, panu Dobrzańskiemu paczkę tabaki, a mnie - śliczny pałasz blaszany. Opowiadał, że pewno w tych czasach skończy interes ze sklepem, lecz że musi dokładniej rozejrzeć się w miejscowości. Potem wybiegł na miasto przywitać się ze znajomymi i wrócił do domu w nocy.

Nazajutrz, w niedzielę, poszliśmy na sumę. Siedziałem z matką przed wielkim ołtarzem, obok państwa burmistrzów i pani majorowej, a o kilka kroków od nas stał kasjer modląc się z książki.

Nabożeństwo już się skończyło i mieliśmy wychodzić, gdy nagle ze środka kościoła wysunęli się na przód zebranego ludu pan Stachurski, szewc, pan Grochowski, stolarz, i pan Władziński, wędliniarz, a wraz z nimi ich czeladzie i chłopcy tudzież sekretarz z poczty i sekretarz magistratu. Gdy zaś ksiądz proboszcz udzielił błogosławieństwa, pan Stachurski dał organiście jakiś znak. Zrobiło się cicho i...

...Nie pamiętam, co się stało dalej, ponieważ skutkiem doku i gorąca tak osłabłem, że mama wyniosła mnie z kościoła do mieszkania księdza proboszcza. Zastaliśmy tam pana kasjera, który biegał po pokojach targając sobie włosy i przysięgając, że on temu nie winien. Prosił też mamę, ażeby w razie czego świadczyła, jako on pierwszy wybiegł z kościoła.

W domu czekał na nas pan Leon. Gdy mu mama opowiedziała o tym, co zaszło w kościele, był bardzo zdziwiony. Odparł jednak, że podobne wypadki trafiają się wszędzie, same z siebie, a potem dodał, że zaraz po obiedzie musi jechać. Pragnął bowiem wstąpić do kilku innych miasteczek celem dokładniejszego zbadania, w którym z nich jego sklep może mieć najwięcej widoków.

Niezwykłe zachowanie się pana kasjera na plebani na jakiś czas zachwiało jego reputacją, tym bardziej że niepospolity ten człowiek od owego dnia zarzucił swoją amarantową czapkę i wrócił do urzędowego fraka z żony mi guzikami. Szczęściem trwało to niedługo. Pan burmistrz bowiem, skombinowawszy w umyśle wiele szczegółów, zawnioskował, że wypadek w kościele był -dziełem kasjera, który jest tym niebezpieczniejszy dla ogólnego spokoju, że wybornie udaje niewiniątko. Sąd ten znalazł wiarę w miasteczku, gdyż pan kasjer zaczął znowu robić poważne miny, a panowie Stachurski, Grochowski i Władziński odzywali się o nim lekceważąco w miejscach publicznych. Było widoczne, że agitator ten, chcąc zabezpieczyć się od podejrzeń, wydał podwładnym swoim stosowną instrukcję.

Zresztą fakt, na który sam patrzyłem, świetnie usprawiedliwił opinią ogółu.

Pewnego dnia prosiła mama pana Dobrzańskiego, ażeby poszedł ze mną do miasteczka i kupił papieru, paczkę piór i ołówek. Idąc tam zauważyliśmy na rynku tłum terminatorów, Żydków i starszych mieszczan, żywo rozprawiających. Nie opodał od nich, tuż przy magistracie, stał pan kasjer.

Załatwiwszy sprawunek mieliśmy już wracać do domu, gdy nagle rozległa się wrzawa na rynku. Wybiegłem przed sklep i zobaczyłem starego, wysokiego człowieka, który wychodził z piekarni z chlebem pod pachą. Tłum wyrostków zabiegł mu drogę i krzyżąc począł rzucać bryłami. Przez chwilę napadnięty stał bez ruchu; gdy go jednak uderzyło parę kamieni i spadła mu czapka, upuścił chleb na ziemię i począł uciekać. Widok jego białej jak mleko głowy i sztywnych ruchów bolesne zrobił na mnie wrażenie. Przyszły mi na myśl owe męczące sny, w których wyobrażałem sobie, że mnie także ktoś goni i że nie mogę uciekać.

W tej chwili usłyszałem za sobą głuchy okrzyk. To pan Dobrzański wyszedł ze sklepu i żółty, z szeroko otwartymi oczyma, patrzył w stronę ściganego.

Krzyk ucichnął, zdyszany tłum wrócił na rynek, a pan Dobrzański jeszcze stał patrząc przed siebie martwymi oczyma. Teraz spostrzegł go pan kasjer i począł iść ku nam. Z jego twarzy biło takie zadowolenie, że na ten widok zapomniałem o skrzywdzonym człowieku.

- Dzień dobry, panie Dobrzański!... Udało nam się, nieprawda? - rzekł cicho pan kasjer. Nauczyciel milczał.

- To ja zrobiłem - szeptał kasjer stukając się palcem w wykrochmaloną koszulę - ja!... Tak należy karać zdrajców.

- To pan zrobiłeś?... - odezwał się głucho mój nauczyciel.

- Ja!... Będą teraz wiedzieli - dodał - kto tu znaczy... Stary podniósł z ziemi papier i laskę i zabierając się do powrotu rzekł szczególnym tonem:

- O, toś pan dużo zwojował!... A potem szepnął do siebie:

- Nie może być inaczej.

Odprowadziwszy mnie przed nasz dom pan Dobrzański oddał mi papier i wrócił do siebie. Gdym opowiedział matce, co się stało, pokiwała smutnie głową i rzekła:

- Straszne to nieszczęście; niech Bóg wszystkich od niego zachowa!...

Dopiero Łukaszowa wyjaśniła mi, że to tak wyszczuto złego człowieka, który mieszka w chacie za naszymi polami.

Zauważyłem, że od tej pory mój nauczyciel zrobił się posepniejszy i bardziej roztargniony przy lekcjach i że często z goryczą odzywał się do matki o panu kasjerze. Raz nawet, gdy wobec pana Dobrzańskiego pan burmistrz wychwalał kasjera nazywając go polityczną głową i 'niebezpiecznym agitatorom, stary nauczyciel uderzywszy pięścią w stół krzyknął z gniewem:

- A ja panu mówię, że to głupiec!...

- Kto? - zapytał zdumiony pan burmistrz.
- Ten pański kasjer.
- Ten wielki patriota?
- Wielki cymbał!
- Poruszył całe miasto!... - mówił zaperzony pan burmistrz.
- Dyrektor kocich muzyk - odparł pan Dobrzański.
- On nam wszystkim może narobić nieszczęścia - ciągnął pan burmistrz.
- Powiedz mu, pan prezydent, niech nie robi, bo inaczej kijem go wygrzmocę, ja, stary! - rzekł

trzęsąc się z gniewu nauczyciel.

Pan burmistrz oniemiał i pilnie patrzył na moją matkę, czy ona nie zechce ująć się za kasjerem. Ale matka kiwała głową, zapewne z żalu nad zaślepieniem nauczyciela, który nie umiał ocenić nadzwyczajnego patrioty.

Anim spostrzegł, jak w duszy zarysował mi się niejasny obraz człowieka z chaty za polami. Niechętne wzmianki Łukaszowej, obawy pana burmistrza, czy kto nie podsłuchuje pod oknem, gonitwa na rynku, a nade wszystko dziwne zachowanie się pana Dobrzańskiego i milczenie mojej matki, wszystko to nasuwało mi tysiące pytań. Kim jest i co robi ten człowiek, z którym postępują jak z niebezpiecznym zwierzęciem? Jeżeli wolno chłopcom rzucać za nim kamieniami, więc musi to być zły człowiek, a więc dlaczego starsi nie oddali go do więzienia?

Im częściej myślałem o nim, tym silniej ważyły się we mnie dwa uczucia - strachu i ciekawości, sprawiając mi wielką mękę. Toteż ile razy miałem trochę wolnego czasu, przypasawszy swój pałasz wykradałem się w kierunku odludnej chaty. Co prawda, z początku nawet nie marzyłem, aby dojść do niej zbyt blisko; niemniej coś mnie ciągnęło w tamtą stronę. Przełaziłem płoty naszego ogrodu, docierałem do olszyny, później przechodziłem bagno, wreszcie błądziłem już po krzakach przylegających do chaty. Niekiedy spostrzegłszy, jak blisko jestem złego człowieka, a jak daleko od domu, drętwiałem z przerażenia - i uciekałem w stronę miasteczka, do ludzi. Stopniowo jednak oswoiłem się z nową miejscowością i czułem coraz większą ciekawość obejrzenia chaty.

Z każdym dniem poznawałem ją lepiej. Stała ona w dzikiej okolicy, o paręset kroków od bocznej drogi kreto biegnącej przez pola. Otaczały ją krzaki gęste i wysokie, pełne ptaków i gniazd, tudzież głębokie i zarośnięte wąwozy o ścianach stromych i poszarpanych. Często nad głową zaszumiło mi stado kuropatw albo spod nóg wyrywał się zajac. W wilgotnych zakłęśłościach spotykałem węże, a w ścianach wąwozów ciemne otwory jam lisich. Krążąc w pewnej odległości od chaty obszedłem ją naokoło. W jednym miejscu uderzył mnie cichy, lecz ciągły szelest; z bijącym sercem podkradłem się bliżej i ujrzałem strumień wody prędko biegnący po łożysku z wapiennych kamyków.

Bąłem się, ałem postąpił jeszcze kilkadziesiąt kroków. Ściany wąwozu zniżały się w tym miejscu, wreszcie znikły. Dotarłem do małego zagłębienia, skąd wypływał strumień kipiący jak woda w garnku. Rosła tu dziewanna wyższa ode mnie. Ścisnąłem pałasz mocno, postanowiwszy uciekać za najmniejszym szmerem - i zanurzyłem się między badyle. Po małej chwile dziewanna zmaląła; podniosłem głowę i zobaczyłem chatę. Stała na opoczystym wzgórku oblana ciepłymi potokami słońca; przed nią leżało mnóstwo zaczętych i dokończonych koszów, między którymi przechadzał się kulawy bocian. Ze ścian od dawna opadło wapno, szczeliny między deskami były zamazane kruszącą się gliną, okienka w niektórych miejscach zamiast szyb zasłonięte były pęcherzem.

Na szerniałych ze starości drzwiach bielił się jakiś wyraz napisany dużymi literami i nieco zalany. Wpatrzyłem się uważniej i przeczytałem:

SZPIEG

W tej chwili bocian spostrzegłszy mnie opuyplcił ku ziemi skrzydła i gniewnie zasyczał.

Rzuciłem się bez pamięci w tył i po kilkominutowym biegu znalazłem się wśród dobrze znanych krzaków. Niebawem wróciłem do domu nie chwając się przed nikim, gdzie był i com widział. Zaprzestałem nawet chodzić w tamtą stronę.

Upłynęło półtora roku i nadeszła zima, krótsza niż zwykle, lecz ciężka. W listopadzie chwyciły tęgie mrozy, a w grudniu spadły tak duże śniegi, że dokoła naszego domu utworzył się biały wał. Walek niekiedy do południa pracował nad rozkopywaniem drogi.

Pewnego dnia zerwała się straszna zawiejka. Pan Dobrzański ani z rana, ani po południu nie był na lekcji i od nas nikt nie chodził do miasteczka. Wicher jęczał we wszystkich kątach domu, mialki śnieg zasypywał ogień w kuchni, powietrze było pełne białych tumanów. Około czwartej spadła na ziemię ciemność, wyło jeszcze żałośniej, śnieg bił w okna jeszcze gwałtowniej. Czasami wszystko milkło, ginęły tumany w powietrzu, rozsuwały się obłoki na niebie, a wtedy można było widzieć, że śnieg zasypał już płoty.

W jednej z takich chwil wyglądałem przez okna wychodzące na ulicę i nagle - zobaczyłem za szybą jakiś przedmiot. Wyteżyłem wzrok. Na ławce, tuż pod oknem, siedział człowiek ze zwieszoną głową. Był ubielony śniegiem, który na wierzchu czapki i na ramionach skupił się w małe stożki.

Serce ścisnęło mi się na ten widok. Pobiegłem do kuchni i dałem znać mamie, że pod naszą ścianą śnieg zasypuje podróżnego. Matka z początku nie wierzyła mi, lecz wyjrzawszy oknem wysłała czym prędzej Walka, ażeby sprowadził biedaka do kuchni.

- Może on już zmarł?... - pytałem niespokojnie, trzymając się fałdów matczynej sukni.

Po kilku minutach w sieni rozległy się stapania, szelest, jakby się kto otrzepywał. Do kuchni wszedł Walek z podróżnym.

Był to ogromny człowiek w krótkim łatanym kozuszk i wysokich butach. Gdy zdjął czapkę, ukazały się włosy białe jak mleko. Z wolna postąpił na środek kuchni i stał milcząc.

Gospodyni rzuciła na komin łuczywo. Płomień buchnął silniej i oświetlił twarz podróżnego. W tej chwili matka moja cofnęła się ku drzwiom jadalnego pokoju, a stara Lukaszowa pilniej przypatrując się gościowi mruknęła z gniewem:

- Brakowało go tu... Jeszcze na nas nieszczęście sprowadzi - przeklęty!...

Teraz i ja go poznałem. To był on, postrach i przedmiot nienawiści całego miasteczka, człowiek z samotnej chaty.

Przybysz spostrzegł, co się koło niego dzieje, i odezwał się cichym głosem do matki:

- Niech się pani nie gniewa, zem usiadł po domem. Ale burza tak mnie zmęczyła, zem nie mógł iść dalej. Skostniałem z zimna...

Było coś żalosego w usprawiedliwianiu się człowieka, że w podobnym czasie usiadł pod domem.

Matka patrzyła jakby rozmyślając. Nagle rzekła do kucharki głosem dziwnie twardym:

- Niech Katarzyna da panu gorącego mleka. Gość wciąż stał i patrzył na matkę niebieskimi, łagodnymi oczyma.

- Prędzej! - z gniewem powtórzyła matka widząc, że nie spełniają jej rozkazu.

Mleko stało już ugotowane na kominie. Kucharka zdjęła z półki stary garnczek i z taką niechęcią naląła, że wychlapało się na podłogę.

- Podajcie tam, Lukaszowa - rzekła do niańki.

- Bo ja chcę! - odparła niańka. - Niech poda Walek...

- Bo ja głupi! - mruknął parobek.

- Podaj, Walek! - odezwała się moja mama.

- Taki to z ciebie i chłop, co się boisz - wstydziła go niańka. Chłop powoli wziął do rąk garnczek

i postawiwszy go na ławce rzekł do przybyłego:

- Namcie ta...

Potem odszedł w najdalszy kąt kuchni i zachmurzony usiadł na pieńku.

Śnieg wciąż bił w okna, a na kominie, pod wpływem zawiei, chwilami przygasał ogień.

Stary człowiek zatoczył się ku ławce i począł pić gorące mleko. Matka ze mną cofnęła się do jadalnego pokoju, a za nami Łukaszowa szepcząc:

- Cóż on tu chce nocować?... Przecie chyba pani nie wypędzi dla niego nawet psa z budy na taki czas, a ludzie pod jednym dachem spać z nim nie będą.

Taki człowiek - dodała po pauzie niańka - na kogo spojrzysz, to mu nieszczęście sprowadzi. Nawet drzewo usycha, kiedy on dotknie go ręką. Bóg go przeklął, a ludzie rady na to nie znajdą nijakiej...

Matka skrzyżowawszy ręce chodziła po pokoju wzburzona. Z kuchni dolatywało trzeszczenie palącego się drzewa i mlaskanie ust starego człowieka, który dmuchał w garnczek i chciwie pił.

Wtem z ulicy do pokoju wpadł jakiś blask i jednocześnie usłyszeliśmy głośne wołanie:

- Ho! ho! bywajcie!...

- To mój chłopiec - odezwał się stary człowiek w kuchni. Walek wybiegł na dziedziniec i po krótkiej rozmowie sprowadził nowego gościa. Przybysz trzymał w ręku zapaloną latarnię i od stóp do głów był zaśnieżony. Gdy się otrząsnął nieludzkim ruchem, spostrzegłem, że miał włosy podobne do kudłów, które mu zasłaniały czoło i część twarzy, i że za odzież służyły mu straszne łachmany. Nigdy nie widziałem takiego zbioru szmat owiązanych powrozami w pasie i na nogach.

- Gadałem, że was zasypało - rzekł obdarty chłopiec do starca i zaśmiał się grubym głosem.

- Nie znasz ty go, Walek, co on za jeden?... - szepnęła kucharka, ze wstrętem patrząc na nowego gościa.

- Co nie mam znać? Wszyscy wiedzą, że łapał psy w mieście - odparł półgłosem nasz parobek.

Stary człowiek począł w miejscu dreptać nogami, widocznie gotując się do odejścia. Potem złożony ręce na piersiach schylił głowę i rzekł:

- Pokornie dziękuję...

Przez chwilę czekał na odpowiedź, potem drugi raz schylił głowę i dodał stłumionym głosem:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Nikt nie odpowiedział.

Stojąc za progiem, jeszcze raz obejrzał się i - zniknął w ciemnej sieni, a za nim jego chłopiec.

W kuchni było tak cicho, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech, ażeby odchodzący nie usłyszał ludzkiego głosu.

Gdy blask latarni wpadł przez okno pokoju, matka weszła do kuchni i wskazując na garnczek, z którego pił stary gość, rzekła do Walka:

- Wyrzuć to!

Chłop ostrożnie wyniósł garnczek na podwórze i cisnął nim tak, że skorupy zadźwięczały aż pod oborą.

Na ulicy jeszcze majaczyło chwiejąc się rudawe światło latarni. Mnie płacz ścisnął za gardło, a wicher na dworze tak jęczał, tak zawodził, tak dobijał się do naszych okien, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz - nie mogąc - rozlewał się w żalonym wyciu. "Co się to dzieje. Boże!..." - myślałem nie mogąc opędzić się przed widmem starca, którego łagodne oczy patrzyły na mnie z wyrzutem. Zdawało mi się, że widzę go, jak wsunawszy ręce w rękawy, przez pole, na którym znikła droga, idzie niepewnym krokiem, wygnany na śnieżycę. A ten jego towarzysz w łachmanach!...

W kilka godzin później, gdym zmówił pacierz i "Zdrowaś Maria" na intencją podróżnych, których zaskoczyła burza, zapytałem matki:

- Prawda, mamó, że jeżeli podróżnych spotka zawieja, a oni modlą się, wtedy Bóg zsyła anioła, który im pokazuje drogę?

- Prawda, moje dziecko.

- Anioł idzie przed końmi i one same trafiają do domu, bez furmana?

- Tak, moje dziecko.

- A gdyby ten stary człowiek zgubił drogę i modlił się, czy jemu Pan Bóg już nie zesłałby anioła?

- Bóg jest miłosierny, moje dziecko, i nad najlichszym stworzeniem rozciąga swoją opiekę.

Położyłem się spokojniejszy i już bez trwogi przysłuchiwałem się zgiełkowi burzy. Zdawało mi się, że Bóg tej nocy nie śpi, lecz schylony nad zawiejką od czasu do czasu odgarnia kłęby śnieżycy patrząc, czy gdzie w polu nie błąka się podróżny, aby mu zesłać anioła. Byłem nawet pewny, że kiedy niekiedy nad szumem wichru, skrzypieniem drzew i klekotem wstrząsanych okiennic słyszę potężny głos mówiący:

- Wstawaj, anioł!...

Potem na chwilę robiła się cisza.

Nic nie będzie staremu człowiekowi - rzekłem do siebie i twardo usnąłem.

* * *

Nowy rok zaczął się bardzo dobrze. Pan Dobrzański pierwszy raz dał mi cenzurę, na pięknym papierze ozdobionym girlandą, gdzie wypisał wszystkie stopnie celujące, sprawowanie wzorowe i promocją do klasy wstępnej. Za to mama kazała mi zrobić sanki.

Były to malutkie saneczki, ale jakąż wielką miałem z nich uciechę! Zaraz za budynkami znajdował się pagórek. Na jego szczycie stawiałem sanki, siadałem na nie i - jazda w dół... W połowie wzgórza tylko wiatr świstał mi koło uszu, a potem jechałem już tak prędko, że pędem wydostawałem się aż na otwarte pole. Za pierwszym razem poszło mi dobrze, za drugim -nie wiem, co się stało, lecz zacząwszy jechać na sankach nagle uczułem, że jadę na głowie, znowu na sankach, znowu na głowie, i tak aż na dół, gdzie dopiero puściłem sanki, które uciekły w pole, a ja po pas ugrzązłem w śniegu. W ogóle, w początkach, sanki równie często jeździły na mnie, jak ja na nich; lecz później nauczyłem się nimi tak doskonale kierować, że nieraz prosiłem mamę, ażeby ze mną siadła, to ją przewiozę. Ale mama nie miała czasu.

Pewnego dnia, gdym się ślizgał, przyszła na wzgórze niańka. Schwyciwszy ją za kark chciałem gwałtem babinę wpakować na sanki i zjechać na dół. Ale Łukaszowa odepchnęła mnie niecierpliwie i rzekła:

- O, zawsze d te zbytki w głowie! Ustatkowałbyś się choć dzisiaj.

- Albo co? - spytałem zdziwiony jej tonem.

- Dali znać, że jest wojna - odparła niańka.

- Wojna?... - powtórzyłem za nią - wojna?... Zarzuciłem sanki na plecy i poszedłem do domu.

Wyraz

dopiero co usłyszany zawsze oznaczał dla mnie coś bardzo

odległego i dawnego. Lecz w tej chwili nabrał jakiejś nowej treści,

której zgoła nie pojmowałem. Przechodząc około stodoły zauważyłem, że parobcy nie młóca

żyta, lecz rozmawiają o wojnie. Utkwiło mi nawet w pamięci

zdanie Walka:

- Komu Pan Jezus miłosierny naznaczył śmierć, umrze i tak -a komu życie, temu i wojna nie da rady.

W kuchni kucharka wzdychając tłumaczyła dziewczkom, że dla niej wojna nie nowina, bo już od

kilku lat widuje na niebie krwiste słupy i ogniste różgi.

- Znam ja się na tym! - mówiła gospodyni. - Służyłam za dziewczkę u gminnego w miasteczku, u Macieja, co to w dwunastym roku chodził z Francuzem. Ten ci się nam naopowiadał, niby Maciej... Mówię wam, nieraz stało drugiego wojska jak lasu, a przyszedł Francuz, ino się zamajnął i już nie ma tamtych. Leżeli, gadał Maciej, jak snopy, kiedy się wóz wywróci.

- Jezu! Jezu! - szepnęła jedna z dziewcząt.

- I już się nie podnieśli, kiedy tak leżeli? - spytała Łukaszowa.

- Jakże się mieli podnosić, kiedy byli poprzetrącani? - odparła kucharka.

Niańka westchnęła.

- Dużo ludzi zmarniało bez te wojny! - rzekła.

- A tera musi zepsuje się najwięcej - zakonkludowała kucharka. - Maciej powiadał, że - jak Francuz idzie sam, to jest cała bieda, ale jak idzie z naszymi, to jest dwie biedy.

W saloniku byli goście. Przez uchylone drzwi sypialni zobaczyłem pana Dobrzańskiego, pana burmistrza i księdza proboszcza. Byli zajęci gwałtowną rozprawą, i właśnie zagniewany pan burmistrz wołał:

- Głupstwo jest porywać się z takimi siłami... Gdybyśmy mieli choć ze sto tysięcy wojska, sam poszedłbym pierwszy... Ale tak...

- No, Francuzi znajdą więcej - wtrącił proboszcz.

- Znajdą dla siebie, nie dla nas... Pan Dobrzański śmiał się.

- Ja wiedziałem - rzekł trzęsąc ręką - że pan prezydent jesteś czerwony - przy krupniku. Ale w razie wojny będziesz miał tylko czerwony kołnierz...

- Co mi pan tu pleciesz? - wrzasnął prezydent uderzając w stół obu rękami. - Chyba zwariowaliby Francuzi, gdyby nam chcieli pomagać.

- Pan już zwariował... - uśmiechnął się nauczyciel. Przez chwilę patrzyli na siebie jak dwa koguty. Burmistrz był pąsowy, nauczyciel z trudnością chwycił oddech.

- Za pozwoleniem! - wtrącił proboszcz stając między nimi. - Panie Dobrzański - uspokój się. Panie prezydencie - a co mówi rok pięćdziesiąty dziewiąty i Włochy?...

- Włochy leżą przy Francji - odparł burmistrz - znam przecie jeografią.

- A my leżymy na sercu Francji! - krzyknął nauczyciel.

- A pan przy żołądku Francji - mruknął burmistrz. Nauczyciel rzucił się naprzód.

- Co mi ten... tu... jakiś... burmistrzyna puszcza finfy pod nos?

- Niech ksiądz proboszcz powie temu bakałarzynie... - sapał cofając się prezydent.

- Jarmarki otrębywać na gościńcu, a nie gadać o polityce!... -wolał nauczyciel. Prezydent rozkrzyżował ręce.

- Jak Boga kocham, tak wyzwę abecadlarza na pojedynek! -krzyknął.

- Dobrze! - pochwycił nauczyciel - przypomnę sobie fechtunek na burmistrzowskiej skórze...

W tej chwili ksiądz proboszcz i dotychczas milcząca mama moja pochwycili ich.

- A, panie prezydencie!...

- A, panie Dobrzański!...

- Zarąbię!... - rzucił się nauczyciel.

- Zobaczymy!... - groził burmistrz.

- W takiej chwili niezgoda!... panowie!... - błagała ich mama.

- Nie ma zgody z awanturnikami!... - mówił burmistrz szukając czapki.

- Takich wymieciemy najpierwej!... - odpowiedział nauczyciel zabierając się do wyjścia.

- A wy, stare dzieciaki!... - huknął proboszcz podnosząc pięści. - Warchoły!... Sejmikowicze!...

Jeżeli w każdym domu naszego kraju jest choćby jeden taki jak wy, to was nie tylko Francuz, ale Pan Bóg nie ocali, bo się sami pomordujecie.

Przeciwnicy zaczęli spoglądać na siebie bokiem.

- Nie moja wina, że pan Dobrzański nie panuje nad sobą - ofuknął burmistrz.

- Z prezydentem zawsze tak kończą się dysputy - odparł nauczyciel. - Zamiast chłodno badać sytuację, unosi się...

Dla otarcia potu z czoła wydobyl kraciatą chustkę, a potem machinalnie tabakierkę.

- Każdy pogląd ma w sobie coś prawdy i coś fałszu, i dlatego ludzie spierają się - mówił proboszcz. - Ale niesłychana rzecz, ażeby w takich czasach różnica zdań prowadziła do nienawiści i zemsty... .

- Ja mściwy nie jestem, mnie wszyscy z tego znają - rzekł burmistrz.

- A ja w takiej chwili nie chcę niezgody - odparł nauczyciel i zażył tabaki.

- No, więc podajcie sobie, panowie, ręce i - razem!... Złe czy dobre - razem!...

- Moi drodzy! - wtrąciła matka, gwałtem zbliżając dłoń burmistrza do tabakierki nauczyciela.

- Niech i tak będzie! - mruknął nauczyciel i podawszy burmistrzowi jeden palec poczęstował go tabaką.

- Każdy zostanie przy swoim zdaniu - dodał burmistrz i dla ceremonii posypał sobie tabaką górną wargę.

- A Francuzi przyjdą! - bąknął pod nosem nauczyciel.

- Na gubernatorów - dodał burmistrz.

Wychyliłem się przez drzwi tak, że mama mnie zobaczyła. Szybko wbiegła do sypialni i popychając mnie ku drzwiom szepnęła:

- Czego tu stoisz?... idź mi zaraz na drugą stronę.

- Ja pójdę na wojnę! - mruknąłem stąpając wielkimi krokami.

Zapomniałem już o sankach i ślizgawce, lecz wydobywszy z szafy mój pałasz kazałem przynieść z kuchni osełkę i zacząłem go ostrzyć. Opanował mnie tak wojowniczy nastrój, że gdy Łukaszowa ośmieliła się zażartować z mego uzbrojenia, palnąłem starowinę żelazem po rękę, aż jej wyskoczył siniak.

Zrobił się krzyk, wbiegła mama... W rezultacie musiałem niańkę przeprosić i długi czas klęczyć pod piecem.

Przez kilka dni kipiało w miasteczku. Przyjezdni opowiadali o wojskach, które gdzieś daleko od nas chodzą po kraju; panie szyły bieliznę, starsi panowie radzili, a młodzi znikali. Podział się gdzieś sekretarz z poczty z dwoma synami pana Stachurskiego, szewca; później sekretarz magistratu z siostrzeńcem pana Władzińskiego, wędliniarza; nareszcie znikł sam pan Grochowski, stolarz, ze swoim czeladnikiem. Chałupkę, w której miał warsztat, zamknęli sąsiedzi, i stała pustką przez parę lat, aż w niej zamieszkał nowy dziedzic. Pan Grochowski i jego czeladnik już nie wrócili.

Gdy mama rozmawiając z panem Dobrzańskim utyskiwała, że tyle młodzieży marnuje się na zimnie i słocie, nauczyciel wzdychał, ale wnet odpowiadał z uśmiechem:

- To tylko do wiosny... Na wiosnę Francuz przyjdzie... Byle wytrwać!...

I na ściennym kalendarzu rachował, ile jeszcze dni do porównania wiosennego, ile do Wielkiej Nocy, a ile do maja.

- W maju sami się nie poznamy! - mówił.

Co do mnie, wybierałem się za innymi. Wystrugałem sobie łuk, pukawkę i wyostrzyłem pałasz tak, że wióry krajał. Miałem pełną głowę wojny i tylko wypadek wstrzymał mnie od opuszczenia domu.

Raz śniło mi się, że widzę długie szeregi żołnierzy w niebieskich frakach, białych spodniach i szkopkach na głowie. Każdy miał w lewej ręce karabin, za plecami pałasz, ceglaste rumieńce na twarzy białej jak kreda i szeroko rozwarte oczy. Wszyscy byli osadzeni na deszczułkach spojonych na krzyż jak nożyczki. Ktoś nieustannie zamykał i otwierał deszczułki, a żołnierze szykowali się w kolumnę albo w szereg, sztywni, nieruchomi na swoich kółeczkach, strasznie patrzący przed siebie.

Domyśliłem się, że będzie bitwa. Lecz że oprócz mnie nie było nikogo na placu, więc schwyciłem swój pałasz, machnąłem i całe wojsko upadło na ziemię obalone. Jeszcze parę razy z wielką trudnością sformowali szereg i kolumnę, potem skrzypiące deszczułki przestały się poruszać i - leżał żołnierz obok żołnierza, z wywróconymi oczyma, z włosami zaczesanymi na skronie, błyszczący farbą, którą był pomalowany.

Wtedy przypomniałem sobie opowiadanie naszej kucharki, że dotychczas tylko Francuz robił podobne spustoszenia, i obudziłem się pełen wielkiej odwagi.

O zwykłej porze niańka, napaliwszy w piecu, zaczęła mnie ubierać. Gdy mi wciągała buty, rzekłem grubym głosem:

- Trzeba mi na noc buty wysmarować łojem, bo jutro wychodzę.

- Gdzież ty chcesz iść?

- Na wojnę.

- Cóż byś tam robił?

- Już ja będę wiedział, co robić. Baba popatrzyła mi w oczy.

- W imię Ojca i Syna!... - zawołała. - Świat się kończy czy co, że i ten fąfel gada o wojnie?

Nie powiem, ażebym się rozgniewał; czułem jednak, że teraz nie wypada mi być łagodnym. Właśnie niańka wzuwała mi drugi but, gdy ja wyrwawszy nogę kopnąłem ją w kolano i w nie dociągniętym bucie wyskoczyłem na środek pokoju wołając:

- Właśnie, że pójdę, do stu diabłów!... A jak mi jeszcze co powiecie, to wam w łeb strzelę...

Nagle staruszka objęła mię rękami i stała się rzecz, której wcale nie przewidywałem. Nogi moje znalazły się tak prędko w górze, że mi but spadł, brzuch i piersi oparły się na kolanach staruszki, a przed oczyma, zamiast drzwi, zobaczyłem podłogę. Zarazem uczułem, że niańka jedną ręką opasuje mi tułów, drugą zaczyna odpinać guziki barchanowych majtek.

Wiłem się i rzucałem, ale na próżno. Wówczas zacząłem prosić.

- No, wojujże, wyrwij się, kiedyś taki chwyt!... - wołała niańka trzęsąc się ze zmęczenia. - A ty rozpustniku, ty wisielcze! ... W domu i tak pełno zgryzoty, a jeszcze ten nicpoń odgraża się...

Zapłakałem ze wstydu, a wtedy baba postawiła mnie na podłodze i ocierając łzy mówiła już łagodniej:

- Oto widzisz, jak by ci było na wojnie. Złapałoby cię i nimbyś nogą grzebnał, dostałbyś z pięćdziesiąt nahajów. Już i ja bym d wtedy nie pomogła, nawet pani.

Ostatnia uwaga zrobiła na mnie wrażenie.

- Cóż to, na wojnie biją się nahajkami? - spytałem zachmurzony.

Doznałem przykrego zdziwienia, jak gdybym nagle usiadł w miejscu, z którego usunięto krzesło. Rzucić się z moim pałaszem na cały szereg wojska potrafiłbym, ale nahajki przerażały mnie. W głębi duszy nie wierzyłem, aby to mogła być prawda;

swoją drogą, ile razy pomyślałem o wojnie, przywidywało mi się, iż ktoś chwyta mnie wpół i przewraca do góry nogami tak prędko, że nawet nie mam czasu sięgnąć po pałasz.

Ten osobliwszy pogląd na sztukę wojenną ochłodził mój heroizm. Nie wyrzekłem się wojny, ale postanowiłem iść nie prędzej, aż tyle urosnę, że mnie lada kto nie wywróci. Zrobiłem na piecu kreskę, jak mogłem dosięgnąć ręką, i mierzyłem się po kilka razy dziennie, patrząc, czy daleko do

upragnionej wysokości?... I dziwna rzecz, kiedy byłem wesoły, to podrasnął, a gdy byłem smutny, to tak malał, że prawie traciłem nadzieję osiągnięcia miary przed przybyciem Francuzów.

"Ha! - myślałem - to i tak pójdę. Wleżę w środek i niech mnie nie dają..."

Zajęty takimi planami nie zważałem na mamę, w której usposobieniu zaszły pewne zmiany. Prawie od dnia, kiedy usłyszałem o wojnie, matka źle sypiała, pobladła. Jej energiczny głos przycichnął, coraz mniej biegała po domu, a częściej siadała na fotelu, zmęczona, i zaplótłszy palce o palce marzyła o czymś.

Listy do brata zwykle mama wysyłała przez okazję; w tych czasach zaczęła pisywać przez pocztę. Co dzień wypytywała się o bryftrygiera, a gdy nie nadchodził, wysyłała na pocztę parobka, nakazując mu, ażeby dowiedział się, czy nie ma listu.

Czasem przybywał list, ale nie zmniejszał niepokoju mamy. Odpowiadała natychmiast i znowu czekała, pytała się o bryftrygiera i wysyłała na pocztę.. Zresztą o bracie nie mówiła nic.

Jakoś przed Wielkanocą siedzieliśmy raz przy obiedzie: mama, pan Dobrzański i ja. Pamiętam, że był postny dzień, bo dali zupełną piwną. Właśnie na drugą potrawę nianka przyniosła talerz pierogów z powidłami, oblanym masłem i posypanych tartą bułką, kiedy ukazał się posłaniec z poczty i oddał mamie list.

Zacząła go czytać tak długo, iż przyszło mi na myśl, że pierogi na nic wystygną. Machinalnie wziąłem do ręki widelec, który upadł na talerz z takim hałasem, aż mnie przeszło gorąco.

Zalękniony, rzuciłem okiem na pana Dobrzańskiego, ale ten siedział bez ruchu, ze spuszczoną głową. Spojrzałem na mamę i zdziwiłem się.

Mama była strasznie zmieniona. Zdawało się, że w jednej chwili twarz jej przybrała piaskową barwę, a oczy w głąb zapadły. Oparła głowę na jednej ręce, a w drugiej, daleko odsuniętej, trzymała list. Usta jej były zaciśnięte i blade.

Siedzieliśmy tak wszyscy troje milcząc, aż wreszcie na pierogach masło zakrzepło. Nagle mama rzuciła list na stół.

- Pan wie - rzekła do nauczyciela - że Władek poszedł? Pan Dobrzański poprawił się na krześle, spojrzał na list, ale nie odpowiedział.

Matka zaczęła mówić głosem trochę drżącym, lecz uśmiechając się chwilami:

- No, nie wiedziałam, że do tego prowadzi rozum uniwersytecki!.. .. Wydaliśmy na niego dziesięć tysięcy, a ja po śmierci męża pracowałam jak sługa, byle tylko jego popchnąć wyżej. Już nawet nie pamiętam, jak wyglądają całe trzewiki, a pomimo to mam długi. Gdybym dziś umarła, młodszy zostałby chyba pastuchem.

A on, głowa domu, tymczasem poszedł na wojnę.... Nie tylko nie pytał się, ale nawet nie radził matki. Może dlatego, że wygląda na prostą babę!...

Sam zadysponował moimi pieniędzmi, swoją przyszłością i losem tego oto smarkacza, który jednej klasy nie będzie miał za co ukończyć... Cóż pan na to, panie Dobrzański?

- Nie pierwszy on i nie ostatni - szepnął nauczyciel.

- Dla mnie pierwszy i ostatni... - odparła matka podniesionym głosem. - Komu nóż wbijają w serce, ten nie pyta, czy innych spotkało to samo, ale woła - że boli!... Co mnie obchodzą inni?... Inni nie wyrastali pod moim okiem, ja nie opłakiwałam ich, kiedy szli do szkół, nie myślałam, że po całych latach tęsknoty zobaczę ich choć na starość, ażeby się już nie rozłączać...

Oparła głowę na obu rękach.

- Myślałam, że wróci i tu osiadzie. Chciałam go ożenić, oddać cały dom, sama mieszkać na górze. Oni przyjmowaliby gości, a ja, w moim starym kaftanie, z kluczami, biegałabym za gospodarstwem. Chciałam go tylko widywać choć przy obiedzie, jeżeli by nie miał gości, to wszystko... Czym nawet

tego niewarta?... Czym kiedy narzekala, ze tylko raz na miesiac pisuje, a po pare lat nie przyjezdza?... A on tak mi zaplacil!...

Zaslonila oczy nie mogac powstrzymac łez.

- On nawet nie wie, com ja przy nim wycierpiala - mowila szlochajac. - Urodzil sie na j pierwszy, a byl taki duzy, zem malo nie zmarla... Chorowalam dwa miesiace... A jak ssal!... Rany mi porobil na piersiach... Czasem z bolu cmilo mi sie w oczach, lzy... plynelly jak groch... Ale kiedy przyszla mamka, zal mi go bylo jej oddac. Balam sie, ze moze mnie bedzie mniej kochal... No - i zgadlam!... Czlowiek, kiedy wyjezdza z karczmy, gdzie popasal, to jeszcze rzuci laskawym okiem na szynkarza i powie mu dobre slowo... A on wyrzekl sie matki, jak nic... I pomyslec tu, ze go juz moze nie zobacze...

Stary nauczyciel zwroutil na matke szkiem zasle oczy.

- Widzi pani - rzekl - to juz takie czasy... Czasy!... Odetchnal zadyszany i mowil dalej:

- Znowu zaczerwienila mi sie blizna na piersiach i noga strasznie boli, jak zwykle na wilgooc...

Dzis wiecej niz kiedy nad tym cierpie... Ale co ja tu baję. Oto chcialem powiedziec, ze kiedy pani tak desperujesz po Wladku, to sprowadzimy go na powrot.

Matka rzucila sie na krzesle.

- Skad?... A gdzie jest?...

- Poszukamy, znajdziemy.

- Nie zechce wrócic.

- Wróci. On nie myslal, ze pani tak bedziesz rozpaczac. Matka zamyslila sie, a nauczyciel mowil:

- Napisze do znajomych, dowiem sie o jego adres, i - niech najgorsze czasy przesiedzi w domu.

Nauczyciel wstal od stolu ogladajac sie za czapka. Matka takze podniosla sie i przelotnie spojrzala w okno.

- Gdzie pan idziesz? - spytala.

- Napisze list - odparl.

W tej chwili, za oknem, poslizgujac sie na sniegu albo grzeznac w blocie, z wolna wlókl sie stary czlowiek, ktorego nazywano zdrajca. Pan Dobrzański nie widzial go, ale matka spostrzegla. Drgnelly jej usta i na twarz wystapil rumieniec.

- Cóz to, wahasz sie pani? - spytal zdziwiony nauczyciel.

- Nie.

- Zatem - rzekl - powiem mu tak: matka pod błogosławieństwem nakazuje ci, ażebyś natychmiast wrócił.

- Nie.

- Więc nie pisac?...

- Owszem.

- Więc cóz pisac?... - rzucil sie nauczyciel.

- Napisz pan - szepnela łkajac - ze matka posyla mu swoje błogosławieństwo, o którym zapomnial...
I opuscila pokój.

Nauczyciel stal jak automat, bezmyslnie patrzac na drzwi. A gdy nianka zebrała talerze, glosno przezegnal sie i zaczal zwykla modlitwe poobiednia:

"Dziękujemy Ci, Panie Boze, za Tve dary..."

Nagle przerwal, machnal reką i wyszedl. Widac nie skonczyl modlitwy dlatego, ze na obiad jedlismy tylko zupę, a pierogi z powidlami zostaly.

Tego samego wieczora zebrawi sie u nas panstwo burmistrzowie z corkami i pani majorowa z

wnuczkami, ażeby mamę rozerwać. Panie miały miny jak na pogrzebie. Potem przyszedł pan Dobrzański, podano herbatę i zaczęto rozmawiać. Panny utyskiwały, że niedługo zabraknie kawalerów, jeżeli wszyscy pójdą na wojnę, a pan prezydent rzekł:

- To jeszcze nic, bo tacy, co z wojny wracają, najskorsi są do małżeństwa. Ale będzie gorzej, jak z połowa ich wyginie... Co może zwojować garstka przeciw masie!...

- Przypomnij pan sobie Leonidasa albo Wilhelma Tella -wtrącił pochmurnie nauczyciel. Burmistrz przymrużył oczy.

- Wilhelm?... Wilhelm?... - powtarzał, na próżno usiłując przypomnieć sobie dwu wymienionych panów. Pan Dobrzański wzruszył ramionami.

- No - rzekł - nie męcz pan sobie pamięci. A co do tego, że jest ich garstka, nie może być inaczej, jeżeli wychodzą jednostki, a setki siedzą w domu. Czy na przykład nie wstyd, żeby taki basał jak wasz kasjer wygrzewał się tu u wszystkich pieców, kiedy inni giną?...

- Ma rację - wtrąciła majorowa. - Mój Boże! taki czerstwy mężczyzna...

- Dajcie pokój kasjerowi - odezwał się pan burmistrz. - On pójdzie, on nie wytrzyma, ale jako człowiek punktualny, musi pierwiej odrobić biurowe zaległości.

Lecz było już za późno, bo panny naradzały się w kącie i o ilem zmiarkował, coś przeciw kasjerowi wymyśliły.

Od tej pory pan kasjer stał się prawdziwym męczennikiem. Każda panna, którą spotkał, zapytywała go:

- Pan jeszcze tutaj?

A prócz tego co kilka dni posyłały mu zajęczą skórkę albo kądziel.

Po każdym takim prezencie pan kasjer przybiegał do nas, siadał naprzeciw lustra i poprawiając wysoki kołnierzyk narzekał przed mamą:

- Głupie te panny i fałszywe - mówił. - Niby to chcą, żebym wyszedł, a każda aż piszczy, żebym się z nią ożenił... Płaczą, że brakuje kawalerów, a i tego chcą się pozbyć, który został. No, ale im pokażę!... - dodał z westchnieniem. - Już obstałowałem długie buty...

Istotnie w kilka dni zaczął pan kasjer składać wizyty w butach, które sięgały mu wyżej kolan. Napomykał przy tym, że może wypadnie mu opuścić miasto, i prosił każdą z panien na osobności, ażeby czasami pomodliła się na jego grobie. Następnie opowiadał mamie, że każda miała łzy w oczach, co sparaliżowało jego wojownicze zamiary.

Więc został. A panny znowu poczęły dziwić się, że jeszcze jest tutaj, i nadsyłać mu kądziel i zajęcze skórki przez rozmaitych posłańców. Doszło do tego, że pan kasjer pobił raz Żydka, który mu odnosił starannie zawiniętą kamizelkę, myśląc, że Żyd należy do spisku i że mu chce doręczyć jaki kompromitujący upominek. Nareszcie pokłóciwszy się ze wszystkimi pannami kasjer sprowadził sobie podróżną torbę, wziął urlop na dwadzieścia osiem dni i - wyjechał. W końcu zaś tygodnia moja mama, pan burmistrz i pani majorowa odebrali bezimienne listy donoszące, że zginął w bitwie. Pan burmistrz przybiegł do nas mocno zirytowany.

- Wyobraź sobie pani- zginął!... -mówił do mamy- zginął... taki punktualny urzędnik. Oto są skutki babskich agitacyj! Gnębiły go, nękały, aż poszedł i w tej chwili dostał w łeb... Trzeba by może sprawić nabożeństwo żałobne czy kiego diabła?...

- Nie godzi się tak mówić - zaoponowała moja matka. -Bohaterem, co prawda, nie był on nigdy, ale kiedy go już Bóg powołał, trzeba zmówić wieczny odpoczynek, a nie sadzić diabłami.

Pan burmistrz słuchał, ale krzywił się i patrzył na list donoszący o śmierci.

- Widzisz, pani dobrodziejko, to prawda. Jest tu napisane, że zginął, że bil się walecznie, że nawet cały oddział nosi po nim w sercu żalobę, ale... kiedy ten list tak wygląda, jakby on go sam

pisał zmienionym charakterem... Ha, możemy zresztą odprawić nabożeństwo. Nie przyda się jemu, to drugiemu, a zawsze naprawi chłopcu reputacją!...

Ale ksiądz proboszcz odczytawszy list radził nie spieszyć się z egzekwiami, co mocno oburzyło panny, z których dziś każda opłakiwała pana kasjera na własny rachunek i przed mamą nazywała go swoim rycerzem. Wszczęły się nawet spory o nieboszczyka, których wcale nie można było rozstrzygnąć, ponieważ każda z panien miała po nim takie same pamiątki: wiersze patriotyczne na welinowym papierze, zeschnięte kwiaty i pęczek włosów.

Tymczasem we trzy tygodnie ukazał się pan kasjer. W pierwszej chwili myślano, że jest przynajmniej ranny; władał jednak wszystkimi członkami i nawet utył. Gdy go zaś spytano, co znaczyła wiadomość o jego zgonie, zaczął opisywać tak straszne bitwy, w których przyjmował udział, że pan burmistrz o mało nie uznał go za nieboszczyka po raz drugi. Ciężkie przejścia nie zostawiły jednak śladów. Opatrzność czuwająca nad mężnymi strzegła nie tylko jego osoby, ale nawet jego podróźnej torby, wysokich butów i całej zresztą garderoby, od której wir politycznych wydarzeń ledwie zdołał mu oderwać kilka guzików. Wiem o tym, bo dla przyszycia ich pożyczął pan kasjer od mamy igły i nici.

Pan Dobrzański wysłuchawszy opisu wszystkich walk i tego, co pan kasjer dokazywał na prawym skrzydle, na lewym skrzydle, jako strzelec i jako kawalerzysta, zakonkludował krótko:

- On tak widział bitwę jak ja Chiny.

Nawet pan burmistrz miał niejakie wątpliwości nie co do męstwa i czynów kasjera, ale co do miejsca i czasu. Z jego bowiem opisów wypadało, że nie jadł i nie spał, tylko walczył, niekiedy od razu w kilku punktach.

Pan kasjer dowiedziawszy się o tym zaprosił do naszego domu księdza proboszcza, pana burmistrza i pana pocztmajstra. Gdy zasiedli w saloniku, a proboszcz podłożył sobie rękę pod ucho, ażeby lepiej słyszeć, rzekł:

- Doszło do mojej wiadomości, że są ludzie, którzy powątpiewają o moich zasługach...

- Ależ!... - przerwał zarumieniony pan burmistrz kręcąc się na fotelu.

- Owszem - pochwycił kasjer - powątpiewają, wiem, że powątpiewają... Otóż ja chcąc oczyścić się z podobnych zarzutów przedstawię panom - dowody.

Wydobył z kieszeni scyzoryk, otworzył go, rozpiął zakiet, potem kamizelkę i zaczął dolny jej brzeg odpruwać.

- Aha!... - szepnął do proboszcza pocztmajster - stan służby...

I podniósł brwi bardzo wysoko.

- Nie! - dumnie odpowiedział kasjer prując dalej.

- Pewnie lista bitew, w których się odznaczył - dodał burmistrz i niespokojnie uderzył się w udo.

- Wcale nie! - odparł już niecierpliwie pan kasjer i - położył na stole papierek, mało co większy od bibułki do zwijania papierosów.

Pan burmistrz wsadził okulary i wzięwszy drżącą ręką kartkę przeczytał półgłosem:

- Aha!... Nominacja na... na pomocnika... na pomocnika naczelnika parafii... A co mówiłem! - wykrzyknął.

- Teraz, panowie, chyba wiecie, kim jestem? - zapytał kasjer. Ale ponieważ do saloniku w tej chwili wszedł pan Dobrzański, więc kasjer spojrzawszy na niego z góry pocałował mamę w rękę i wyszedł do miasta.

- Zawsze twierdziłem - rzekł pan burmistrz - że on będzie wielkim człowiekiem! No, panie Dobrzański, zgadnij, czym jest nasz kasjer?...

Nauczyciel oparł się na kiju i rzekł, bystro patrząc w oczy panu burmistrzowi:

- Był i jest chłystkiem...

Pan burmistrz rzucił się na kanapie.

- Ale w tej chwili czytaliśmy jego nominację... - zawołał.

- Na osła dardanelskiego! - odparł gniewnie nauczyciel.

- Mógłbyś się pan nareszcie do niego przekonać... - wtrącił pocztmajster i machinalnie uderzył pięścią w stół, jakby przybijając stempel.

- Nie mam przekonania do dyrektorów kocich muzyk!... - krzyknął nauczyciel. - Nie lubię błaznów, a jego szczególnie, choćby miał nominację wypisaną na własnej skórze.

Od tej pory pan kasjer pokazywał swój dokument paniom i pannom, a nawet mnie. Przed mamą skarżył się na ciężar władzy, a do mnie raz powiedział:

- Szczęśliwe dziecko, nie znasz, co to jest odpowiedzialność i troska o wszystkich.

- Wielkich trosk to chyba pan nie ma - zauważyła mama. - Nic pan nie robi, z nikim się nie widuje...

Pan kasjer, jak zwykle, usiadł naprzeciw lustra.

- Bah! - rzekł z westchnieniem, podgarniając palcami włosy. - Co to jest, proszę pani, wciąż myśleć, że tam są głodni, tam źle odziani, tam nie uzbrojeni. Że tu mogą wywieźć, tu spalić, tu pozabijać!... Bać się o wszystko i o wszystkich, słowo honoru - to nad siły człowieka!...

- Więc po cóż się pan tak boi? - spytała zdziwiona mama.

- Ja się nie boję! - skoczył pan kasjer na krzesło - ale troszczyć się o innych to mój obowiązek... Któż mnie zastąpi?...

Z panem Dobrzańskim wcale nie rozmawiali.

Tymczasem nadeszła wiosna, a mnie poczęła ogarniać nieokreślona tęsknota i ciekawość. Czy wstawałem, czy kładłem się spać, zawsze zdawało mi się, że usłyszę, a może zobaczę coś niezwykłego. Co to miało być? - nie wiem, lecz jestem pewny, że przecucia te podsycala we mnie sama natura, jakaś dziwna w tym roku. Jednego dnia nagle znikły śniegi i ze wszystkich wzgórz zaczęły płynąć potoki wody, jakby ktoś przed nadchodzącymi świętami mył ziemię. Potem zerwał się wiatr i przez kilka dni z największym pośpiechem zbierał wilgoć aż do sucha. Słońce wstawało coraz wcześniej chcąc także zobaczyć: co będzie? Widziałem, że co dzień wyżej wznosi się nad ziemię i ogarnia szerokie widnokregi, a ku wieczorowi ociąga się z zachodem. Raz nawet schowawszy się za horyzont wychyliło się powtórnie, jak zbudzony człowiek, który podniósł głowę i pyta: a co tam?...

Wnet zazieleniły się pola, a z niektórych drzew pierwej niż liście wyskoczyły kwiaty i patrzyły zdumione szemrzając: "Tu coś miało być?... czy jeszcze nie było?..." Zdawało mi się niekiedy, że wiatr płynący zza lasu coś im szepcze, a one chwieją gałęzmi i ze zdziwienia szeleszczą: "Aj,aj! aj!..."

Nieraz uważałem, że nauczyciel idąc do nas na lekcję stawał na ulicy i oglądał się za siebie. Po co?... Czasami mama biegła do okna i popatrzawszy chwilę wracała, jakby ją zawód spotkał. Nawet służba folwarczna bez powodu gromadziła się na dziedzińcu i milcząc śledziła horyzont.

Raz zobaczyłem coś nowego w pokoju. - Aha!... - krzyknąłem - jest!... - Lecz była to tylko pierwsza mucha w tym roku, półsenna i wygłodzona.

Przyleciały skowronki i pionowo wzbijając się nad polami ogłaszały coś w swoim zdrobniałym języku, a potem nagle padały na ziemię jak kamień, świegocząc zalęknione: "Już! już!" Przyleciały bociany i zasiadłszy w gnieździe na topoli po całych dniach opowiadały niesłychane historie, z niedowierzaniem kiwając głowami. Przeciągały obłoki, czasem pokłębione i spieszące się gdzieś, niekiedy poszarpane i jakby uciekające.

- Skąd one? dokąd one? o czym rozповідаją bociany? czego lękają się skowronki? - pytałem. I paliła mnie ciekawość ujżenia nieznanych rzeczy.

Nawet w domu nie miałem spokoju. Czasem wróbel siadał na gałęzi i pilnie przypatrywał się salonikowi; to znowu wpadał wiatr przez okno i z szelestem obiegał nasze pokoiki; to znowu słońce wysyłało na zwiady pęk światła, który ostrożnie zaglądał za piec, pod stolik, za kanapę, i wreszcie - cofał się drżący, aby za kilka dni powtórzyć swoje śledztwo.

- Czego oni chcą od nas? czy to u nas ma coś być? - pytałem zatrwożony. A wtem zegar stanął. Gdy pobiegłem zobaczyć, co mu jest, spostrzegłem obok na stoliku książkę do nabożeństwa, otwartą na słowach suplikacyj: "Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami..."

Od tej pory wszystko mnie przerażało. Czekałem na coś nieznanego, a gdy raz nianka krzyknęła głośniejsze:

- Już idzie!... idzie!...

Zerwałem się od lekcji i wpadłem do kuchni pytając:

- Co idzie?...

- Walek z miasta - odpowiedziała. - Ale cóżeś tak pobladł?...

- Nic, nic...

I wróciłem przekonany, że - już coś idzie tutaj, na co wszyscy oczekiwali.

Któregoś dnia, w pierwszej połowie maja, zrobił się u nas ruch. Po południu przyszedł pan kasjer.

- Boję się - mówił wzruszonym głosem do mamy - boję się, żeby u nas nie było jakiego głupstwa. Jedni z tej strony, drudzy z tamtej, a my - we środku... Może być źle...

I otrząsnął się jak na mrozie.

- Cóż tam panu? - odparła mama. - Pan już jesteś oswojony, ale my... A jednak... przyjmujemy wszystko, co Bóg da.

- Nie myśli pani wyjechać? - spytał nagle. - Bo ja w razie czego...

- Dokąd?... Zostają inni, zostaniemy i my. Co nas ma spotkać, niech spotka na miejscu. Nie wiadomo, czy uciekając przed imaginacją nie trafilibyśmy na nieszczęście.

Pan kasjer pobladł.

- To prawda, to prawda - rzekł. - Ha, więc i ja zostanę. Pożegnał mamę, lecz wrócił się ode drzwi.

- Jednakże dzisiaj można by jeszcze znaleźć wolną drogę... Kto wie, czy nie wyjadę...

Nagle - machnął zaciśniętą pięścią i tonem wielkiej energii dodał:

- Zresztą - pal diabli!... Zostanę. Raz kozie śmierć... Ale na ganku znowu widać opuściła go energia i z miną bardzo zafrasowaną oglądał się na wszystkie strony.

Dziwna rzecz, te wątpliwości kasjera obudziły we mnie złowrogie przeczucia, jak gdyby od jego pozostania w mieście zależało czyjeś życie. Byłem tak zmieszany, że pomimo nieśmiałości zapytałem matki:

- Moja złota mamó - co to będzie?... Nadspodziewanie matka, zamiast ofuknąć, pogłaskała mnie i odpowiedziała spokojnie:

- Nic nie będzie, moje dziecko, nic. Weź się do książki i nie rób takich wielkich oczu, bo będą śmiać się z ciebie jak z pana kasjera.

Słowa te od razu mnie uspokoiły. Rozejrzałem się. W kuchni, jak zwykle, krzątają się koło obiadu, na dziedzińcu chłopiec rąbie drzewo, ogród kipi śpiewem ptaków, a z nieba leją się potoki wiosennego światła.

"Co tu nabijać sobie głowę jakimiś strachami?" - pomyślałem i zamiast do książki - wziąłem się do robienia wózka.

W duszę zaczęło mi napływać majowe ciepło, szelest drzew, zapach kwiatów... Chwilami odkładałem na bok wózek, ażeby przypatrzeć się mrówce z wolna przechodzącej z trawy na trawę, albo schwyciwszy rękoma za gałąź huštałem się i wywracałem koziółki, śmiałem się, sam nie wiem z czego. Czułem tylko, że jak tym oto ptakom, tak i mnie serce napełnia radość i że mi jest dobrze na świecie. Zdaje mi się, że była to najszczęśliwsza chwila w moim dzieciństwie. Spadła bez powodu, trwała krótko i nieznacznie odeszła.

Dzień upłynął spokojnie. Około dziesiątej wieczór, jak zwykle, rozebrała mnie niańka i - twardo zasnąłem. Wkrótce ocknąłem się, ale niezupełnie; poczucie rzeczywistości mieszało się z marzeniem. Wiedziałem, że jest noc i że leżę na łóżku, lecz marzyłem, że w poduszce jest jakby czworokątne okienko, przez które patrzę na inny świat. To znowu zdawało mi się, że pływam w nieokreślonej przestrzeni, a jednocześnie słyszę, że ktoś stąpa po pokoju. Chciałem otworzyć oczy, ale zarazem mówiłem sobie: jeszcze chwilę, otworzę później... Nagle zatrzęsłem się od stóp do głów i usiadłem na łóżku. Jakiś głos cicho, ale wyraźnie szeptał prawic nad moim uchem:

- Już idą...

- Kto tu jest? - zapytałem strwożony.

Żadnej odpowiedzi.

Zeskoczyłem na podłogę i po omacku doszedłem do łóżka mamy. Ale mamy nie było.

Wróciłem na swoją pościel i owinąwszy się kołdrą słuchałem. Z ulicy dochodził jakiś ciągły szmer, podobny do rześistego deszczu. Przetarłem oczy; szmer nie ustal, ale zrobił się podobny do stąpania wielu ludzi po piasku. Czasami coś szczęknięło, czasami koń parsknął, to znowu coś ciężko toczyło się i na mgnienie oka ustawało. Potem rozległo się szarpnięcie i - znów dychać przytłumione toczenie się, parskanie, niekiedy szczęk, na tle jednostajnego szmeru, jakby ludzkich nóg, które szły, szły i szły bez końca.

Trwało to dłużej niż kwadrans, a gdy zegar wykukał drugą godzinę, szelest osłabnął, zagłuszony cichym turkotem wozów. Teraz dopiero usłyszałem na ulicy głos z ludzkiej piersi; ktoś przeciągle ziewnął: "A... a... a!..."

Potem i turkot przycichnął, po raz drugi odezwał się szmer jednostajny i toczenie się chwilami przerywane - i z wolna wszystko umilkło. A wtedy zauważyłem, że pod ścianą domu na dziedzińcu ktoś mówi jęklwym głosem: "Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami..."

Nie mogłem wytrzymać. Wstałem z łóżka i z wyciągniętymi rękoma, potykając się w ciemności o sprzęty, wyszedłem z pokoju do sieni mówiąc przyciszonym głosem:

- Mamo!... gdzie mama?...

Uderzyłem ręką o drzwi wychodzące na podwórze, ale drzwi były zamknięte. Już chciałem wołać, ażeby kto przyszedł, gdy wtem padło na mnie z góry skąpe światło. Przypomniałem sobie pokoiak na strychu i wdrapałem się tam po schodach, które za każdym krokiem żałośnie skrzypiały.

Stałem przy oknie. Owiał mnie świeży oddech nocy i pierwszy, niepojęty strach zaczął stopniowo zmniejszać się przechodząc w ciekawość.

"Nic nie ma - mówiłem w duchu. - Zwyczajni jacyś ludzie idą i jadą..."

I wyteżyłem wzrok kierując się odległym szmerem, który jeszcze dolatywał od czasu do czasu. Noc nie była ciemną ani pochmurną; był to raczej szary zmrok, nad którym unosiło się czarne niebo, słabo iskrzące gwiazdy, a nisko, nad horyzontem, pasek księżycy w ostatniej kwadrze, wąziutki i ponury. Przy tym świetle zobaczyłem coś, o czym nie marzyłem nawet we śnie. Na bocznej drodze, w lewo od naszego domu, sunęła między polami olbrzymia żmija!... Głową już sięgała samotnej chaty, a ogon jeszcze krył się w olszynie. Wypełniała całą szerokość drogi czołgając się powoli, w

ogromnych skrętach. Od olszyny zginała się na prawo, od jaru wielkim łukiem zwracała się w lewo, około chaty znowu w prawo. Miejscami zapadała w doliny, miejscami pełzała po wzgórzach. Blask księżyca skośnie padający na ziemię oświetlał to niezmierne cielsko najeżone iglicami, których końce migotały w sposób nad wszelki wyraz dziwny. Niekiedy zdawało się, że to fale potoku, który niepojętym zrzędzeniem wspina się sam na wzgórze, a czasem wyglądało jak iskierki ciemnego ognia, gdyby ogień mógł być ciemnym.

Przypadkiem spojrzałem na gościniec, który biegł na prawo do miasta, i tam, już niedaleko lasu, zobaczyłem - takiego samego potwora. Tylko ten zdawał się być jeszcze dłuższy, jeszcze grubszy i lśnił się jeszcze posępniejszym blaskiem.

Na podwórzu rozległ się szelest kroków; poznałem niańkę.

- Co to jest, Łukaszowo, tam na gościńcu?

- Wojsko!... - odparła chrypliwym szeptem.

- Wojsko?... - powtórzyłem. - Wojsko!... - i zeszedłem na dół.

Mama już wróciła do pokoju i zapaliła świecę. Myślałem, że mię wykrzyczy za to, że wyszedłem z łóżka i w jednej koszuli wlałem na strych. Ale nie robiła mi żadnych wymówek.

Sam nie wiedząc dlaczego, zacząłem się ubierać, a następnie, już wciągnąwszy but na nogę, położyłem się i zasnąłem. Musiałem przez sen krzyczeć, bo mama zbudziła mnie, oglądała mi usta i dotykała głowy.

Około dziewiątej z rana (właśnie kończyłem jeść kaszę z mlekiem) przybiegł do nas pan kasjer. Był nie uczesany i już w progu zawołał:

- Nie zgadnie pani, co zdarzyło mi się dziś w nocy!... Mały figiel i nie zobaczylibyście mnie więcej... Ale... Dzień dobry pani!... Jestem tak wzruszony, że zapomniałem przywitać się.

Pocałował mamę w rękę, mnie pogłaskał i usiadł na krześle.

- Cóż się stało? - zapytała mama, ze zdziwieniem patrząc na niego.

- Nadzwyczajny wypadek, jaki tylko mnie mógł spotkać! - odparł kasjer.

I nagle dodał wysilając się na słodką minę:

- Czy nie dostałbym u pani szklanki wody?...

- Może herbaty?... ,

- Z na j większą chęcią...

- A może z arakiem?...

- Pani taka łaskawa... Stokrotne dzięki!...

Wnet przyniesiono herbatę, cukier i arak. Pan kasjer upił trochę herbaty, dolał araku, znowu upił i znowu dolał, potem -jeszcze raz dolał i zaczął:

- Słyszała pani, że dziś w nocy przechodziło wojsko?...

Mama skinęła głową.

- Masa wojska... masa! Piechota, kawaleria... armaty!... -dodał ciszej. - Armaty tak wielkie, że ledwo konie mogły uciągnąć...

W tej chwili przyszło mi na myśl owo ciężkie toczenie się, które słyszałem w nocy.

- Masa wojska i masa armat - mówił kasjer popijając każde zdanie herbatą.

- Ja - prawil - już spałem. Śniła mi się - wtrącił niedbale - bitwa, w której odznaczyłem się najwięcej, gdy wtem - budzę się i słyszę, że idzie wojsko!...

Zrywam się, nie tracę przytomności, ale mówię w duchu: "Już po mnie." Wiadomo pani - dodał ciszej - jaką tu odgrywam rolę, a gdyby mnie schwytano...

Ostatni wyraz wypowiedział bolejącym tonem. Odgadłem, że bardzo by się żałował.

- Naturalnie pierwsza rzecz zniszczyć ślady. Sięgam do portmonetki, gdzie schowałem moją

nominacją, po ciemku wyszukując ją i - połykam!...

No, teraz, myślę, niczego mi nie dowiodą, i spokojnie zasypiam. Uważa pani, zasypiam najspokojniej w świecie... Brm!...

Pan kasjer otrząsnął się i znowu dołał araku.

- Tymczasem - tu zniżył głos - niech sobie pani wyobrazi, wstaję rano, chcę śludze dać pieniądze na bułki, otwieram portmonetkę i - w pierwszej przegrodzie, wie pani, co znajduję?... Moją nominacją!... O, tę samą!...

Istotnie trzymał w ręku niebieski papierek.

- Struchlałem - prawil - pot mnie oblał. Boże, gdyby tak w nocy zrobili rewizją!... Ale, czy wie pani, co połknąłem zamiast nieszczęśliwego dokumentu?...

Spoglądał kolejno na mamę i na mnie.

- Połknąłem... papierek trzyrublowy!... Połknąłem ostatnie trzy ruble, które mi były bardzo potrzebne, a zostawiłem nominacją, która mogła mnie zgubić!...

Trzeba było tylko rewizji, nic więcej. Niebezpieczeństwo stało za oknem, otarło się o mnie... Przez pół godziny byłem nad grobem!...

Myślałem, że pan kasjer zemdleje z żalu nad swoim możliwym nieszczęściem, i nie wiem dlaczego, żalowałem, że nie połknął swojej nominacji.

- Także zdarzenie! - odezwała się mama.

- Więc i pani mówi o tym tak spokojnie? - zdziwił się kasjer.

- Nic przecież nie stało się panu.

- Ale mogło... mogło się stać! - zawołał.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz potrząsnął głową. Następnie zaprowadził mamę do pieca i szepnął kilka wyrazów. Zdaje się, że mówił o połkniętych trzech rublach i że nawet w tym interesie wyszedł z mamą do drugiego pokoju na poufniejszą rozmowę.

W południe ukazał się pan Dobrzański. Mama wybiegła do niego.

- Słyszał pan... dziś w nocy?... - zapytała.

Kiwnął głową.

- Dużo wojska... dużo!... - mówiła matka. - Szli z trzech stron...

Nauczyciel uśmiechnął się.

- Wszystko dobrze!... - odpowiedział. Wesołość jego wpłynęła na mamę.

- No, Antoś, a my siadajmy do roboty. Powiedz deklamacją. Zacząłem:

W noc księżycową na cecorskim błoni,

Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,

Jechał Sieniawski odważny i smutny.

Niebieskie oczy serce mu zraniły

I swą srogością...

W tej chwili w pokoju drgnęły szyby.

- "Niebieskie oczy - powtórzył nauczyciel - serce mu zraniły i swą srogością spokoju zbawiły."

Czemu nie kończysz?... Szyby drgnęły powtórnie.

- "Niebieskie oczy..." Czemu nie kończysz?... Szyby drgnęły dwa razy, raz po raz.

- Na co się gapisz? - spytał nauczyciel. Widocznie nic nie zauważył.

- Ktoś chodzi po strychu - odparłem, zmieszany nie pytaniami nauczyciela, ale tym odgłosem, jakiego jeszcze nie słyszałem.

- Chodzi po strychu? - powtórzył nauczyciel podnosząc głowę.

Szyby znowu zadrżały.

- Nie, to nie na strychu - rzekłem - to coś zrzucają...

332

- Co? Gdzie?... Tobie się marzy?...

- Przecież okna drżą...

Nauczyciel zerwał się z krzesła przerażony.

- Co ty mówisz, dziecko? - zawołał chwytając mnie za rękę.— Gdzie okna drżą?...

- Drżą, panie...

- Ty kłamiesz...

- Nie, panie - ja słyszę... Wziął mnie za drugą rękę.

- Przyznaj się - mówił - nie umiesz deklamacji i straszysz starego nauczyciela... To szkaradnie!

Patrzyłem zdumiony myśląc, że stracił rozum. Cóż tak nadzwyczajnego, że trochę trzęsą się szyby?

W tej chwili weszła mama.

- Panie Dobrzański - rzekła niespokojnie - jest coś złego... Teraz ściany drgnęły, a szyby zadźwięczały. Nauczyciel cofnął się.

- Bitwa - rzekł głucho.

I usiadł na moim krześle opierając ręce na kolanach. Na podwórzu zrobił się hałas. Wybiegliśmy. Nasz parobek i dziewczyny rozmawiali z jakimś Żydkiem, który jechał biedą zza miasta. Pokazał batem w kierunku samotnej chaty wołając: -Tam! tam!...-! znowu popędził konia chudego i okrytego pianą.

- Tam!... tam!... - powtórzył parobek pokazując na las, na krawędzi horyzontu.

- Jezu!... Jezu!... - lamentowała niańka.

Wymknąłem się po schodach na górkę i spojrzałem. Nic nie widać. Na skraju nieba kilka białych obłoków, niżej - błękitny las - wygon, po którym chodzą kasztanowate i czarne krowy - nad olszyną bocian wracający do gniazda i - nic więcej. Słońce świeci jak zwykle, dzień spokojny, czasem powieje ciepły wiatr od południa, a w powietrzu - cisza. Nawet ptaki nie świergoczą...

Ściany znowu drgnęły. Znowu cisza i znowu kilka drgnień. Wyrząłem w stronę miasteczka. Z domów powychodzili ludzie i stojąc przed sieniami słuchali.

"Więc to jest bitwa? - pomyślałem. - Phy! i ja bym tak potrafił."

Nie schodziłem jednak licząc na to, że może pan Dobrzański zapomni o mnie i upiecze mi się lekcja. Ale nadspodziewanie nauczyciel zawołał mnie na dół.

333

- No - rzekł usiłując zapanować nad sobą - każdy robi, co do niego należy. A my wróćmy do naszego.

Siadł, kazał mi znowu zacząć deklamacją, ale zmienił zamiar i zaczął liniować kajet. Chciał wypisać pierwszy wiersz, ale nie mógł utrzymać pióra w ręku, więc zadał mi przepisywanie z książki.

Gdym wziął się do roboty, on zaczął chodzić po pokoju. Co chwilę zbliżał się do okna i słuchał, a czasami mruczał:

- To ariergarda... Wymknęli się... Nawet już nic nie słyszać...

- Prawda, że nic nie słyszać? - zapytał mnie. Pomyślałem, że nauczyciel jest głuchy. Nie tylko bowiem drżenia okien powtarzały się co chwilę, ale w dodatku towarzyszył im jakiś odgłos wyraźniejszy, jakby gdzieś bardzo daleko zrucano belki z wozu.

Nareszcie odgłosy stały się już tak mocne, że i pan Dobrzański usłyszał je. Wziął kij i czapkę i rzekł do mnie:

- Nie będzie lekcji, możesz pochować książki. Na podwórzu stała mama, pan pocztmajster i kasjer. Pocztmajster trzymał w ręku długą lunetę, a kasjer zdawał się być bardzo kontem.

- Teraz mogą wszyscy przekonać się - mówił kasjer, niespokojnie drepcząc na miejscu - że mam diabelnie zimną krew. Nic a nic mnie to nie obchodzi. Ja taki zawsze w niebezpieczeństwach. ..

- Panu chyba nie grozi żadne - odparła mama chłodno.

- Kto wie?... Nam wszystkim może grozić... Przy ostatnich wyrazach zakrztusił się i umilkł.

- Stąd nic nie widać - mówił pan pocztmajster przykładając do oka lunetę. - Muszę wejść na górkę...

- Ja pana zaprowadzę! - zawołałem. • Weszliśmy tam i pan pocztmajster spojrział przez lunetę. Lecz wnet odjął ją, wytarł chustką szkła z obu stron i znowu patrzył.

- Widzi pan co? - spytałem zaciekawiony.

- Widzę... Pszenicę... Las, a za lasem... Nic - i stąd nic nie widać.

- Z dzwonnicy pewnie by pan zobaczył.

- Masz racją, kochanku! - wykrzyknął pan pocztmajster. -Z dzwonnicy - wyborna myśl!... I zbiegł ze schodów.

334

Na dole mówił kasjer do mamy:

- Słowo pani daję, mam tak swobodną myśl, że mógłbym tańczyć. Mnie to nawet zajmuje, a nawet powiedziałbym, że trochę bawi. Dziś dopiero przekonałem się, że niebezpieczeństwo to mój żywioł... Bum!... bum!... cóż to za muzyka...

W tej chwili wbiegła na podwórze pani pocztmajstrowa.

- Ach, co za nieszczęście! - mówiła do mamy całując ją dwukrotnie. - Straszny dzień... Ja i prezydentowa pakujemy rzeczy, a majorowa kazała nakryć się poduszkami. Słyszysz pani wystrzały?... Umarłabym, gdyby do nas wpadła kula!...

- Ale gdzie mój mąż? - spytała nagle. - Czy pani da wiarę, że chciał tam pojechać i przypatrywać się?... On nie ma serca... Musiałam aż zakląć go na nasze szczęście małżeńskie, a nawet powiedziałam, że pojedzie, ale - po moim trupie... Więc został, ale cóż z tego? Wziął lunetę i patrzy!... Umarłabym, gdybym spojrziała w lunetę... Co za huk!... Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, że w tej chwili giną ludzie... Jakie szczęście, że to daleko...

- Giną ludzie?... - powtórzyłem, i mróz mnie przeszedł. Dotychczas nie pomyślałem nawet, że te stłumione odgłosy mogą oznaczać śmierć.

Raz widziałem utopionego chłopca. Był mało co większy ode mnie, a jednak przez kilka dni obraz jego zasłaniał mi cały świat. W tej chwili przypomniałem go sobie. I zdawało mi się, że widzę dwu, trzech... dziesięciu... stu takich chłopców, w rozpiętych koszulach, w wypłowiałych sukmanach, z nabrzmiałymi twarzami.

Powietrze napełniły nowe odgłosy. Dał się słyszeć nieustanny szmer, jakby groch sypano na blachę, i od czasu do czasu rozlegały się urywane, gniewne jakby szczekania olbrzymich psów: hau!... hau!... hau!... Przed oczyma coraz częściej przesuwwały mi się obrazy martwych chłopców. Więc ukląknęłam przy oknie i pełen smutku zacząłem mówić pacierz.

Na podwórzu znowu usłyszałem rozmowę. Był to pan burmistrz, pan Dobrzański i mama.

- Fatalny dzień! - mówił pan burmistrz - ale jakoś nie upadamy na duchu.

- Wolałabym go nie doczekać - odpowiedziała mama. -Chodzę jak błędna, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Zdaje mi się, że parę tych godzin to całe lata i że nigdy się nie skończą...

• 33?

- Tak i mnie - mruknął nauczyciel. - Zestarzał się człowiek, kiedy słysząc armaty trwoży się jak baba... Tfy!...

- Dziwna rzecz - odezwał się burmistrz nadstawiając ucha - bitwa zbliża się...

- To źle! - rzekł nauczyciel. Przybiegł kasjer wołając:

- No, ja, panie prezydencie, wyjeżdżam z paniami... Tu może być awantura... Pocztmajster mówi, że zbliżają się...

- To pan jedź! - odparł gniewnie burmistrz - ja nie ruszę się z miasta...

- Ależ pan musi jechać z nami... Jedzie pani, panny...

- Żona i dzieci zostaną ze mną. Nie po to jestem burmistrzem, żebym w takiej chwili uciekał.

- Panie prezydencie...

- Nie zwracaj mi pan głowy! Panu wolno dbać o swoją skórę, boś wielki człowiek, ale ja...

Wyjrzałem. Pan burmistrz był czerwony i wywijał pięściami, aż mu czapka zsunęła się na bakier. Za to pan kasjer był bardzo mizerny i zdawało mi się, że ma nogi cieńsze niż zwykle.

Odgłosy wciąż zbliżały się, ale już byłem z nimi oswojony. Ogarnęło mnie uczucie, że trwają od początku świata i że tak być powinno. Około drugiej uczułem głód; a że dziś obiadu nie gotowano, więc niańka osoliła trochę gorącej wody, wrzuciła w nią masła i nadrobiła chleba. Jedząc taką zupę myślałem, że jest to dzień gorszy od Wielkiego Piątku, bo wtedy na obiad dają choć grzane piwo i śledzie z kartoflami, nie wodziankę.

Podnosiłem do ust łyżkę, kiedy nagle zatrzęsł się dom od huku bez porównania gwałtowniejszego niż dotychczas; zdawało się, że występują jakieś nowe potęgi. Aż pochyliłem się na stół, a przerażona niańka krzycząc zaczęła biegać po pokoju. Byłem pewny, że już za naszym ogrodem rozlegają się te częste i ogromne wystrzały.

Niańka zupełnie straciła przytomność. Wydobyła z komody kilka srebrnych łyżek i zawinęła je w fartuch, a potem mnie zaczęła ciągnąć za rękę wołając:

- Chodź do lochu, bo tu śmierć!... Zabijają ciebie i mnie... zabijają wszystkich... słyszysz!...

Wyrwałem się jej, a starowina wybiegła z pokoju modląc się głośno.

Łoskot był tak straszny, jak gdyby waliło się miasto. Gorąco uderzyło mi do głowy, a potem uczułem spokój, jakbym skamieniał. Bez obawy spojrzałem w kierunku łąk i nie zobaczyłem nic.

W tej chwili przybiegła do nas zapłakana pani Stachurska, z krzykiem dopytując się o mamę:

- Niech no pani pójdzie na miasto! - wołała. - Wszyscy powariowali... wszyscy przez nich zginiemy!...

Chciałem i ja iść, ale mama kazała mi zostać w domu, a sama wyszła ku rynkowi.

W domu nie było nikogo. Parobek z najmłodszą dziewczką wleźli na stodołę, aby patrzeć, a kucharka z niańką ukryły się w lodowni.

- Bywaj!... Pali się!... - krzyczano na ulicy.

Nie pamiętam, jak i kiedy znalazłem się znowu na górcie. Od strony lasu szeroką falą płynęło ku nam gęste trzaskanie, co chwilę przerywane wielkimi łoskotami. Zdawało się, że przy najpogodniejszym dniu biją pioruny. Padł jeden, potem dwa, znowu jeden - trzy - pauza - i znowu dwa...

Spoza lasu wznosił się słup dymu. Stał wysoko nad drzewami i począł rozciągać się na prawo i na lewo, podobny do grzyba na czarnej nodze, w rudym kapeluszu. Z ugoru pędem uciekało bydło; na niektórych podwórzach psy zaczęły wyc i szczekać. Od kościoła rozległ się głos dzwonu, przyspieszony, urywany, jak na pożar, kiedy serce uderza tylko w jedną krawędź. Dzwonił kilka chwil bez przerwy, nagle ustał i jeszcze odezwał się parę razy, jak gdyby ktoś przeszkadzał

dzwonnikowi i gwałtem odrywał go od sznura.

Spojrzałem ku miastu. Na wielu dachach siedzieli ludzie, z domów wynoszono pościel i skrzynie. Na rynku Żydzi skupili się około magistratu, garstka kobiet klęczała przed figurą świętego Jana, a na środku widać było dziwną scenę.

Tłum mieszczan, między nimi pan Stachurski, szewc, i pan Władziński, wędliniarz, spierali się o coś z panem burmistrzem, panem Dobrzańskim i moją mamą. Widocznie chcieli iść ku gościńcowi, ale tam proboszcz zastąpił im drogę. Kilku siadło na wóz, który ruszył; ale pan Dobrzański uwiesił się przy lejcach i tak skręcił konie, że wóz wywrócił się.

Wtedy piesza gromada posunęła się naprzód. Gwałtem odepchnęli proboszcza, obalili burmistrza i wołając poczęli biec gościńcem. Ich krzyk mieszał się z łoskotem i trzaskiem od strony lasu, tworząc jedną burzę, od której zaczęły pękać szyby w oknach.

Nagle przeciągły łoskot ustał. Po chwili jeszcze kilka razy odezwał się huk bliżej i dalej, a potem - cisza, jak gdyby świat oniemiał...

Gromada biegnących mieszczan stanęła przysłuchując się. Wtem z jednego dachu ktoś krzyknął, nie wiem nawet co, i - cały dum, przed chwilą tak niepohamowany, począł teraz uciekać. W kilka minut nie było już nikogo ani w rynku, ani na ulicy, ani na dachach.

Nad wieczorem część nieba zaciągnęła się chmurami i spadł rześisty deszcz. Ponieważ w kilku oknach brakowało szyb, więc mama kazała zamknąć okiennice. Czeladź zebrawszy się w kuchni opowiadała o minionych wypadkach, a my z mamą siedzieliśmy na kanapce, w ciemnym pokoju, do którego przez otwory okiennic wpadało purpurowe światło zachodzącego słońca.

Oboje milczeliśmy. Mama była znużoną i przymknąwszy oczy oparła głowę na krawędzi kanapy; ja wpadłem w jakieś odrętwienie. Przysłuchując się obecnej ciszy na próżno usiłowałem ożywić sobie w pamięci to, com widział i słyszał tak niedawno.

Chwilami myślałem, że wszystko było przywidzeniem. I znowu zdawało mi się, że czerwone smugi na ścianach to odbłask krwi przelanej niedaleko od nas.

Na ulicy rozległ się tętent i szcęk, jakby kilku konnych przyleciało galopem w stronę miasta. Podniosłem głowę i... znowu usłyszałem ten sam co w nocy szelest ludzkich nóg, ciężko toczące się wozy i uderzenia niezliczonych kopyt końskich. Nad tym wszystkim górował szmer głosów, jakby rozmawiały tysiące; czasami zerwał się śmiech albo gniewny okrzyk.

Hucząca fala stopniowo zbliżała się do miasta. Już dosięga opłotków, już mija stodoły, już jest przy naszym domu. Wtem rozległ się donośny głos komendy, wielokrotnie powtórzony przez jakieś echa, i - szmer ucichł... I oto dom znowu zatrzęsł się od posad do strychu. Zagwizdały piszczałki, zawarczały bębny i z tysiąca piersi wybuchła pieśń. Można było pomyśleć, że nieznanne siły przyrody stargawszy wędzidła rwą się i pędzą w szalonych skokach - to znowu, że biadają wszystkie jesienne wichry albo że z nieba runęła na ziemię burza i toczy się zapieniona i potężna.

Czasami chór milknął, a wtedy słysząc było ostry głos zawodzący dyszkantem i niecierpliwe tętnienie bębna. Wnet zrywał się nowy uragan, walił we drzwi i okna domów, natrzasał się z bólów ludzkich, kopał ziemię i rozbijał o niebo. Zdawało mi się w krwawym zmroku, jaki napelniał pokój, że zawieszona na ścianach drżą święte obrazy i patrzą na mnie zdziwionymi oczyma.

Nie mogłem wytrzymać tych spojrzeń ani tamtych głosów. Przypadłem do kolan matki, owinałem głowę jej fartuchem, zatkałem uszy i sam nie wiem dlaczego, zapłakałem z głębi serca łzami gorzkimi jak piołun.

Późno wieczorem przyszedł do nas pan Dobrzański. Wyglądał bardzo źle, może przy skąpym blasku łojowej świecy. W ciągu kilku godzin schudła mu twarz, włosy najeżyły się. Z początku milczał zwiesiwszy głowę na piersi; spostrzegł jednak, - że mama jest niezwykle smutną i zaczął

opowiadać nowiny głosem apatycznym i ochryplym.

Dowiedzieliśmy się, że wojsko od godziny wyszło z miasta, że pani majorowa jest chora, a pan pocztmajster, który przez swoją lunetę nic nie widział z dzwonnicy, pokłócił się z żoną o to, że nie pozwoliła mu wyjechać i na miejscu przypatrywać się bitwie.

Osobliwe też były dzieje pana kasjera. Pod koniec bitwy stracił on wszelką przytomność i chciał przebrać się albo za Żyda, albo za kobietę. Gdy zaś pan Stachurski z panem Władzińskim zaczęli dzwonić na trwogę, co przerwał im ksiądz proboszcz z organistą, pan kasjer schował się w magistracie do piwnicy. Dopiero gdy wszystko ucichło, wyszedł z ukrycia twierdząc z najlepszą miną, że on tylko na żarty udawał przestraszonego.

Lecz i tym razem niedługo trwał jego dobry humor. Któryś z mieszczan dał znać, że idzie wojsko, a pan kasjer tak się zmieszał, że uciekł z miasta i nie ma go do tej pory.

- Gdzie on może być? - spytała mama.

- Widzieli go, że biegł w tę stronę, za ogród pani. Zapewne siedzi w parowie i prześpi w nim całą noc.

- To chory człowiek - rzekła mama wzruszając ramionami. Nauczyciel kiwnął ręką.

- To jest osioł i strachopłoch, który chce udawać bohatera. Z obawy przed jedną stroną wyzebrał sobie jakąś nominacją, a ta znowu spać mu nie daje. Wyobraża sobie, że jest znakomitością i że tylko jego ścigają; więc chowa się po piwnicach i jarach. Słaba głowa, słabe serce i pycha to najniebezpieczniejszy rodzaj ludzi - dodał nauczyciel, jakby do siebie.

Ostatnie wyrazy ukłuły mnie. Zdawało mi się, że słyszę w nich groźbę nowych nieszczęść, gorszych aniżeli wszystko, com widział dotychczas.

Było już późno, i pan Dobrzański parę razy chciał pożegnać się z nami. Ale mama zatrzymywała go.

- Zostań pan jeszcze chwilę - mówiła. - W dzień ukrzepiłam się jako tako, ale teraz jestem tak rozstrojona, że wszystko mnie przeraża. Posiedź pan...

I nauczyciel siedział.

Zegar wykukał jedynastą i świeca już się dopalała, kiedy usłyszeliśmy na ganku czyjeś kroki.

- Pewnie kasjer wraca ze spaceru - mruknął pan Dobrzański. Otworzyły się drzwi i ukazał się - człowiek z pustej chaty.

Kiedy przestąpił próg i podniósł białą głowę, zdawało się, że stoi olbrzym.

- Niech będzie pochwalony - rzekł.

Nikt mu nie odpowiedział. Jego przyście do nas po takim dniu i o takiej porze było czymś nadzwyczajnym.

On długą chwilę patrzył w twarz panu Dobrzańskiemu, który spuścił oczy. Następnie zwrócił się do mamy:

- Przyprowadziłem pani gościa - rzekł łagodnym tonem. Myślałem, że chyba mój ojciec wstał z grobu i przyszedł z tym człowiekiem-upiorem. Mama chciała coś odpowiedzieć, ale tylko otworzyła usta i patrzyła zdumiona. W ciemnej sieni ktoś stał.

- Gość jest trochę... niezdrów, ale to nic wielkiego - mówił siwy człowiek. - Jest raniony, ale...

- Władek!... - krzyknęła mama, z rozkrzyżowanymi rękoma rzucając się do sieni.

- Ja, mammo!... - odpowiedział mój brat.

Gdy wszedł do pokoju, zobaczyłem, że ma głowę i lewą rękę owiniętą w szmaty.

Mama chciała go porwać w objęcia, ale nagle padła na kolana i objęła go za nogi.

- Moje dziecko... moja dziecina... - szeptała. - Ty żyjesz?... tyś ranny... O, com ja tu wycierpiała tęskniąc za tobą... Ty żyjesz?... Teraz już nie puszcę cię z domu, niech się dzieje, co chce... Nie

cierpię wojny, nienawidzę!... dzisiejszy dzień zabrał mi całe życie.

- Co mama robi?... - mówił brat, na próżno usiłując jedną ręką podnieść ją z ziemi.

Siwy człowiek dotknął ramienia mamy.

- Niech mu pani pozwoli odpocząć - rzekł. - On jest zmęczony.

Mama wyprostowała się jak sprężyna.

- Prawda, on zmęczony...

Ale znowu pochwyciła zdrową rękę brata i zaczęła ją całować.

- Mamo!... mamo!... - mówił brat cofając się. Ale było widać, że nie ma sił.

Wtedy stary człowiek delikatnie odsunął mamę, wziął brata w pól i zaprowadził go na kanapę.

- Niech mu pani da kielich wódki - rzekł do mamy - bo on tego potrzebuje, a w mojej chacie nie było...

Pan Dobrzański pobiegł do szafy, nalał wódkę i podał bratu. Władek wypił duszkiem.

- Już mi dobrze!... - powiedział. - Już o mnie nie myślcie... Jestem lekarzem i znam się na takich skaleczeniach. Za miesiąc będę zdrow...

- Ale już nie pójdziesz nigdzie!... - zawołała mama... - Naturalnie - odparł ze słabym uśmiechem, spoglądając na swoją rękę.

- Mamo - dodał po chwili, wskazując na siwego człowieka - podziękuj mu. Kiedym niedaleko jarów upadł ścigany, on mnie podniósł, zaprowadził do swojej chaty i - nie rozumiem nawet jakim sposobem - ocalił. Naraził się na oczywistą śmierć, bo żołnierze stali pode drzwiami i wołali: "On tu musi być!" Chyba cud zrobił, że odeszli...

Wszyscy zwróciliśmy oczy na siwego człowieka, a on odparł:

- Cud nie był trudny. Powiedziałem oficerowi: "Do mnie nikt nie przyjdzie ukryć się, bo mnie nazywają szpiegiem..." Oficer mruknął: "Łajdak!" - i natychmiast cofnął żołnierzy. Bał się widać, aby który z nich nie dotknął mego progu...

Taki cud zrobiłem - dodał potrząsając głową.

- Bóg policzy ci to za dawne winy - głucho odezwał się nauczyciel.

Starzec nagle wyprostował się.

- Winy?... - spytał, bystro patrząc na pana Dobrzańskiego. - Od piętnastu lat dźwigam ciężar jakiejś winy, ale może dopiero ty, dawny kamracie, powiesz mi: com ja komu zawinił?

Służyliśmy razem, pamiętasz? Odznaczyliśmy się jednakowo... A kiedy wyszliśmy z kraju, cierpiałem nędzę gorszą niż dziesięciu takich jak ty... Powiedźże teraz: na jakiej zasadzie - ty - robisz się moim spowiednikiem i obiecujesz mi odpuszczenie win?... Jakich?... Nazwij człowieka pomiędzy żywych czy umarłych, który by jedna łzę uronił z mego powodu?... Nie zważaj na tych świadków - dodał wskazując na matkę i brata. - Owszem, niech dowiedzą się, co myśleć o mnie... Nauczyciel wystąpił krok naprzód.

- Prawda - odparł - służyliśmy razem. Byłeś waleczny i zdolny. Ale na emigracji szatan cię opętał...

- No, i cóż zrobił ze mną ten szatan?

- Siałeś niezgodę... osłabiałeś ducha...

- A tak - westchnął starzec. - Ja osłabiałem, ale za to wy umacnialiście go. Zaręczaliście, że pomogą Francuzi; ja twierdziłem, że nie pomogą. Czy pomogli?... Wierzyliście w ruch piętnastu milionów chłopów, a ja nie wierzyłem. Gdzie dzisiaj są te miliony?... Dowodziliście, że rękami weźmiecie karabiny, a karabinami armaty, a ja was przekonywałem, że sto karabinów znaczy więcej aniżeli tysiąc gołych rąk. Zakrzyczeliście mnie. A teraz - masz odpowiedź!...

I wskazał krwawe piętna chustki, którą brat miał związane czoło.

Nauczyciel spuścił głowę. Matka przytulona do brata drżała, a mnie zdawało się, że między dwoma starcami odbywa się jakiś wielki sąd.

- I to nazywa się zdradą? - mówił gość z uniesieniem. - Wypowiadać swoje przekonania jest obowiązkiem obywatelskim i dopiero wy zrobiliście z tego występki. Powiesz, że niezgadanie się z wolą ogółu psuje karność publiczną; ale czy to wy byliście ogółem? Byliście partią i ja partią, a przecież ja was nie nazywałem zdrajcami.

- Różnica zdań to bagatela - mruknął nauczyciel. - Chociaż zniechęciła ona do ciebie ludzkie serca.

- Bagatela? - powtórzył gość. - A jednak na tej zasadzie odsunęliście się ode mnie na emigracji, a gdy wróciłem do kraju - nazwaliście szpiegiem...

- Nie na tej...

Stary człowiek cofnął się i zaciskając pięści wykrzyknął:

- Nie na tej? Więc na jakiej? Jak ty śmiesz teraz jeszcze kopać mnie - nędzarza, którego już zabiliście moralnie?... Wszakże ja ciebie rannego z placu uniosłem... W Paryżu dzieliłem się z tobą chlebem. I tak mi płacisz?...

- Prawda - rzekł nauczyciel - wspierałeś nas, nawet hojnie... Ale... skąd miałeś pieniądze?... - dodał prawie szeptem.

Gość nagle ochłonął z uniesienia. Uderzył się w czoło, jakby coś przypominając sobie.

- Żołdu nie brałeś - mówił nauczyciel.

- Mieszkałem z daleka od wszystkich i nikogo nie przyjmowałem. Czy tak?... - pochwycił stary człowiek z szyderczym uśmiechem.

- Tak, wystrzegaliście się nas. Ale pomimo to... wiadano, że masz parę mieszkań, że w domu nie nocujesz, że nawet przebierasz się za wyrobnika.

Starzec śmiał się gorzko.

- Więc śledziliście mnie?... Nie wiedziałem!... I żaden mnie nie ostrzegł, żaden nie spytał, co robię?... nawet ci, którzy korzystali z podejrzanych pieniędzy...

- Wiesz, że przestaliśmy z nich korzystać.

- Wiem. I zaraz awansowaliście mnie na zdrajcę! Zbliżył się do nauczyciela i poklepał go po ramieniu.

- Ale czy wiesz, skąd ja nie biorąc waszego żołdu miałem jednak pieniądze?... Pracowałem, panie Dobrzański, pracowałem ciężko po nocach... Umiejąc tylko musztrę, aby nie umrzeć z głodu, zostałem - gałganiarzem.

Nauczyciel patrzył na niego z oznakami przerażenia.

- No, i musiałem kryć się przed wami - mówił starzec. - Bo cóż byście powiedzieli dowiedziawszy się, że wasz kolega i kapitan nocami przetrząsa śmietniki... Nie wierzysz?... Wstąp kiedy do mojej chałupy, to pokażę ci pamiątki z Paryża: bilety roczne na prawo zbierania gałganów. Mam nawet dowód, że kiedyś znalazłem kolczyk brylantowy, za który dano mi tysiąc franków. Może i teraz powiesz - szydził starzec - że słusznie nazwany zdrajcą, bom poniżył rangę? Naturalnie, podniósłbym ją biorąc żołd i głosując z wami razem za wojnę!...

- Straszna omyłka! - szepnął mój brat. Nauczyciel był bardzo zmieniony...

- Oburzały mnie twoje zdania - rzekł - ale... nie ja rozpuszczałem wieści o tobie, przysięgam na Boga!... - dodał uderzając się w piersi. - Owszem, broniłem cię wobec innych...

Władek wyciągnął rękę do starca.

- Panie - rzekł dławiąc się wyrazami - swoją drogą zrobię wszystko, aby ci powetować krzywdę. Ludzie dowiedzą się, że cierpiełeś niesłusznie.

Stary człowiek smutnie pokiwał głową.

- Nie zapomną mi inni, nawet ty sam, że jak mówi Dobrzański, osłabiałem ducha... Miałem czas zastanowić się nad moim położeniem. Rozsądek przepowiadający klęskę jest jak puszczyk na cmentarzu, który woła: "Nie wstaniesz!..." Taki głos jest zawsze nienawistny. A im dokładniej spełni się przepowiednia, tym większa niechęć do proroka... Dlatego - dodał po chwili - już nie spodziewam się ludzkiej życzliwości. Przeszaną mnie nazywać zdrajcą, a zaczną wołać: "Patrzcie, to ten zły wieszczek, który widział niebezpieczeństwo i nie zaradził!" Świat nie pyta, cośmy mówili, ale - czyśmy zapobiegli nieszczęściu? Tego już nie umiałem zrobić.

Umilkł, a my odetchnęliśmy, bo każde jego słowo padało nam na duszę jak kamień.

Nagle pan Dobrzański zbliżył się do starego człowieka. Objął go rękoma za szyję i ze łkaniem oparł głowę na jego piersi. Mama całowała brata szepcząc: "Moje dziecko!... moje dziecko!...", a ja - już nic więcej nie widziałem, bo oczy zasły mi łzami.

Po chwili odezwał się starzec:

- Czas do domu. Bądźcie zdrowi!

- Chodź do mnie-prosił ściskając go za rękę pan Dobrzański. Starzec uśmiechnął się.

- Oto zrobiłbym ci przysługę!... Jeszcze zaczęliby o tobie mówić to samo co o mnie... Bądźcie zdrowi - dodał podając rękę bratu.

- Panie - rzekła mama - panie... niech cię Bóg błogosławi... Odwiedzaj nas i pamiętaj, żeś znalazł wiernych przyjaciół... Czegokolwiek będziesz potrzebował, odwołaj się do nas... Rano i w wieczór modlić się będziemy za ciebie...

Uklonił się nisko i odpowiedział ode drzwi:

- Jeżeli pozyskałem waszą łaskę, proście Boga, ażeby mi śmierć zesłał. Oto, czego żądam.

I z wolna wyszedł z pokoju.

Teraz wszyscy zajęli się Władkiem. Niania sprowadziła felczera, który opatrzył mu rany, a do saloniku wniesiono łóżko i kanapę dla nauczyciela. Ten bowiem oświadczył, że będzie pilnował rannego, dopóki nie odzyska sił.

Noc zesłała niespokojnie. Władek niewiele spał, nauczyciel wcale się nie rozbierał, ja miałem trochę gorączki, a mama po kolei zaglądała to do mnie, to do brata. Dopiero po wschodzie słońca zmorzył nas sen tak, że wstaliśmy około dziesiątej.

Brat nie miał się źle, ale dokuczały mu świeże rany, i mówił, że jest rozbity ze znużenia. Istotnie, z trudnością poprawiał się na łóżku, sykając niekiedy z bólu.

Mama ukradkiem ocierała oczy; pomimo to dawno nie była tak rzeźwą jak dzisiaj. Wszystko ją interesowało, zaglądała do każdego kąta, nawet głos jej odzyskał siłę i dźwięczność.

Dzień był pochmurny i zimny. Na polach rozścielała się mgła; co godzinę padał deszcz, drobny jak rosa; powietrze było surowe. Zdawało się, że to nie maj, ale październik.

W sieni usłyszałem wycieranie nóg i głos pana kasjera. Po chwili weszła do saloniku mama.

- Kasjer - szepnęła do brata - chce cię przywitać. Czy można?...

- Ale bardzo proszę - odparł Władek. - Nawykłem do licznego towarzystwa i po prostu boję się tego, że dziś widzę tylko parę osób.

- Nie zmęczy cię?

- Przeciwnie, rozweseli...

- Gdy zaczniesz kłamać - mruknął nauczyciel.

Wszedł pan kasjer z zadartą głową i taką miną jak gdyby czegoś wielkiego dokazał. Zbliżył się do Władka i mocno targnąwszy go za rękę rzekł uroczyście te wyrazy:

- Czołem bohaterowi!

Brat mój, który miał wstręt do pozowania, skrzywił się na taki komplement. Spostrzegła to mama i szybko zwróciła się do kasjera z pytaniem:

- Gdzież to pan był dziś w nocy?

- Pamiętna noc - westchnął kasjer rozwalając się w fotelu. - Nie zapomnę jej, choćbym żył milion lat.

Pan Dobrzański wydał głos środkujący między śmiechem i kaszaniem. Kasjer spojrział na niego spod oka i w znaczący sposób ruszył brwiami.

- Cóż to było? - pochwyciła mama.

- Opowiem państwu, bo to, co mi się trafiło, wygląda na wyjątek z historii Rinaldiniego. Nadzwyczajne wypadki - i tragiczne... Bardzo tragiczne!...

Poprawił się na fotelu, odchrząknął i mówił:

- Otóż przekonałem się na swoje własne oczy, że nasz pustelnik, ten zza olszyny, jest rzeczywistym szpiegiem... I to bardzo niebezpiecznym...

Pan Dobrzański podniósł się z krzesła, ale Władek mrugnął na niego.

- Z ukrycia - ciągnął kasjer - widziałem, jak do jego chaty wstępował oficer z kilkoma żołnierzami i długo z nim rozmawiał. Ale to nic. Widziałem go bowiem drugi raz, jak, dobrze po pomocy, wracał z miasta. Byłem pewny, że znowu chodził porozumiewać się z wojskiem...

- Wojska już nie było - wtrącił gniewnie nauczyciel. Lecz mama spojrzała, i umilkł.

- Nie jestem obowiązany wiedzieć o tym, czy wojsko było lub nie - odparł kasjer rozdrażnionym tonem. - Dla mnie wystarcza, że widział szpiega, który idzie tam, gdzie spodziewa się znaleźć wojsko.

Brat niespokojnie poprawił się na łóżku i słuchał.

- Com przebył w tych jarach przez całą noc, trudno opisać - mówił kasjer. - Dostyc, gdy powiem, że za każdym krzakiem widziałem co najmniej dwu nieboszczyków...

- To nerwowe - odezwał się brat przygryzając usta.

- To jeszcze nic. Widma były, znikły, i basta. Ale nad ranem zdarzyła się gorsza rzecz: otoczyło mnie kilkunastu zbrojnych...

"Kto panowie jesteście?" - pytam.

"My, widzisz, kim jesteśmy - odpowiedział jeden - ale kto ty jesteś i co tu robisz?..."

Naturalnie powiedziałem, że ukrywam się, i pokazałem moją nominację... Co za szczęście, że jej nie połknął! - dodał patrząc na mamę.

- Ubyłby pomocnik pomocnika naczelnika parafii - mruknął pan Dobrzański. Jednocześnie zamknął oko i skrzywił się w sposób mało poważny.

Kasjer odwrócił się od niego wraz z fotelem.

- Pokazałem moją nominację - powtórzył - no i zaczęliśmy gawędę.

"Przegraliśmy na łeb i na szyję!" - mówił jeden ze zbrojnych. " Jakże nie mieliście przegrać - odpowiedziałem - jeżeli tu pod miastem siedzi szpieg."

I powtórzyłem wszystko, com widział i słyszał. Byli rozwścieczeni.

Brat z oznakami wzruszenia usiadł na pościeli. Pan Dobrzański wstał z krzesła i słuchał z szeroko otwartymi oczyma.

- No i cóż?... - spytał Władek.

- Ano i cóż... - roześmiał się pan kasjer. - Powiesili...

- Co?! - krzyknął nauczyciel.

- Powiesili starego szpiega...

- Jezus! Maria!... - jęknęła mama i schwyciwszy się oburącz za głowę wybiegła z saloniku.

- Człowieku - zawołał mój brat - ależ ten starzec niewinny!... Kasjer zbladł.

- Miałżebym się omylić?... - szepnął kasjer. - Ale dlaczegoż on o tym nie powiedział, dlaczego nic nie chciał mówić?... Dlaczego wreszcie pan Dobrzański, który go podobno znał, nigdy go nie bronił?...

Nauczyciel chrząknął jakby pchnięty nożem, a w oczach błysnął mu niedobry płomień. Przyskoczył do kasjera i podniósł rękę chcąc go uderzyć, ale zastanowił się i schwycił go za kołnierz.

- Podły!... - mówił, strasznie patrząc na niego. -Podły!... bij się ze mną albo... nogami cię zdeptę!...

- Dobrze! - odparł zuchwale kasjer, z wielką siłą wydzierając mu się z rąk. - Dobrze!... będę się z panem bił za takie zniewagi...

- Tu... w olszynie będziesz się bil!... - mruczał nauczyciel i przypadł do brata.

- Władku - zawołał - wstawaj!... Zbierz na kilka minut- siły i wyjdź z nami.

Nagle odwrócił się - kasjera nie było w pokoju.

- O, nie uciekniesz! - roześmiał się. Pochwycił kij i czapkę i wyszedł na ulicę tak silnym krokiem, jak gdyby mu ze trzydzieści lat ubyło.

- Gdzie mama, Antku? - spytał brat. - Idź za mamą... Idź zaraz!... - dodał niespokojnie.

Na podwórzu nie było mamy, ale powiedziano mi, że poszła do ogrodu. W ogrodzie także jej nie było, lecz gdy zbiegłem na dół, zobaczyłem, że przez łąkę idzie w stronę jaru. Dopędziłem ją.

- Dobrze, że tu jesteś - rzekła matka dysząc ze zmęczenia. Mocno ujęła mnie za rękę i tak szliśmy oboje w kierunku pustej chaty. Deszcz padał, mgła zgęstniała jeszcze bardziej. Przy pochmurnym dniu ledwie mogłem rozpoznać wąwozy i krzaki, między » którymi niegdyś wymykałem się do pustelni nieszczęśliwego starca. Serce ścisnęło mi się, kiedym przypomniał sobie te słoneczne dni, te roje ptaków i siebie samego, jak z ręką na pałaszu podkradałem się - o, tu...

Usłyszeliśmy szmer znajomego mi potoku i nagle zatrzymaliśmy się oboje. Ktoś prędko szedł ku nam. Kamyki staczały się ze wzgórza, a tuż za nimi ukazał się ów chłopiec, który służył u starca i odprowadził go od nas wtedy, w czasie zawiei.

Chłopak był ubrany w połataną koszulę i podarte majtki. Nie miał ani butów, ani czapki. Poznał nas z daleka i wołał:

- To pani idzie?... Pani!...

- Gdzie twój pan? - zapytała mama. Chłopiec pokazał ręką na wysychające drzewo.

- Oho! - odparł zacinając się - poszedł stary... poszedł na dyndus!...

I obtarł czerwone oczy wielkimi, brudnymi pięściami.

- Widzi pani ten stryk?... - dodał wskazując na kawałek powroza zwieszający się z gałęzi.

Matka ze zgrozą odwróciła oczy i usiadła na kamieniu. Odpocząwszy długą chwilę spytała:

- Gdzież jest?...

- Stary? - rzekł chłopak. - Stary leży w izbie. Zdjąłem goładnie, zaniósłem jak się patrzy...

- Dosyc!... - przerwała matka i poczęła z trudnością wstępować na wzgórze.

Od tej pory, kiedym ją z bliska widział, chata skurczyła się jeszcze bardziej i zapadła w ziemię. Słomiany daszek zgnił, drzwi oberwane trzymały się tylko jednej zawiasy, ściany były pełne szpar.

Mama zatrzymała się u progu. Na twarzy jej ukazał się wyraz takiego żalu i trwogi, że byłem pewny, iż ucieknie nie zajrzawszy do wnętrza chaty. Wnet jednak przemogła się i weszliśmy.

Na klepisku w sionce połyskiwała kałuża ciemnej wody. Chłopiec stanął przy drzwiach na lewo i otworzył je z ciężkim zgrzytem.

Przy skąpym świetle, które zaglądało tu przez kilka szybek, zobaczyłem nędzną izdebkę z

walącym się piecem. Był w niej pień, ława, stół ze zmurszałych desek i na pozór - nic więcej, i

Chłopak milcząc wskazał ręką w kąt, gdzie na ziemi leżał jakiś długi, szary przedmiot.

Mama uklękła i zasłoniwszy oczy zaczęła szeptać pacierz.

Stopniowo mój wzrok oswoił się z brakiem światła w izbie. Wtedy zobaczyłem, że pod ścianą leży człowiek zakryty czarną płachtą. Twarde jej fałdy ułożyły się w taki sposób, że można było poznać głowę mocno zgiętą na piersi i trochę wzniesiony łokieć lewej ręki.

Prawa ręka opadła na ziemię i spod płachty wysunęły się blade palce z niebieskawymi paznogciami.

"Wieczne odpoczywanie racz mu dać. Panie..." - szeptała matka.

"Wieczne odpoczywanie..." - powtórzyłem.

Potem na klęczkach zbliżyłem się do zwłok i pobożnie ucałowałem rękę, która mi ocaliła brata.

Dziś za miastem już nie ma samotnej chaty. Ale potok szemrze jak dawniej, na wzgórzach latem pachną wrzosa, a w wąwozach rozlegają się radosne śpiewy ptaków.

Nad źródłem stoi czarny ze starości krzyż, na którym jeszcze można wyczytać: **...światłość wiekuista...** Resztę mchy zatarły. Gdzieniegdzie widać rdzawe, osobliwych form piętna, jak gdyby w tym miejscu, przed laty, nawet drzewo krwawymi łzami płakało.

Z LEGEND DAWNEGO EGIPTU

Patrzcie, jak marne są ludzkie nadzieje wobec porządku świata; patrzcie, jak marne są wobec wyroków, które ognistymi znakami wypisał na niebie Przedwieczny!...

Stuletni Ramzes, potężny władca Egiptu, dogorywał. Na pierś mocarza, przed którego głosem pół wieku drżały miliony, padła dusząca zmora i wypijała mu krew z serca, siłę z ramienia, a chwilami nawet przytomność z mózgu. Leżał, jak powalony cedr, wielki faraon na skórze indyjskiego tygrysa, okrywszy nogi triumfalnym płaszczem króla Etiopów. A surowy nawet dla siebie, zawołał najmędrszego lekarza ze świątyni w Karnaku i rzekł:

- Wiem, że znasz tęgie lekarstwa, które albo zabijają, albo od razu leczą. Przyrządź mi jedno z nich, właściwe mojej chorobie, i niech mi się to raz skończy... tak albo owak.

Lekarz wahał się.

- Pomyśl, Ramzesie - szepnął - że od chwili twego zstąpienia z wysokich niebios Nil wylewał już sto razy; mogeż ci zadać lekarstwo, niepewne nawet dla najmłodszego z twoich wojowników?

Ramzes aż usiadł na łożu.

- Muszę być bardzo chory - zawołał - kiedy ty, kapłanie, ośmielasz się dawać mi rady! Milcz i spełnij, com kazał. Żyje przecież trzydziestoletni wnuk mój i następca, Horus. Egipt zaś nie może mieć władcy, który by nie dosiadł wozu i nie dźwignął oszczepu.

Gdy kapłan drżącą ręką podał mu straszne lekarstwo, Ramzes wypił je, jak spragniony pije kubek wody; potem zawołał do siebie najśłynniejszego astrologa z Tebów i kazał szczerze opowiedzieć, co tam pokazują gwiazdy.

- Saturn połączył się z księżycem - odparł mędrzec - co zapowiada śmierć członka twojej dynastii, Ramzesie. Złe zrobiłeś pijąc dzisiaj lekarstwo, bo puste są ludzkie plany wobec wyroków, które na niebie zapisuje Przedwieczny.

- Naturalnie, że gwiazdy zapowiedziały moją śmierć - odparł Ramzes. - I kiedyż to może nastąpić? - zwrócił się do lekarza.

- Przed wschodem słońca, Ramzesie, albo będziesz zdrow jak nosorożec, albo twój święty pierścień znajdzie się na ręku Horusa.

- Zaprowadźcie - rzekł Ramzes cichnącym już głosem - Horusa do sali faraonów; niech tam czeka na moje ostatnie słowa i na pierścień, ażeby w sprawowaniu władzy ani na chwilę nie było przerwy.

Zapłakał Horus (miał on serce pełne litości) nad bliską śmiercią dziada; ale że w sprawowaniu władzy nie mogło być przerwy, więc poszedł do sali faraonów, otoczony liczną zgrają służby.

Usiadł na ganku, którego marmurowe schody biegły w dół, aż do rzeki, i pełen nieokreślonych smutków przypatrywał się okolicy.

Właśnie księżyc, przy którym tliła się złowroga gwiazda Saturn, złościł spizowe wody Nilu, na łąkach i ogrodach malował cienie olbrzymich piramid i na kilka mil wokoło oświetlał całą dolinę. Mimo późnej nocy w chatach i gmachach płonęły lampy, a ludność pod otwarte niebo wyszła z domów. Po Nilu snuły się łódki, gęsto, jak w dzień świąteczny; w palmowych lasach, nad brzegami wody, na rynkach, na ulicach i obok pałacu Ramzesa falował niezliczony tłum. A mimo to była cisza taka, że do Horusa dolatywał szmer wodnej trzciny i jękliwe wycie szukających żeru hien.

- Czemu oni tak się gromadzą? - spytał Horus jednego z dworzan, wskazując na niezmierzone łany głów ludzkich.

- Chcą w tobie, panie, przywitać nowego faraona i z twoich ust usłyszeć o dobrodziejstwach, jakie im przeczynałeś.

W tej chwili pierwszy raz o serce księcia uderzyła duma wielkości, jak o stromy brzeg uderza nadbiegające morze.

- A tamte światła co znaczą? - pytał dalej Horus.

- Kapłani poszli do grobu twojej matki, Zefory, ażeby zwłoki jej przenieść do faraonских katakumb.

W sercu Horusa na nowo wzbudził się żal po matce, której szczątki - za miłosierdzie okazywane niewolnikom - srogi Ramzes pogrzebał między niewolnikami.

- Słyszę rżenie koni - rzekł Horus nasłuchując. - Kto wyjeżdża o tej godzinie?

- Kanclerz, panie, kazał przygotować gońców po twojego nauczyciela, Jetrona.

Horus westchnął na wspomnienie ukochanego przyjaciela, którego Ramzes wygnał z kraju za to, że w duszy wnuka i następcy szczepił odrazę do wojen, a litość dla uciśnionego ludu.

- A tamto światółko za Nilem?...

- Tamtym światłem, o Horusie! - odparł dworzanin - pozdrawia cię z klasztornej więzienia wierna Berenika. Już arcykapłan wysłał po nią łódź faraonską; a gdy święty pierścień błysnie na twojej ręce, otworzą się ciężkie drzwi klasztorne i powróci do ciebie, stęskniona i kochająca.

Usłyszawszy takie słowa Horus już o nic nie pytał; umilkł i zakrył oczy ręką.

Nagle syknął z bólu.

- Co ci jest, Horusie?

- Pszczoła ukąsiła mnie w nogę - odparł pobladły książę. Dworzanin przy zielonawym blasku księżycyca obejrzał mu nogę.

- Podziękuj Ozyrysowi - rzekł - że to nie pajak, których jad o tej porze bywa śmiertelny.

O! jakże mamę są ludzkie nadzieje wobec niecofnionych wyroków...

W tej chwili wszedł wódz armii i skłoniwszy się Horusowi powiedział:

- Wielki Ramzes czując, że mu już stygnie ciało, wysłał mnie do ciebie z rozkazem: "Idź do Horusa, bo mnie niedługo na świecie, i spełniaj jego wolę, jak moją spełniałeś. Choćby kazał ci ustąpić górny Egipt Etiopom i zawrzeć z tymi wrogami braterski sojusz, wykonaj to, gdy mój pierścień ujrzyś na jego ręce, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys."

- Nie oddam Egiptu Etiopom - rzekł książę - ale zawrę pokój, bo mi żal krwi mego ludu; napisz zaraz edykt i trzymaj w garści konnych gońców, aby gdy błysną pierwsze ognie na cześć moją, polecieci w stronę południowego słońca i zanieśli łaskę Etiopom. I napisz jeszcze drugi edykt, że od tej godziny aż do końca czasów żadnemu jeńcowi nie ma być wrywany język z ust jego na polu bitwy. Tak powiedziałem...

Wódz upadł na twarz, a potem cofnął się, aby pisać rozkazy; książę zaś polecił dworzaninowi znowu obejrzeć swoją ranę, gdyż bardzo go bolała.

- Trochę spuchła ci noga, Horusie - rzekł dworzanin. - Cóż by się stało, gdyby zamiast pszczoły ukąsił cię pajak!...

Teraz wszedł do sali kanclerz państwa i skłoniwszy się księciu, mówił:

- Potężny Ramzes widząc, że już mu się wzrok zaćmiewa, odesłał mnie do ciebie z rozkazem: "Idź do Horusa i ślepo spełniaj jego wolę. Choćby ci kazał spuścić z łańcucha niewolników, a lud obdarować wszystką ziemią, uczynisz to, gdy zobaczysz na jego ręce mój święty pierścień, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys."

- Tak daleko nie sięga serce moje - rzekł Horus. - Ale zaraz napisz mi edykt, jako ludowi zniża się czynsz dzierżawny i podatki o połowę, a niewolnicy będą mieli trzy dni na tydzień wolne od pracy i bez wyroku sądowego nie będą bici kijem po grzbietach. I jeszcze napisz edykt odwołujący z wygnania mego nauczyciela, Jetrona, który jest najmędrszym i najszlachetniejszym z Egipcjan. r Tak

powiedziałem..

Kanclerz upadł na twarz, lecz nim zdążył cofnąć się dla napisania edyktów, wszedł arcykapłan.

- Horusie - rzekł - lada chwila wielki Ramzes odejdzie do państwa cieniów i serce jego na nieomyślnej szali zważy Ozyrys. Gdy zaś święty pierścień faraonów błysnie na twojej ręce, rozkazuje, a słuchać cię będę, choćbyś obalić miał cudowną świątynię Amona, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys.

- Nie burzyć - odparł Horus - ale wznosić będę nowe świątynie i zwiększać skarbiec kapłański. Żądam tylko, abys napisał edykt o uroczystym przewiezieniu zwłok matki mojej, Zefory, do katakumb i drugi edykt... o uwolnieniu ukochanej Bereniki z klasztornej więzienia. Tak powiedziałem..

- Mądrze poczynasz - odparł arcykapłan. - Do spełnienia tych rozkazów wszystko już przygotowane, a edykty zaraz napiszę; gdy ich dotkniesz pierścieniem faraonów, zapalę tę oto lampę, aby zwiastowała ludowi laski, a twojej Berenice wolność i miłość.

Wszedł najmędrszy lekarz z Karnaku.

- Horusie - rzekł - nie dziwi mnie twoja bladość, gdyż Ramzes, dziad twój, już kona. Nie mógł znieść potęgi lekarstwa, którego mu dać nie chciałem, ten mocarz nad mocarze. Został więc przy nim tylko zastępca arcykapłana, aby gdy umrze, zdjąć święty pierścień z jego ręki i tobie go oddać na znak nieograniczonej władzy. Ale ty bledniesz coraz mocniej, Horusie?... - dodał.

- Obejrzyj mi nogę - jęknął Horus i upadł na złote krzesło, którego poręczce wyrzeźbione były w formę głów jastrzębich. Lekarz ukląkł, obejrzał nogę i cofnął się przerażony.

- Horusie - szepnął - ciebie ukąsił pająk bardzo jadowity.

- Miałżeby umrzeć?... w takiej chwili?... - spytał ledwie dosłyszalnym głosem Horus. A później dodał:

- Prędkoż to może się stać?... powiedz prawdę...

- Nim księżyc schowa się za tę oto palmę...

- Ach, tak!... A Ramzes długo jeszcze żyć będzie?...

- Czy ja wiem?... Może już niosą ci jego pierścień. W tej chwili weszli ministrowie z gotowymi edyktami.

- Kanclerzu! - zawołał Horus chwytając go za rękę - czy . gdybym zaraz umarł, spełnilibyście moje rozkazy?...

- Dożyj, Horusie, wieku twego dziada! - odparł kanclerz. -Lecz gdybyś nawet zaraz po nim stanął przed sądem Ozyrysa, każdy twój edykt będzie wykonany, byleś go dotknął świętym pierścieniem faraonów.

- Pierścieniem! - powtórzył Horus - ale gdzie on jest?...

- Mówił mi jeden z dworzan - szepnął naczelny wódz - że wielki Ramzes już wydaje ostatnie tchnienie.

- Posłałem do mego zastępcy - dodał arcykapłan - aby natychmiast, gdy Ramzesowi serce bić przestanie, zdjął pierścień.

- Dziękuję wam!... - rzekł Horus. - Żal mi... ach, jak żal... Ale przecież nie wszystek umrę... Zostaną po mnie błogosławieństwa, spokój, szczęście ludu i... moja Berenika odzyska wolność... Długo jeszcze?... - spytał lekarza.

- Śmierć jest od ciebie na tysiąc kroków żołnierskiego chodu -odparł smutno lekarz.

- Nie słyszycież, nikt stamtąd nie idzie?... - mówił Horus.

Milczenie.

Księżyc zbliżał się do palmy i już dotknął pierwszych jej liści; mialki piasek cicho szeleścił w klepsydrach.

- Daleko?... - szepnął Horus.

- Osiemset kroków - odparł lekarz - nie wiem, Horusie, czy zdążysz dotknąć wszystkich edyktów świętym pierścieniem, choćby ci go zaraz przynieśli...

- Podajcie mi edykty - rzekł księżę nasłuchując, czy nie biegnie kto z pokojów Ramzesa. - A ty, kapłanie - zwrócił się do lekarza - mów, ile mi życia zostaje, abym mógł zatwierdzić przynajmniej najdroższe mi zlecenia.

- Sześćset kroków - szepnął lekarz. Edykt o zmniejszeniu czynszów ludowi i pracy niewolnikom wypadł z rąk Horusa na ziemię.

- Pięćset...

Edykt o pokoju z Etiopami zsunął się z kolan księcia.

- Nie idzie kto?...

- Czteryście... - odpowiedział lekarz. Horus zamyślił się i... spadł rozkaz o przeniesieniu zwłok Zefory.

- Trzysta...

Ten sam los spotkał edykt o odwołaniu Jetrona z wygnania.

- Dwieście...

Horusowi zsiniły usta. Skurczoną ręką rzucił na ziemię edykt o niewyrywaniu języków wziętym do niewoli jeńcom, a zostawił tylko... rozkaz oswobodzenia Bereniki.

- Sto...

Wśród grobowej ciszy usłyszano stuk sandałów. Do sali wbiegł zastępca arcykapłana. Horus wyciągnął rękę.

- Cud!... - zawołał przybyły. - Wielki Ramzes odzyskał zdrowie... Podniósł się krzepko z łoża i o wschodzie słońca chce jechać na lwy... Ciebie zaś, Horusie, na znak łaski, wzywa, abys mu towarzyszył...

Horus spojrzał gasnącym wzrokiem za Nil, gdzie błyszczało światło w więzieniu Bereniki, i dwie łzy, krwawe łzy, stoczyły mu się po twarzy.

- Nie odpowiadasz, Horusie?... - spytał zdziwiony posłaniec Ramzesa.

- Czyliż nie widzisz, że umarł?... - szepnął najmędrszy lekarz z Karnaku.

Patrzcie tedy, że marne są ludzkie nadzieje wobec wyroków, które Przedwieczny ognistymi znakami wypisuje na niebie.

OPOWIADANIE LEKARZA

Kilkanaście lat tonu garstka "inteligentnych" warszawian zbierała się w pewnej cukierni. Schodziliśmy się nad wieczorem, pijaliśmy kawę i herbatę, jadaliśmy ciastka i lody i naturalnie rozmawialiśmy o wypadkach bieżących. Zebrania te nazywały się "giełdą", albowiem prawie każdy uczestnik przynosił z sobą nowiny i sprzedawał je towarzyszom - za inne nowiny, takiej samej wartości.

- Słyszeliście, że A. przegrał w karty trzy tysiące rubli i nie zapłacił?

- A czy wiecie, że B. zeszedł pana C. na bardzo czulej rozmowie ze swoją żoną?...

- Stare dzieje!... Ciekawe jest to, że pana E. przydybano na kasowych nadużyciach i będzie proces...

Nowin tych między innymi słuchał zazwyczaj milczący lekarz, nazwijmy go - Steckim. Spokojnie oglądał ilustracje i nagle wybuchnął krótkim śmiechem.

"Giełdziarze" umilkli, a jeden z nich, może dotknięty śmiechem, zapytał:

- Cóż się to stało doktorowi?...

- Przypomniałem sobie pewne zdarzenie - odparł Stocki i w dalszym ciągu oglądał drzeworyty.

Śmiech jego zmroził towarzystwo. Przeszono opowiadać sobie "wiadomości giełdowe", a poczęto rozmawiać o pogodzie. Wreszcie ten i ów podniósł się z krzesła, a po upływie kilku minut

Zostaliśmy tylko we dwu: Stecki i ja.

- Przejdźmy się po ogrodzie - rzekł lekarz.

A gdy znaleźliśmy się w alei, dodał:

- My tu jednak nieźle oporzędzamy bliźnich!... Gdyby opinie miały moc urzeczywistniania się, jedna połowa naszych znajomych musiałaby iść do kryminału, druga do grobu.

- Chyba zanadto pesymistycznie sądzisz pan nasze... zamiłowanie nowin. Prawda, że niekiedy powtarzamy niemożliwe i nawet ohydne pogłoski, ale robimy to w sposób tak oględny, tak nieledwie serdeczny, że chyba nikomu nie wyrządzamy krzywdy. Przypomnij pan sobie choćby dzisiejsze anegdoty. Wprawdzie jeden mówił, że E. przyłapano na kradzieży, ale ktoś drugi zaraz temu zaprzeczył, a trzeci wspominając o romansie pani B. z panem C. nie omieszkał dodać, że wiadomość ta robi wrażenie plotki.

- A jednak bywają nieszczęśliwi, których zabija plotka nawet opowiedziana z poprawkami i zastrzeżeniami - odparł zamyślony lekarz.

- Znał pan takiego nieszczęśliwca?... - spytałem.

- Prawie że znałem - odpowiedział i po chwili zaczął historię, którą tu wiernie powtarzam.

Z małych przyczyn niekiedy rodzą się duże skutki. W marcu 187* roku, jako student piątego kursu medycyny, biegłem do szpitala, ażeby dowiedzieć się o rezultacie analizy zrobionej dla jednego z moich chorych.

Powtarzam: biegłem do szpitala, gdyż właśnie, podczas mojej wędrówki, ustępująca zima wysypywała resztę śniegu w postaci mokrych płatów padających tak gęsto, że przechodnie robili się podobnymi do białych niedźwiedzi. Gdyby nie ten śnieg, szedłbym znacznie wolniej, spóźniłbym się o parę minut i nie spotkałbym w szpitalnej sieni rzadko widywanego kolegi, zwanego Parmezanem, ponieważ chwalił się raz, że jego dziadek należał do farmazonów. Parmezan, przy pomocy szwajcara, oczyszczał swój wiotki paltocik ze śniegu wołając melodramatycznym głosem:

- Milion szkarlatyn i tyfusów!... Nie dość, że przemoczyłem nogi, ale jeszcze wpadła mi za kołnierz grudka śniegu. Brrr!...

Błysnął żółtawymi oczyma, otrząsnął się i poszliśmy razem na korytarz, właśnie w chwili kiedy po zawiei grudniowej w wysokich oknach szpitala ukazało się słońce prawie majowe.

- No spojrzysz, kolega - zawołał Parmezan - czy to podle słońce nie mogło wystąpić przed dziesięciu minutami ?...

Znowu otrząsnął się i tak energicznie tupnął w podłogę, że w korytarzu odpowiedziało dźwięczne echo. Na ten odgłos uchyliły się najbliższe drzwi i usłyszeliśmy upomnienie: ,

- Cicho tam!... w szynku jesteście czy w stajni?... Jednocześnie ukazał się nasz gromiciel. Był to kolega z powodu swojej figury przezwany Basetlą. Spostrzegłszy nas zamknął drzwi i rzekł prawie szeptem:

- Ach, to wy!... Wielki los wygraliście!... Pokażę wam tak piękny okaz suchotnika, że bez preparowania można go umieścić w gabinecie osteologicznym... Skóra i kości... Niech pękne, jeżeli kiedy widziałem coś podobnego!...

- Cóż to za jeden?... - spytałem z ciekawionym.

- Wyobraźcie sobie, że jest to kolega medyk, z drugiego kursu. Odludek, pesymista, ale co za wściekła energia w tym facecie! Jeszcze tydzień temu chodził na własnych nogach i udzielał marnie płatnych korepetycji. (Winszuję uczniom i ich rodzicom!) A kiedy nareszcie leżał w barłogu, nikomu nie dał znać, że jest chory. Dopiero stróżka zawiadomiła rządcę domu, rządca policję, policja uniwersytet, no i dostaliśmy go tutaj, wątpię jednak, czy na dłużej niż tydzień. Dlatego radzę wam nasyścić oczy widokiem jego szkieletu, dopóki jest w akcji...

- Jak on się nazywa?... - zapytał skrzywiony Parmezan.

- Szwarckopf... Szwarzman... czy coś w tym rodzaju. Zresztą nie pamiętam! - odparł Basetlą.

- Chyba zobaczymy go?... - odezwałem się do Parmezana.

- Jak chcesz - odparł nie okazując ciekawości. Weszliśmy. Chory nie leżał na ogólnej sali, lecz w pokoju oddzielnym. Ponieważ słońce znowu zgasiło i śnieg zaczął padać, więc nie bez trudności dojrzałem na łóżku pacjenta. Wyglądał na człowieka dwudziestokilkuletniego, miał rude włosy, rudy zarost i ciemne głębokie oczy. Basetlą zbliżył się do niego i zaczął mówić:

- Nasz chory kolega wyobraża sobie, że ma wadę serca. Słuchałem go, ale nic nie znalazłem. Zbadajcie wy, może który co odkryje, choć jestem pewien, że tam nic nie ma. Kolega zdaje się być trochę zagłodzony i w tym tkwi źródło choroby; musiał za często praktykować posty, choć jest, Boże odpuść, kalwinem.

- Musi tam jednak być jakiś nieporządek w sercu - odezwał się chory stłumionym głosem. - Czuję to po pulsie, który jest za prędko i nieregularny.

"Szczęśliwe złudzenia!" - pomyślałem widząc, że tego biedaka chyba już nic nie uratuje.

- A teraz przekonamy się, co znajdują koledzy - rzeki Basetlą. -Poznajcież się... kolega Parmezan...

Usłyszawszy nazwisko chory rzucił się w łóżku i usiadł. Istotnie był przerażająco chudy. Utkwił oczy w Parmezanie i zawołał chrapliwym głosem:

- Musisz pan być kontent, co?... Jesteś bodaj że na piątym kursie, a ja nie mogę wygrzebać się na trzeci.

- Ależ, kolego... ja nic... - szepnął jakby tłumacząc się Parmezan.

- Niechże się to raz skończy!... - krzyczał chory. - Słuchajcie, panowie - zwrócił się do nas. - Słuchajcie... Jak Boga kocham... daję słowo honoru, że tamtego jabłka nie chciałem schować, tylko poprawiłem je na koszyku, ażeby nie spadło...

- Ależ, kolego... nikt o tym nie mówił... nikt nawet nie myślał!... - jękał bardzo zmieszany Parmezan.

- Prześladowaliście mnie wszyscy... Przez was straciłem dwa lata, przez was musiałem uczyć

największych osłów i biedaków!... - mruknął chory i upadł na poduszkę.

Po chwili zaczął szeptać:

- A mimo to skończę medycynę, choćbyście na łbach stawali!... Zresztą już zmienił się mój los. Już nie będę korepetytorem... Będę mieszkał w szpitalu... będę czytał kursa...

Nagle ukrył głowę pod kołdrę, z czego korzystając wymknęliśmy się, naprzód Parmezan, ja po nim, a za nami Basetlą.

- Cóż to znaczy?... Co znowu za jabłka?... - pytał Basetlą. Ale Parmezan machnął ręką i uciekł na salę gorączkową, gdzie miał pacjenta. Poszedłem i ja w stronę laboratorium, a Basetlą na pożegnanie przypomniał sobie, że jego chory nie nazywa się Szwarckopf, lecz Eisenfeder.

W kilka dni dowiedziałem się, że Eisenfeder stracił wzrok, a następnie, że umarł. Przez ten czas Parmezan nie pokazywał się, ale po pogrzebie zmarłego zaprosił mnie i Basetlą na piwo. Gdyśmy się zbrali w piwiarni, w domu Rezlera, Basetlą odezwał się:

- Aczkolwiek nie mam ducha proroczego, lecz gotów jestem założyć się, że Parmezan uprzyjemni nam wieczór jakąś niezwykłą historią o zmarłym Eisenfederze... Musiałeś ty, owczy serku, zmalować tęgie święństwo, jeżeli zapraszasz nas na kolację, przypuszczam, że za pokutę!

- Niech cię diabli porwą, żeś nas zwabił do tamtego pokoju i w dodatku zapomniałeś nazwiska Eisenfedera!... - wybuchnął Parmezan uderzając kuflem w stół. - Twoje gapiostwo zatruło mi cały tydzień.

- Uważacie, jak się rozwija ten Twarożek! - odpowiedział Basetla. - Jednym uderzeniem kufła o stół załatwia dwa interesy: wyładowuje swoją wściekłość na mnie i daje znać kelnerce, ażeby przyszła. No, ponieważ usłyszymy jakąś bardzo wzruszającą historię, więc pozwolicie, ażebym przede wszystkim coś zamówił. Panienko!... proszę pieczeni wołowej z kapustą i kartoflami, za dusze zmarłe... A płaci ten pokutnik... - dodał wskazując Parmezana.

- Dla ciebie nie ma nic świętego!... - syknął Parmezan. - Proszę o schab z kartoflami, bez kapusty...

Ja zamówiłem także schab, a kiedy skończyliśmy naszą nie-wykwintną ucztę, Parmezan oparł łokcie na stole, brodę na rękę i westchnął:

- Nie ma co mówić, udawało mi się z tym nieborakiem Eisenfederem! Ale zacznę od początku.

- Byle nie od początku świata - wtrącił Basetla wykluwając zęby.

Parmezan błysnął w jego stronę żółtawym okiem i powiedział:

- Jak wiecie, ukończyłem gimnazjum w mieście X...

- No... no... tylko bez przechwałek! - wtrącił Basetla. Parmezan ze wzgardą ruszył ramionami i mówił dalej:

- W mieście X oprócz gimnazjum znajdowała się czteroklasowa szkoła realna, a kiedy ja chodziłem do pierwszej klasy gimnazjalnej, Eisenfeder uczęszczał do pierwszej klasy realnej. Był on synem rymarza, o czym wiem, gdyż jakiś czas mieszkaliśmy w tym samym domu. Znaliśmy się jednak z daleka i nie rozmawialiśmy z sobą, ponieważ gimnazjalistom nie wypadało wdawać się z "olejarzami". Tak nazywaliśmy realistów.

W jesieni roku 186* w mieście X urządzono wystawę rolniczą z próbami machin i wyścigami. Próby i wyścigi odbywały się, dajmy na to, za rogatką wschodnią, maszyny stały przy rogatce zachodniej, obok koszar, zaś okazy zbóż, ogrodowin i owoców pomieszczono w sali popisowej naszego gimnazjum.

Był to początek roku szkolnego, więc miałem dosyć czasu i co dzień zwiedzałem wszystkie części wystawy. Przypatrywałem się próbom pługów, siewników i bron nowego typu za rogatkami wschodnimi; potem biegłem do koszar, ażeby po raz dziesiąty i piętnasty oglądać młynki, sieczkarnie

i rozmaite maszyny, których znaczenia nawet domyślić się nie mogłem. Zaś na ukoronowanie moich agronomicznych uciech łąziłem do sali gimnazjalnej, ażeby tam podziwiać olbrzymie buraki, marchew, kalafior i kapustę.

Nie potrzebuję dodawać, że największą popularnością cieszyły się okazy istotnie pięknych owoców, między którymi wyróżniał się koszyk jabłek ciemnoamarantowej barwy. Muszę też nadmienić z przykrością, że co dzień, pomimo dozoru, ginął jakiś owoc. Pokazuje się, że...

- Że zakazane owoce smakują najlepiej - wtrącił Basetla. - Już znamy ten głęboki aforyzm!...

- Radzę ci wynajmować swój język do prania bielizny zamiast kijanki!... - burknął Parmezan i odetchnąwszy mówił dalej:

- Pewnego dnia, kiedy znowu szedłem do gimnazjum, rozumie się, nie na lekcję, tylko na wystawę, zobaczyłem przed szkołą zbiegowisko. Tłum, ciągle rosnący, kotłował się u drzwi głównych, w których policjant (czarny mundur z czerwonym kołnierzem, na głowie pikielhauba, przez ramię szabla na szerokim pasie) trzymał za rękę jakiegoś chłopca w ubraniu cywilnym.

W pierwszej chwili nie mogłem poznać twarzy, chłopak bowiem zasłaniał się drugą ręką, trzęsąc się i płacząc tak rzewnie, że łzy wypływały mu spomiędzy palców. Ale gdy zbliżył się jakiś pan ?. zapytaniem: "Co się stało?..." - policjant oderwał chłopcu rękę od twarzy, a wówczas... poznałem Eisenfedera!

"Kradł jabłka na wystawie, proszę wielmożnego pana, więc kazali zaprowadzić go do ratusza" - objaśnił policjant.

"Jak mamę kocham... jak Boga kocham... nie brałem jabłek!... - krzyczał chłopak bijąc się w piersi. - Ja chciałem tylko poprawić jabłko, żeby nie spadło, a pan Mateusz, woźny, powiedział, że kradłem..."

Owym jegomością, który zatrzymał policjanta, był czcigodny D., nauczyciel matematyki, a zarazem inspektor szkoły realnej. Rozmówił się z obecnym przy awanturze członkiem zarządu wystawy i Eisenfedera uwolnił z rąk policjanta.

"Możesz iść do domu" - rzekł D.

Ale chłopak nie ruszył się z miejsca. Oparł się o ścianę i zasłoniwszy twarz obu rękoma, płakał, że się serce krajało, i powtarzał:

"Ja nie brałem... ja tylko chciałem poprawić jabłko. To pan Mateusz, który kłóci się z moimi rodzicami, przez zemstę nazwał mnie... O mój Boże..."

Zacny nauczyciel pogłaskał chłopca i odprowadziwszy go na bok, rzekł:

"Uspokój się, Eisenfeder, i idź do domu... Ja ci wierzę i mam nadzieję, że do jutra wyjaśni się nieporozumienie."

Istotnie sprawa wyjaśniła się o tyle, że znaleziono kilka osób, które widziały, iż Eisenfeder tylko dotknął jabłka leżącego na szczycie grupy, ale bynajmniej nie chował go do kieszeni.

- Dramat zakończony sielanką!... - rzekł Basetla.

- Zobaczysz, jaka to ładna sielanka - ciągnął Parmezan. - Zapominasz, że na aresztowanie Eisenfedera patrzyło kilkanaście osób i że chłopak miał kolegów, drugoklasistów. Dzieci zaś, jak wiadomo, niekiedy odznaczają się tygrysimi instynktami...

- I nie dzieci!... - wtrącił Basetla.

- Eisenfeder był usprawiedliwiony wobec władzy szkolnej, ale nie zdołał przejednać kolegów, którzy dla miłości sztuki dokuczania używali na nim, ile wlaźło. Z całego szeregu prześladowań, jakim ulegał, najmniejszymi były dwa przezwiska: "wystawca" i "jabłecznik"... Niech tylko Eisenfeder nie ustąpił komu z drogi albo nie zrobił, czego żądano, wnet "obrażony" kolega rzucał słówko: "wystawca" albo "jabłecznik", i - miał zupełną satysfakcję. Eisenfeder czerwienił się, cofał,

a niekiedy rzucał się na ławkę i oparłszy głowę na rękę, płakał... Toteż niewielu "kolegów" odmawiało sobie uciechy pobudzenia do łez Eisenfedera. Nikczemność lubi triumfować nad niedolą.

W rezultacie Eisenfeder musiał usunąć się ze szkoły i dopiero po upływie dwu lat wstąpił do trzeciej klasy. Ja tymczasem doszedłem do czwartej, piątej. Eisenfeder przeniósł się do gimnazjum, gdzie niekiedy spotykaliśmy się na korytarzu. Czy wiedział, że byłem świadkiem jego aresztowania?... nie jestem pewien. W każdym razie spotkawszy się ze mną rumienił się i spuszczał oczy.

Skończywszy gimnazjum zapisałem się do Szkoły Głównej, przeszedłem na drugi kurs medycyny i znowu spotkałem Eisenfedera będącego na pierwszym kursie. W tej epoce naszego koleżeństwa zdarzyły się dwa wypadki, o których zawsze myślę z żalem, chociaż nic nie byłem winien.

Pewnego dnia zetknęliśmy się w prosektorium; ja, już nie pamiętam, z kim, preparowałem nogę, a Eisenfeder przy drugim stole obrabiał głowę. Wtem, lichy wie z jakiej racji, przyszedł mi koncept zapytać mego towarzysza: czy był na wystawie sztuk pięknych?... Eisenfeder, który widocznie usłyszał tylko wyraz: "wystawa", nagle zaczerwienił się i zwróciwszy się do mnie z zakrwawionym skalpelem, zapytał:

- O jakiej to "wystawie" pan mówi?...

Na moje szczęście odpowiedziałem naturalnym głosem:

- No, o wystawie Zachęty. Nie słyszałeś pan?... Eisenfeder popatrzył na mnie ze złością i na powrót wziął się do roboty. Ja zaś przypomniałem sobie jego wystawową awanturę i struchlałem pomyślawszy, że ten człowiek mógł posądzić mnie o zamiar szykanowania go...

Drugi raz zdarzyło się gorzej. Spotkałem Eisenfedera na obiedzie, wiecie, u Janowej. Diabli nadali, że usiadł przy mnie Jeżozwierz, który po czarnej kawie wydobył z kieszeni kilka jabłek amarantowego koloni i zaczął nimi częstować naprzód mnie, potem Eisenfedera.

- Jedz kolego - mówił - to bardzo zdrowe po obiedzie... Co za głupi koncept i skąd mu przyszedł do łba! Eisenfeder na widok owocu, który zapewne przypomniał mu wystawę rolniczą w X, zerwał się od stołu, spojrzął na mnie oczyma pełnymi łez i zapłaciwszy Janowej za obiad, wyszedł. W kilka zaś dni dowiedziałem się, że wziął urlop i wyjechał na wieś, na guwernerkę. Było mi wściekle przykro, ponieważ jestem pewny, że posądzał mnie o opowiadanie jego nieszczęścia na wystawie.

Tu Parmezan umilkł i napił się piwa. Po chwili zapytał go Basetla:

- Więc według twojej hipotezy, Parmezanku, Eisenfeder dlatego wyjechał na guwernerkę, że Jeżozwierz poczęstował go bardzo czerwonymi jabłkami?... A czy wypadkiem ty, filantrop, czy wypadkiem nie opowiedziałeś komu jego niemiłej historii?...

Parmezan zmieszał się...

- Czy ja pamiętam?... Może i opowiedziałem coś Jeżozwierzowi, ale... pod największym sekretem i nigdy w tym sensie, że Eisenfeder kradł jabłka, tylko że spotkało go takie dziwne zdarzenie.

- Tak... tak!... musiałeś coś. Twarożku, chlapnąć językiem, naturalnie pod największym sekretem, o Eisenfederze, a zaraz powiem ci dlaczego. Pamiętam, w tej chwili przypomniałem sobie, że w roku, kiedy Szkołę Główną zamieniono na uniwersytet, rozeszła się pod największym sekretem pogłoska o jakimś medyku drugokursiście, który w gimnazjum kradł jabłka, a później zegarki. Ludzie nie tylko powtarzali twoje słowa, ale jeszcze awansowali bursza na kompletnego złodzieja!... Toteż nie dziwię się, że wówczas wyjechał na guwernerkę, a później unikał kochanych bliźnich jak psów wściekłych... Za twoje zdrowie, Parmezanku!...

Basetla wypił kufel piwa, a Parmezan tłumaczył się bardzo strapiony:

- To nie może być!... Ja nic podobnego nie mówiłem o Eisenfederze... Ja go nawet broniłem...

- Tylko już mnie nigdy nie broń w ten sposób!... - szydził Basetla.

Stecki przerwał opowiadanie, zatrzymał się w alei i po dłuższej pauzie dodał:

- Na świecie robi się tak, że jedni powtarzają plotkę, choćby o niewinnym, inni bronią oskarżonego, rozumie się, specjalnym stylem, wszyscy zaś razem budują stos, na którym opala się mocniejszy, a ginie słabszy.

- A jakie zapisałby pan lekarstwo na tę chorobę?... - spytałem.

- Przez kilka lat mieszkałem za granicą - odpowiedział Stecki - i doszedłem do następującego wniosku. Inteligentny Niemiec lub Francuz, znalazłszy się w towarzystwie równie inteligentnych ludzi, rozmawia o ważnych kwestiach: naukowych, religijnych, społecznych, a choćby i artystycznych. Zaś my lubimy przede wszystkim zajmować się osobami i powtarzanymi o nich pogłoskami, choćby za grosz nie miały prawdy ani sensu. Skutek jest ten, że Francuz albo Niemiec kształci się w towarzystwie, a my psujemy się i krzywdzimy innych, dzięki czemu każdy z nas ma duszę pełną ukłuć, dopóki nie zabliźni ich pogarda.

WIDZIADŁA

Oto jest dokładna opowieść litewskiego szlachcica Wzdychajły o dziwnym wypadku, jaki zdarzył mu się w Warszawie. Opowieści tej chciałoby się nie wierzyć, gdyby nie została potwierdzona przez dwu świadków zasługujących na zaufanie.

- Przyjechałem - mówi Wzdychajło - do Warszawy nie tyle z gotowymi pieniędzmi, ile z przekazami na parę tysięcy, chcąc sobie tutaj u was nabyć chatę niedrogą, ale dochodową, może za sto pięćdziesiąt, może za dwieście tysięcy rubli, gdyż na więcej mnie nie stać, biedaka. Że zaś dużo słyszałem w Wilnie o waszych złodziejach i okpiszach, więc zamiast stanąć w oberży, odnalazłem sobie dawnego kolegę, jeszcze z Syberii, Poniewolskiego, i u niego zamieszkałem na Podwalu.

Ledwie się sprowadziłem i ledwie wyszliśmy z kolegą na ulicę, zaraz przyplątał się do nas jakiś jegomość średnich lat, z różowym nosem, wygadany, a znajomy mego kolegi, i ten jegomość, nazwiskiem Pijankiewicz, z miejsca wybadawszy ode mnie, po co przyjechałem, poradził nam, ażebyśmy poszli na Stare Miasto.

- Nie dlatego, Boże uchowaj - mówił jegomość - że w Rynku siedzi Fukier, ale - może nasz kochany Litwinisko właśnie tamtędy upatrzy sobie kamienicę, którą kupiwszy odnowi. Na chlubę własną i pożytek całego narodu.

"Ha! - myślę - jeżeli cały naród bez wyjątku ma mieć z tego pożytek, to może i trzeba kupić dom w Rynku..."

Minęliśmy parę uliczek, aż Pijankiewicz odzywa się:

- O, tu siedzi Fukier, ale do niego nie namawiam, bo teraz ciężkie czasy... A oto jest Rynek naszego kochanego Starego Miasta...

Rozejrzałem się... Cóż, domy jak domy. Jedna rzecz mi się tylko nie bardzo podobała, że plac zastawiony kramami, że pełno Żydów w onych kramach, na chodnikach i w sieniach i że czuć fetor... W takim miejscu nikt porządny nie zechce wynająć komornego...

Ledwie to powiedział, aż Pijankiewicz w krzyk:

- A jakże nie ma być Żydów, kiedy chrześcijanie domów nie kupują?... Gdyby każdy bogaty Litwin kupił choć jedną kamienicę w Rynku i utrzymywał ją porządnie, to i fetoru nie znalazłbyś nawet za pieniądze.

Spalić Warszawę - krzyczał dalej - toście umieli, ale do pokuty, ale do zadośćuczynienia za grzechy to was nie ma!...

- Przeżegnaj się, acan - mówię - któż tam znowu spalił Warszawę?...

- A Litwini - odpowiada jegomość - w roku 1669... Do śmierci im tego nie zapomnę...

"Rany Chrystusa Pana!..." - myślę sobie. Ale że w historii nie jestem biegły, więc zamiast spierać się, odpowiedziałem:

- Cóż to za jeden ten Fukier?... On, zdaje się, wino sprzedaje, ha?... Może by do niego wstąpić na naparsteczek?...

- Dajże spokój!... - wtrącił mój kolega z Syberii, u którego zatrzymałem się. - Kto teraz wino pije?... Czasy nie po temu...

Ale jegomość, który przyczepił się do nas na Podwalu, znowu w krzyk:

- Dlaczego nie pić wina?... A cóż kupiec robi z winem: w rynsztok wyleje?... Kiedy Litwinom podobało się spalić Warszawę, to niech teraz gaszą - choćby pragnienie potomków nieszczęśliwych obywateli, których domy zamieniły się w perzynę...

Boże miłosierny! jak żyję, nie myślałem, że rodzę się z podpalaczy!... No, ale jeżeli człowiek uważa się za pokrzywdzonego, to trudno, niech sam wyznaczy pokutę...

Więc pomimo oporu mego kolegi Sybiraka weszliśmy do sklepu.

- Przynajmniej - odzywa się zmartwiony Poniewolski - nie pijcież wina drogiego... Krymskie tu powinno być niezłe... - Krymskie u Fukiera?... - wrzasnął Pijankiewicz. - Pan wiesz, co ja płuczę krymskim winem?... z pewnością, że nie gardło!...

- Więc lekki sotem - szepnął mój kolega Poniewolski, któremu nakazano wystrzegać się trunków z powodu sklerozy.

Ale Pijankiewicz ani słuchał. Zbliżył się do subiekta i zaczął dysponować półgłosem:

- Daj no pan buteleczkę tego mojego, którym ja zawsze zaczynam... Potem buteleczkę tego mojego, co go piję później... Potem zobaczymy, a na samym końcu dasz nam buteleczkę tego, którym ja zawsze kończę, jeżeli jestem w towarzystwie dobrych patriotów.

"No - myślę - Warszawa nieszczęśliwe miasto, ale też w nim ludzie umieją się pocieszać... Co prawda, to i w Wilnie znalazłby takich samych; choć i my też nacierpieliśmy się, oj!... nacierpieli..."

Pijankiewicz zaprowadził nas do ciemnego osobnego pokoiku, usadowił za stołem, a gdy subiekt przyniósł butelkę, sam zaczął nalewać kieliszki.

Powiadam tobie, moje serce, jak skosztowałem tego wina, które miało iść na początek, to zrobiło mi się błogo w ustach; a kiedym wypił tego - co szło na numer drugi, to zachciało mi się śpiewać. I co powiesz, zaśpiewałem tak cudnie, tak od duszy, że mi się łzy w oczach zakręciły. Więc pomyślałem: "Boże miłosierny!... trzeba było aż do Warszawy jechać, ażeby człowiek dowiedział się, że jest śpiewakiem."

Spojrzę, aż widzę, że nie ja sam płakałem. Pijankiewiczowi łzy jak groch płynęły z oczu, a mój kolega Sybirak, Poniewolski, oparł głowę na rękę i tylko się trząsał.

- Zjedzą nas Żydy - mówił Poniewolski - zjedzą jak amen w pacierzu... Zjedzą, zwymiotują do Wisły i popłyniemy do Gdańska...

- Gwałciński... bracie Polaku, nie mów tak!... - przerwał Pijankiewicz.

- Ja przecie nie jestem Gwałciński, tylko Poniewolski...

- Wszystko jedno... nie masz się co spierać o głupie nazwisko. .. A Żydy nie zjedzą nas... Jak ta kępa na środku Wisły bywa co roku pod wodą, a potem wydobywa się na wierzch, tak i nasze Stare Miasto nieraz tonęło w klęskach i zawsze wypływało... Tombalski...

- Ja przecie nie jestem Tombalski, tylko Poniewolski...

- Wszystko jedno... Aleś mój brat... Polak... Więc daj pyska, a bestia Litwin niech płaci, kiedy spalił Warszawę...

W tej chwili dopiero, mówię ci, serce, przypomniałem sobie, że pośrodku nas jest jeden Litwin. Myślę sobie: "Któryż by to?..." Obejrzałem się i... spostrzegłem na ciemnej ścianie izby jasny krążek, który z wolna powiększał się, a w środku jego coś ruszało się jak różnobarwne robactwo i nawet szemrało. Więc pytam moich towarzyszków, kolegę Sybiraka i Pijankiewicza: "Widzicie wy, co się wyrabia na ścianie?", a kolega mówi: "Widzimy." Zaś Pijankiewicz dodał:

- To musi być kinematograf!... I jak szczęścia pragnę, tak on nam pokazuje coś, niby nasze kochane Stare Miasto... Nawet słyszę głosy...

- Bo widać jest to kinematograf gadający... - dorzucił Poniewolski.

Czy moi towarzysze jeszcze co mówili, nie wiem, ponieważ cały zatopiłem się w tym, com widział i słyszał. A oto jakie było nasze nadzwyczajne widzenie:

Lato, świt. Oczywiście Rynek Starego Miasta. Na środku placu, nieosobliwie zabrukowanego, wznosi się dziś nie istniejący ratusz. Dokoła niego widać dwa szeregi domów: jedne tworzą część północnej, inne część zachodniej ściany Rynku. Domy o grubych murach, malowane barwami: czerwoną, zieloną, niebieską, i ozdobione wizerunkami świętych, lwów, gryfów, okrętów. Niektóre

wizerunki i gzemy są złocone; drzwi żelazne, okna potężnie zakratowane.

Z bocznej ulicy wyjeżdża kilka fur, wielkich jak chaty, zaprzęgniętych we cztery i sześć koni; furmani mają przy bokach ciężkie szable. Fury stają, z bram wybiega służba męska i zdejmuje ładunki. Oto skrzynie aksamitu, sukna, tkanin jedwabnych i lnianych. Oto beczki wina, wory korzeni z ciepłych krajów. Oto szkło, zegary, broń, sztaby żelaza. Wszystkie te towary i mnóstwo, mnóstwo innych wnoszą do składów i piwnic, gdzie służba ustawia je, a urzędnicy sklepowi zapisują.

Na dworze robi się coraz widniej; Rynek znika, a zamiast niego widać mieszkanie kupca. Ogromne szafy i łóżka z baldachimami, ciężkie stoły i krzesła rzeźbione, także kredensy. Na stolikach drobiazgi z chińskiej porcelany i kości słoniowej; w kredensie srebrne talerze i złociste puchary. Przez pokój przechodzi pani domu; na sukni błękitnej jedwabnej ma drugą suknię z dużym ogonem, z przodu otwartą. Na głowie aksamitny kapturek, haftowany złotem, w uszach brylanty, na szyi perły, w rękach książka do nabożeństwa spięta złotymi klamrami. To jest pani kupcowa. Cudnie piękna idzie do kaplicy na mszę ranną, w godzinie, kiedy tam bywa dwór królewski.

A tymczasem kupiec, Gize czy Baryczka, w czarnym aksamitnym kaftanie i obcisłych spodniach wydobywa z torby u pasa klucz i otwiera żelazne drzwi w ścianie. Tam stoją dwie ćwierci srebrnych talarów i trzygarncowe beczułki napełnione złotem. Wola jednego ze swych pomocników i sypie mu w fartuch kilka garści pieniędzy dla furmanów za przywieziony towar.

Mniej więcej to samo powtarza się we wszystkich domach Rynku. Wszędzie sprzęty wytworne, bogate dywany, kobiety strojne w jedwab i drogie kamienie, kupcy dumni, za żelaznymi drzwiami beczułki srebra i złota. Bogactwo leje się wrotami i oknami.

Po mszy Rynek zapełnia się. Szlachta i szlachcianki, przekupnie uliczni, rycerstwo w wysokich butach z dźwięcznymi ostrogami, mnichy, księża świeccy, rzemieślnicy, mieszczenie, mieszcanki, żebracy, wszystko to dąży do sklepów, jedni za sprawunkami, inni za zarobkiem lub jałmużną.

- Zdaje się, że to będzie początek siedemnastego wieku... Piękna wtedy była Warszawa, co?... - wyszłochał Pijankiewicz, jedną ręką ocierając łzy, drugą podnosząc do ust kieliszek.

Obraz gaśnie i po chwili pokazuje się inny. To samo miasto, ale w Rynku jakiś niepokój. Tłum biegnie w stronę północną, słychać pospieszny dźwięk dzwonów. Wkrótce nad domami ukazują się gęste kłęby czarnego dymu i jaskrawe płomienie, które wypełniają cały widok.

- To ten pożar, co go Litwini zrobili!... - szepcze Pijankiewicz.

. - O... dałbyś spokój!... - gromi go rozezłoszczonym głosem Poniewolski.

A ja, serce moje, nic... tylko patrzę... słucham i zalewam się Izami. Już nie mój cudny śpiew tak mnie usposabia, ale wspomnienia... Cóż to było?... Gdzież to jest?...

Ciemnokrwawe tło obrazu poczyną się wyjaśniać. Dym powoli opada, a na miejscu przebogaty domów widać okna bez szyb, ściany czarne, sterczące kominy, a w mieszkaniach stosy kamieni i opalonego drzewa.

- Wtedy było gorzej w Warszawie aniżeli dziś!... - szepnął Pijankiewicz.

- Jak tam komu... - odpowiedział Poniewolski. - Lepiej pod własnymi zgliszczami aniżeli pod cudzym butem...

"Święte słowa!..." - chciałem powiedzieć. Ale pomyślawszy, że może to zabronione, ukąsiłem się w język.

Nowy obraz. Rynek, lecz w nim ani śladu pożaru. Domy białe, w oknach dywany, kwiaty i strojne kobiety, na ulicy tłum klęczy z obnażonymi głowami. Słychać dźwięk dzwonów i strzały armatnie, sztandary cechowe łopocą na wietrze, skądś dolatuje muzyka i śpiew kościelny. Ludzi mnóstwo, odzież ich czysta a nawet bogata, twarze pogodne. Odbywa się uroczystość dziękczynna, może na intencję jakiegoś zwycięstwa?... W każdym razie ani w budynkach, ani w fizjognomiach nie ma śladu

minionej klęski.

- Widzisz, jak zmartwychwstała Warszawa z pożogi?... - krzyknął Pijankiewicz.

W naszej izbie znowu robi się ciemno; obraz znika, a w chwilę później ukazuje się coś zupełnie innego. Rynek prawie pusty, żelazne drzwi domów pozamykane, okna zabite deskami. Przed ratuszem kilku żołnierzy, którzy nikomu nie pozwalają się zbliżyć grożąc strzelaniem. Kilku ludzi czerwono ubranych, z krzyżami na piersiach, niosą mary nakryte czarnym sukniem, na widok czego rzadcy przechodnie klękają, a potem szybko uciekają.

Na rogu ulicy jakiś dostatnio ubrany człowiek upadł z krzykiem. Spoza węgła wysunął się obdartus, rozejrzał się i upadłemu począł rewidować kieszenie. Wtem - nadeszła warta. Na głos rogu przybiegli czerwono odziani ludzie i leżące zabrali; obdartusa zaś wartownicy wzięli pod rękę, podprowadzili do dwu słupów złączonych u góry belką i na tej belce powiesili.

- Wiem!... wiem!... - zawołał Pijankiewicz - to jest dzuma w Warszawie.

Na obrazie tymczasem ludzie stopniowo znikli; w Ryнку pozostało kilka trupów, a nad nimi modlący się dominikanin.

- Wiem!... wiem!... -powtarza Pijankiewicz.-Wtedy prawie całe miasto wymarło. Gorzej było aniżeli dziś!...

- Nie wiadomo, co gorsze - odmruknął mój kolega Sybirak - umrzeć czy zgałganieć?...

Tymczasem powoli z ciemności wydobył się nowy obraz. Ten sam Rynek staromiejski, ale pełen ludzi, pogody i krzyków radosnych. Domy nowe, ozdobne, w niektórych oknach dywany i chorągiewki. W stronę kościoła posuwa się orszak, oczywiście weselny: pan młody konno w fiołkowym fraku jedwabnym, družbowie w barwnych strojach cudzoziemskich lub kontuszach, biało ustrojona panna młoda i jej družki w lektykach, za nimi kilka ozdobnych powozów ze starszymi paniami. Słychać strzały pistoletowe, okrzyki ludu, muzykę... Przed ratuszem pieką się dwa woły, nieco dalej - leży góra chlebów i stoi kilkanaście beczek piwa dla pospólstwa. Patrząc na te domy jasne i ozdobne, na mnóstwo ludzi sytych, śmiejących się, śpiewających, człowiek nie może przypuścić, że widzi to samo miasto, w którym niedawno panowała morowa zaraza!...

- A nie mówiłem, psia... kość - zawołał Pijankiewicz - że nasza kochana Warszawa i z tego się wykaraska?... Jak wyspa na Wiśle: co ją zaleje woda, to ona znowu się wydobywa na wierzch.

- Dopóki ze szczętem nie utonie... - wtrącił Poniewolski.

- Tyś pijany, Bą...Bączkiewicz?...

- Nie nazywam się Bączkiewicz!... - odparł z gniewem mój kolega Sybirak.

Tymczasem przesunęły się jeszcze dwa obrazy. Na jednym było widać dzisiejsze Stare Miasto z jego kramami. Żydami, niechlujstwem. Zdało się, że na chodnikach nigdy błoto nie wysycha i że ściany domów składają się nie z cegieł, ale z brudu.

- Oto skutki naszego niedbalstwa!... - wrzeszczał Pijankiewicz. - Gałgany jesteście, i basta!...

- Staraj się mówić w liczbie pojedynczej... - upomniał go Poniewolski.

Ostatni obraz był po prostu cudownym zjawiskiem. To chyba nie Stare Miasto, ale jakiś gród fantastyczny! Domy wszelkich możliwych, ale jasnych, delikatnych barw, pokryte malowidłami i płaskorzeźbą, niby szkatułki bezcenne. Treścią zaś malowideł: historia każdego domu i jego właścicieli od kilku wieków!... Rynek, zamiast zwykłych kamieni, wyłożony różnokolorową mozaiką; na środku śliczny ogródek płonący żywymi kwiatami. Pełno dzieci, uczniów, strojnych kobiet, cudzoziemców, którzy po to tylko przyjechali, ażeby zwiedzić nasze dziwo i złożyć hołd jego pięknościom i ciekawościom. Niektóre bowiem domy Ryнку stały się muzeami zbiorów z całego kraju...

- Ot, widzisz, że znowu Warszawa wykaraskała się! - rzekł Pijankiewicz.

Obraz zniknął, w naszym pokoiku ukazał się subiekt. Spojrzeliśmy na zegarki - już późno!... Zapłaciłem rachunek, zresztą niezbyt wielki, jak na takie nadzwyczajności...

- Ale też macie piękny kinematograf!... - odezwał się Poniewolski.

- Jaki, przepraszam, kinematograf?... - zapytał zdziwiony subiekt.

- No, ten, co pokazuje Stare Miasto...

- Przepraszam, ale to chyba nie u nas...

- Co się masz tłumaczyć!... - przerwał Pijankiewicz, gwałtem wyprowadza jąć mego kolegę Sybiraka.-Poniewolski nazywa się.

Gdy znaleźliśmy się za progiem, usłyszałem, że subiekt mówi do drugiego:

- Różnych pijaków zdarzało mi się spotykać: takich, co widywali diabły, węże, robactwo...

Ale takiego, który zobaczył kinematograf w pustym pokoju, to jeszcze nie spotkałem...

- To o nas!... - oburzył się Pijankiewicz. Chciał wrócić do sklepu i zrobić dużą awanturę, ale - nie mógł znaleźć klamki, a gdy nareszcie znalazła się, zapomniał, o co mu chodziło.

Więc smutni wróciliśmy do domu.

Przygotowano na podstawie bookini.pl